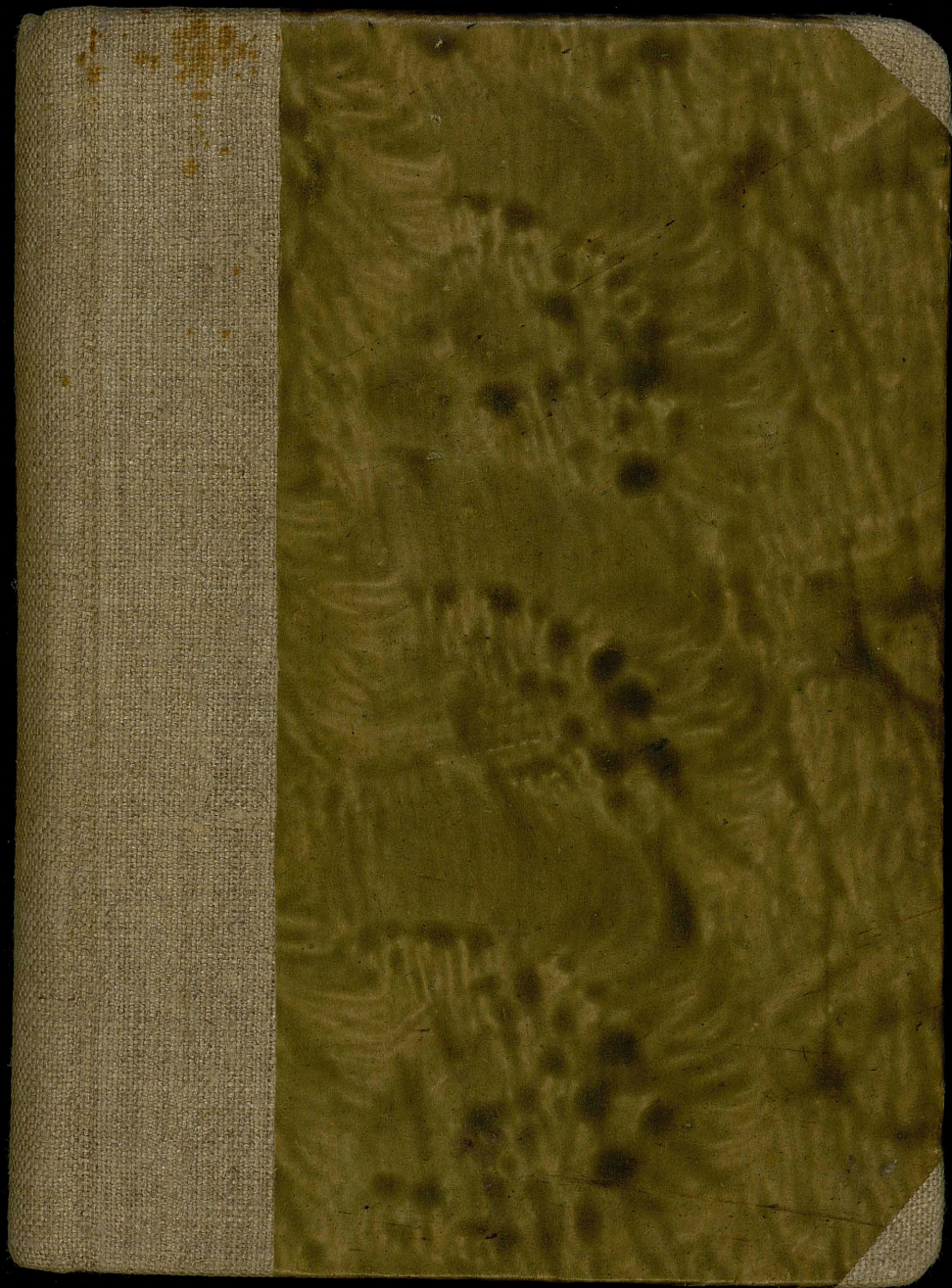




Termin zwrotu książki:

23 Czerw. 1971

Spis Pogoń "B" - stok Nr 1220 N. 100.000 A-7

Karta terminów zwrotów.

H. G. WELLS

SYRENA

KSIĘŻYCOWA OPOWIEŚĆ

przekład z angielskiego

F. ARNSZTAJNOWEJ



NAKŁADEM „BIBLIOTEKI GOSZOWEJ”

Warszawa, Moniuszki II. 1er. 190-93.



820-311.2



Zakłady Graficzne „Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Moniuszki 11, telefon 190-93,



ROZDZIAŁ I

Przybycie Morskiej Damy

I

Wszelkie znane dotychczas opowieści o lądowaniu syren mają, że się tak wyrażę, pewien posmak niewiarogodności. Nawet owa tak szczegółowa historia Syreny Cud-Koronczarki z Brugji budzi niejaki wątpliwości. Muszę przyznać, że i sam jeszcze rok temu byłem najzupełniejszym sceptykiem na tym punkcie. Dziś jednak wobec niezaprzeczalnych faktów i to w najbliższym sąsiedztwie, popartych nadto naoczniem świadectwem mego rodzzonego kuzyna Melvilla (z Seaton Carew), widzę owe stare legendy w zgoła odmiennem świetle. Ale tylu ludzi starało się w swoim czasie o zatuszowanie tej sprawy, że jestem przekonany, iż gdyby nie moje wytrwałe dochodzenia, najprawdziwsze fakty byłyby z biegiem lat nabrały cech takiego samego nieprawdopodobieństwa jak owe dawniejsze legendy. Ba, i dziś nawet dla wielu umysłów...

W danym razie bezwątpienia było wyjątkowo trudno uniknąć rozgłosu; że się to poniekąd udało, może nam posłużyć za dowód siły motywów, skłaniających do zachowania tajemnicy w tego rodzaju

wypadkach. Widownia tych wydarzeń daje się określić zupełnie ściśle. Początek rozegrał się na brzegu morza, tuż na wschód od Sandgate-Castle w kierunku Follkestone, a koniec na pobrzeżu, w oddaleniu jakich dwóch mil od Grobli Folkestońskiej. Sprawa rozpoczęła się w biały dzień przy jasnej pogodzie sierpniowej, pod oknami pół tuzina domów, co na pierwszy rzut oka czyni ów zupełny brak informacji zgola nieprawdopodobnym. Zrozumiemy to może później nieco lepiej.

Dwie urocze córki pani Randolfowej Bunting kąpały się właśnie razem z goszczącą w ich domu panną Mabel Glendower. Od tej to głównie panienki, a także od pani Bunting, otrzymałem dane, które pozwoliły mi zestawić dokładnie okoliczności, towarzyszące pojawieniu się Morskiej Damy. Od panny Adeliny, starszej z dwóch siostr Glendower, nie otrzymałem żadnych w tej sprawie informacji i, jakkolwiek ona to była główną w tej całej historii osobą, nie nagabywałem jej o to. Wchodziły tu bowiem w grę uczucia tej panny, w tym wypadku, jak myślę, szczególnie skomplikowane, co z natury rzeczy samej wpływało. Przysłowiowa „bezwzględność literacka“ zawiodła mnie tym razem zupełnie. Zabrakło mi odwagi na dotknięcie uczuć tej damy.

Trzeba wiedzieć, że wille na wschód od Sandgate-Castle znajdują się w szczególnie szczęśliwym położeniu: ogrody ich schodzą bezpośrednio do morza, niema tam promenady, drogi, ani ścieżki, któraby, jak to w innych kąpielowych miejscowościach bywa, domostwa od wody odcinała. Patrząc ze stacji windy na zachodnim krańcu Promenady, widzi się ich skupienie na samym skraju. A że duża ilość wysokich skalistych kantów wystaje z ładu wzdłuż tej części pomorza, całe to wybrzeże jest zupełnie

odcięte i osłonięte, chyba tylko podczas najniższego wodostanu można by obejść dokoła kantów. Wille te są tedy bardzo poszukiwane w czasie sezonu kąpielowego, i wielu właścicieli odnajduje je wraz z umeblowaniem osobom o odpowiednim majątku i stanowisku.

Państwo Randolfowie Bunting bezwątpienia należeli do rzędu takich wybrańców losu. Nie byli wprawdzie „arystokracją“, ani nawet tem, co nieopłacony heraldyk nazwałby szlachtą; nie mieli prawa do żadnego herbu. Ale przecież, jak zwykła była mawiać pani Bunting, nie rościli wcale pretensyj tego rodzaju, byli zupełnie pozbawieni jakiegokolwiek snobizmu (jak zresztą wszyscy w obecnych czasach). Byli sobie skromnymi, domorosłymi Buntingami, Randolph-Buntingami — „dobrą rodziną“, jak to mówią — z bardzo rozpowszechnionego w Hampshire rodu, oddanego piwowarstwu. Bez względu na to, czy odpowiednio wynagrodzony heraldyk mógłby dowieść ich szlachectwa, czy nie, nie ulega wątpliwości, że pani Bunting miała prawo uważać się za damę, obaj zaś panowie, i ojciec i syn, byli zupełnymi gentlemanami, a sposób ich bycia i myślenia świadczył o dobrym wychowaniu.

Gościli u nich dwie panny Glendower, którym pani Bunting od czasu śmierci pani Glendower niejako zastępowała matkę.

Panny Glendower były siostrami przyrodniemi, należały niezaprzeczalnie do „wysokiej“ szlachty, pochodziły z miejscowego pańskiego rodu, który tylko na przeciąg jednego pokolenia zniżył się był do handlu i wraz jak Anteusz powstał odświeżony i zbogacony. Starsza, Adelina, była ową bogaczką, dziedziczką z kupiecką krwią w żyłach. Naprawdę bardzo bogata, miała ciemne włosy, szare oczy i po-

ważne zapatrywania; gdy ojciec jej umarł, co nastąpiło na krótko przed śmiercią macochy, Adelina miała przed sobą już tylko późniejszą część młodości, dochodziła już bowiem dwudziestu siedmiu lat. Pierwszą młodość poświęciła zmiennym humorom swego ojca w sposób, który przypominał jej zawsze lata dziewczęce Elżbiety Barrett Browning. Ale po odejściu ojca w sfery, gdzie jego temperament znalazł zapewne szersze pole działania — czyż przeznaczeniem tego świata nie jest formowanie charakterów? — wyszła dopiero najaw cała wartość Adeliny. Okazało się, że ma umysł ruchliwy i czynny, spory zasób nagromadzonej energii i dużą ambicję. Dała się poznać jako socjalistka o jasnym i krytycznym poglądzie na rzeczy, zakwitła na mównicach mitingów publicznych i wkrótce zaręczyła się z bardzo świetnym i obiecującym, choć nie ekscentrycznym młodzieńcem, Henrykiem Chatterisem, siostrzeńcem hrabiego, bohaterem głośnego skandalu i przypuszczalnym liberalnym kandydatem okręgu Hythe w hrabstwie Kent. Przynajmniej rzecz ta była omawiana i Charteris objeżdżał w tym celu okolice, a pannie Adelinie miło było myśleć, że mu pomaga swoją obecnością; to właśnie skłoniło Buntingów do wynajęcia na lato willi w Sandgate. Narzeczony przyjeżdżał od czasu do czasu i przepędzał z nimi dzień lub noc, potem znów znikał za jakimiś sprawami, znany był jako świetny, choć nieco zmienny, polityk pierwszego rzędu, i wszyscy byli zdania, że zważywszy wszystko, partja może się szczycić takim kandydatem. Fred Bunting zaś był zaręczony z mniej dystygowaną, znacznie mniej zamożną i prawdopodobnie mniej wybitną, siedemnastoletnią przyrodną siostrą Adeliny, panną Mabel, która już oddawna, bo jeszcze za czasów szkolnych, uczyniła odkry-

cie, że choćby nie wiem jak wysilała się na okazywanie rozumu i zręczności, nie na wiele się to przyda, gdy Adelina będzie przy tem.

Buntingowie nie kapali się wspólnie, rzecz, która w roku pańskim 1898 jeszcze uważana była za dość wątpliwie przyzwoitą, ale pan Bunting i Fred schodzili nad morze razem z paniami (pomimo że narzeczona Freda znajdowała się w ich gronie) zupełnie otwarcie, zamiast chować się, lub odejść na przechadzkę, jak to było ongi we zwyczaju. Tworzyli coś w rodzaju małej procesji, sunącej pod wieczniezielonemi dębami ogrodu i wdół stopni, wiodących do morza.

Przodem kroczyła pani Bunting, patrząc pilnie przez lornetkę, czy jakiś ciekawski nie podgląda, obok niej panna Adelina, która, by nie uronić swej godności, nie przyjmowała udziału w kąpieli, przyodziana w jedną z tych pozornie prostych a kosztownych i arystokratycznych szat, umiłowanych przez socjalistki. Za tą przednią strażą, jedna za drugą, postępowały trzy panienki w swych pięknych paryskich kostjumach kąpielowych i czepkach — otulone zresztą szczerlnie obszernemi płaszczami kąpielowemi z kapturami — oczywiście w pończochach i trzewikach specjalnych, w których się kąpały. Za niemi garderobiana pani Bunting, młodsza i pokojówka Adeliny niosły ręczniki, w pewnem oddaleniu dwaj panowie, obciążeni ogromnym zwojem grubych sznurów. (Pani Bunting zwykła była okręcać każdą ze swych córek powrozem, zanim wstępowały do wody, i własnoręcznie trzymała koniec powroza, dopóki szczęśliwie nie wyszły na ląd. Jedyne Mabel nie pozwalała się spętać.

W miejscu, gdzie się ogród kończy a brzeg morza zaczyna, panna Adelina zeszła na bok i usiadła

na zielonej żelaznej ławce pod wiecznozielonym dębem i, odnalazszy stronicę w „*Sir George Tressady*” — książce, która w owym czasie specjalnie przypadła jej do serca — przyglądała się schodzącym ku wodzie. Tworzyli bardzo jasną i miłą dla oka grupę szczęśliwych i ożywionych ludzi na tem słonecznem wybrzeżu. Dalej za nimi w smugach zielonych i fioletowych zupełnie ciche, zlekka tylko sfałdowane drobnym perłowym deseniem błyszczało morze, odwieczna macierz rzeczy niespodzianych.

Dotarłszy do słupa, oznaczającego głębszy wodostan, gdzie nie jest już nieprzyzwoitością być odzianym tylko w kostjum kąpielowy, panny oddały pokojówkom okrycia i po krótkich żartach i śmiechach — pani Bunting rozejrzała się troskliwie, czy nie ma jakich galaretowatych stworzeń w wodzie — panny zagłębiły się w morzu. W chwilę potem, zdaje się, Betty, starsza panna Bunting, przerwała pluskanie i wpatrzyła się w jakiś punkt oddalony, potem wszystkie panie zwróciły oczy w tym kierunku. Wtedy to w odległości jakichś trzydziestu jardów ukazała się głowa Morskiej Damy, jakgdyby płynącej ku ładowi.

Wywnioskowały naturalnie, że to któraś z sąsiadek z jednej z sąsiednich willi. Dziwiło je to nieco, że nie zauważyły, gdy schodziła do morza, poza tem jednak zjawisko nie miało dla nich nic niezwykłego. Poczyniły zwykłe w takich razach ukradkowe a przenikliwe spostrzeżenia. Zauważyły, że dobrze pływa, że ma piękną twarz i bardzo piękne ramiona, ale nie mogły widzieć jej cudnych złotych włosów, ukrytych pod modną frygijską czapką kąpielową, znalezioną — jak później przyznała się memu kuzynowi — kilka nocy temu na normandzkiej

plaży, ani jej uroczych pleców pod czerwonym kostjumem kąpielowym, w który była przyodziana.

Właśnie panie zaczęły sobie zdawać sprawę z tego, że ich obserwacja przekracza granicę dobrego wychowania, i Mabel udawała, że się pluska znówu, mówiąc do Betty: „ma ponsowy kostjum, chciałabym widzieć, jak...” — gdy stało się coś okropnego.

Płynąca plusnęła w jakiś szczególny sposób, wyrzuciła w górę ręce — i znikła.

Było to jedno z tych zdarzeń, wobec których każdy na mgnienie oka drętwieje, jedna z tych rzeczy, o których każdy czytał, które każdy sobie wyobraża, ale które mało kto widział na własne oczy.

Przez jakiś czas nikt się nie poruszył. Jedna, dwie, trzy sekundy minęły, potem na chwilę mignęło nad powierzchnią nagie ramię i znówu znikło.

Mabel utrzymuje, że była zupełnie sparaliżowana z przerażenia, przez cały czas nie poruszyła się i nie odezwała, ale obie panny Bunting, oprzytomniawszy nieco, krzyknęły: „ona tonie!” i spieszenie wyszły z wody, proces, przyspieszony znacznie przez matkę, która z wielką przytomnością umysłu ciągnęła z całej siły sznury i ruszyła naprzód, ciągnąc dalej jeszcze długo potem, gdy panienki były już o kilka jardów oddalone od morza i poprzewracali się u stóp skały. Panna Adelina, zmiarkowawszy, że się coś niezwykłego stało, zaczęła zstępować po schodach, w jednej ręce trzymając książkę, a drugą przysłaniając oczy i wołając gromkim, zdecydowanym głosem: „Trzeba ją ratować!”

Służące naturalnie wrzeszczały — jak im to przystoi — ale dwaj panowie, o ile się zdaje, zachowali się z najwyższą przytomnością.

— Fred! drabina sąsiada! — krzyknął pan Bunting — najbliższy sąsiad zamiast zwykłych kamiennych stopni miał opartą o wysoki mur okalający willę, przenośną drewnianą drabinę, i pan Bunting nieraz zwracał uwagę, że w razie jakiego wypadku, można będzie się *tem* posłużyć. — W mgnieniu oka obaj pozrucali kurtki, kamizelki, krawaty, kołnierze i trzewiki i pędem wypchnęli drabinę sąsiada na wodę.

— W którą stronę popłynęła, papo? — zapytał Fred.

— Wprost, tam — rzekł pan Bunting, a na potwierdzenie jego słów ukazało się na chwilę białe ramię, a potem „coś ciemnego” — coś, co w świetle późniejszych wypadków skłonny jestem uważać za pierwsze mimowolne ukazanie ogona Damy.

Żaden z dwóch panów nie miał zbyt wielkiej wprawy w pływaniu, pan Bunting, zdaje się, w podnieceniu chwili zapomniał nawet i tej odrobiny kunsztu, jaką posiadał — ale brnęli wpław odważnie po obu stronach drabiny, popychając ją przed sobą i puścili się na głębie w sposób, nie przynoszący ujemy ich narodowi i rasie.

Wogóle jednak sędzę, że może szczerze wie się złożyło, iż nie chodziło tu o ratunek naprawdę tonącej osoby. W chwili, gdy przeprowadzałem swoje badania, wszelkie sporne kwestje, jakie mogły ongi zachodzić między ojcem i synem, dawno już były poszły w niepamięć; jest dla mnie zupełnie jasne, że podczas gdy Fred płynął przy długim boku drabiny, powodując tem jej powolną rotację naokoło osi, pan Bunting już był przełknął znaczną ilość wody morskiej i z bezcelową energią uderzał nogami w piersi Freda. Czynił to, jak mi wyjaśniał, aby móc spuścić wdół nogi; „uważa pan; coś to było

takiego w tej drabinie, że mi nogi ciągle leciały do góry.”

Poczem zupełnie niespodzianie ukazała się obok nich Morska Dama, jednym uroczem ramieniem podtrzymując pana Buntinga, a drugie opierając na drabinie. Nie wydawała się wcale blada, ani przeżona, ani zdyszana, mówił mi Fred, gdy go badałem, choć w owej chwili był zbyt podniecony, by mógł takie szczegóły zauważyć. Rzeczywiście uśmiechała się i przemówiła swobodnym miłym tonem:

— Kurcz — rzekła — chwyciły mię kurcze. — Obaj panowie pamiętają to dokładnie.

Pan Bunting miał właśnie powiedzieć, żeby się go mocno trzymała, to będzie zupełnie bezpiecznie, gdy mała fala wpadła wprost do ust i doprowadziła go do dzikiego parskania.

— Wyprowadzimy panią, czy coś w tym rodzaju — oświadczył Fred i tak we troje zawisli przy drabinie, chybocząc się w wodzie przy odgłosie przy padłości pana Buntinga.

Zdaje się, że kołysali się tak przez jakiś czas. Fred utrzymuje, że Morska Dama nie okazywała niepokoju, ale miała minę nieco zakłopotaną, zdawała się mierzyć okiem odległość od lądu. „Mają panowie zamiar uratować mię?” zapytała.

Głowił się nad tem, co by uczynić należało, zanim ojcę c utonie — właśnie ratujemy panią — odpowiedział.

— Wyprowadzicie mię na brzeg?

Widząc, że jest tak przytomna, postanowił wyjaśnić jej swój plan operacyjny — „chwycić koniec drabiny — popychać nogami tylko kilka jardów — wydobyć się z głębiny — gdyby tylko można”.

— Jeszcze chwileczkę — złapać tchu — pełno wody morskiej w ustach — dyszał pan Bunting. Plusk! Pff!...

I wtedy zdało się Fredowi, że stał się cud. Nastąpił silny wir wody, jakby od śruby okrętowej, uchwycił więc Morską Damę i drabinę w sam czas, jak mu się zdawało, by nie dać się znieść fali wdał ku kanałowi. Ojciec znikł mu z oczu z zaledwie rodzącym się wyrazem zdumienia na twarzy, poczem ukazał się znów, a raczej plecy i nogi jego wypłynęły, trzymając się zapamiętałe drabiny. I wtedy, o dziwo! niewiadomo jakim sposobem znaleźli się nagle o jakie dwanaście jardów bliżej brzegu, w płytkiej, zaledwie pięciostopowej wodzie, i Fred poczuł dno pod stopami.

I wraz z zdumieniem i trwogą Freda ustąpiły miejsca najczystsшему bohaterstwu. Popchnął przed siebie Damę i drabinę, porzucił drabinę i swego zupełnie teraz zdemoralizowanego rodzica, poczem uchwycił Damę mocno w ramiona i wyniósł ją z wody. Panny krzyczały „Uratowana! — pokojówki wrzeszczały „Uratowana! — odległe głosy odpowiadały echem „Uratowana! hurra! — Wszyscy krzyczeli, „Uratowana! z wyjątkiem pani Bunting, która, jak mówi, była przekonana, że małżonek jej dostał jakiegoś ataku, i pana Buntinga, który, zdaje się, był pod wrażeniem, iż wszelkie prawa natury, dzięki którym z pomocą opatrności możemy unosić się na wodzie, zostały zawieszone, i że jedyną możliwą do uczynienia narazie rzeczą jest wyrzucać co siły nogami w oczekiwaniu niechybnej śmierci. Po kilku jednak sekundach głowa jego wzniosła się znowu do góry, a stopy wsparły się o dno, zaczął dobywać z siebie dźwięki na wzór wieloryba i konia morskiego, potem naksztalt konia zwykłego i rozgniewanego kota, wkońcu wyprodukował coś w rodzaju zgrzytu pily. Poczem wytarł oczy z wody, i pani Bunting mogła nareszcie zwrócić swoją uwagę w kierunku

nadobnego ciężaru, unoszonego przez syna (choć od czasu do czasu *musiała* jeszcze syknąć z upomnieniem „Ran-dolfie!“).

Ciekawa rzecz, że Morska Dama była już co najmniej minutę na lądzie, zanim ktokolwiek spostrzegł, że się czemkolwiek różni od innych dam. Przypuszczam, że wszyscy obśtapili ją, przypatrując się jej pięknej twarzy, albo może myśleli, że ma na sobie jakiś niedyskretny nowy rodzaj amazonki, czy coś w tym rodzaju. Dość, że nikt nie zauważył tego, choć było przed ich oczyma jasne jak dzień. Widocznie musiało to jakoś splywać z kostjumem. I oto stali tak, wyobrażając sobie, że Fred uratował z toni uroczą damę, niezaprzeczalnie wykwinną, która zeszła do kąpieli z którejś z sąsiednich willi, i dziwili się tylko, czemu nikt się na brzegu po nią nie zgłasza. A ona trzymała się oburącz Freda, a Fred, jak panna Mabel mu wyrzucała w późniejszej rozmowie, przywarł do niej.

— Miałam kurcze — rzekła Morska Dama z ustami przy policzkach Freda a jednym okiem, skierowanym na panią Bunting — na pewno chwyciły mnie kurcze; jeszcze i teraz trwają.

— Nie widzę nikogo — zauważyła pani Bunting.

— Proszę, zanieś mię pan — rzekła Morska Dama, przymykając oczy, jakgdyby się jej zbierało na zemdlenie — chociaż policzki jej były zarumienione i ciepłe! — Zanieś mię pan!

— Dokąd? — ze zdziwieniem zapytał Fred.

— Do domu — szepnęła.

— Do którego domu?

Pani Bunting podeszła bliżej.

— Do *waszej* willi — rzekła Pani z Morza i zamknęła oczy, na dobre stając się nietkliwą na wszelkie dalsze uwagi.

— Ależ — nie rozumiem — rzekła pani Bunting, zwracając się niewiadomo do kogo...

I wtedy nareszcie ujrzeli *to*. Necia, młodsza córka Buntingów, spostrzegła pierwsza. Wskazała palcem, jak opowiada, zanim zdołała znaleźć odpowiedni wyraz. Wtedy wszyscy spostrzegli. Przypuszczam, że Adelina ostatnia się zorientowała (w każdym razie byłoby to podobne do niej).

— Mamol — zawołała Netta, dając wyraz ogólnemu przerażeniu. — Mamol! Ona ma *ogon*!

Trzy pokojówki i panna Mabel krzyknęły jedna za drugą: „Patrzenie! Ogon!”

— Na wszystko — rzekła pani Bunting, i zabrakło jej słów.

— O! — rzekła panna Adelina i przyłożyła rękę do serca.

A wtedy jedna z pokojówek nazwała rzecz po imieniu.

— To Syrena — wrzasnęła pokojówka, wszyscy zakrzyknęli: „Syrena!”

Oczywiście z wyjątkiem samej Syreny, która zachowywała się zupełnie biernie, zwieszona na ramieniu Freda i w jego objęciach.

II

Tak przedstawiała się owa scena, o ile mogłem ją złożyć i odtworzyć. Musicie państwo sobie wyobrazić tę małą gromadkę ludzi na brzegu, a pana Buntinga, jak myślę, nieco dalej, wyłazącego właśnie z wody, bardzo przemokłego, z miną niedowierzającą i zdumioną nawpół utopionego. A drabina sąsiada płynęła sobie spokojnie w dal.

Sytuacja, która może zwrócić uwagę, nieprawdą? Byli oczywiście na widoku. Działo się to w znacznym oddaleniu od głębszej wody i grupa widzialna

była na jakie trzydzieści łokci wzdłuż brzegu. Nikt, jak pani Bunting opowiadała mojemu kuzynowi, nie miał pojęcia, co czynić, a wszyscy obdarzeni byli raczej przesadną dozą właściwego Anglikom wstrętu do czynienia widowiska ze swego zakłopotania. Syrena zdawała się zadawałniać rolę uroczej zagadki i trzymała się oburącz Freda.

A musiała być wcale poważnym ciężarem. Zdaje się, że bardzo obfita rodzina, mieszkająca w willi Kort-Humi, ukazała się w pełnym komplecie, gapiąc się i gestykulując. Był to właśnie ów rodzaj ludzi, z którymi Buntingowie wcale nie pragnęli nawiązywać stosunków — jacyś kramarze prawdopodobnie. Wkrótce jeden z tych panów — specjalnie ordynarny jegomość (dość powiedzieć, że strzelał do mew), zaczął spuszczać drabinę, jakgdyby zamierzał ofiarować swą pomoc lub radę, a pani Bunting zdała sobie sprawę z czarnego połysku polowej lornety jakiegoś jeszcze obrzydliwszego jegomościa z zachodniej strony.

Co gorsza, znany literat, mieszkający w sąsiednim domku, drażliwy, smagły, mały pan o kwadratowej głowie, zjawił się nagle i zaczął ze szczytu swego nieprzystępnego muru wykrzykiwać jakieś błazeństwa o swej drabinie. Oczywiście, nikomu się nie śniło troszczyć o jego głupią drabinę. Był niemożliwie podniecony, a z tonu i gestów można się było domyśleć, że nie przebiera w wyrazach; wyglądało na to, że lada chwila zeskoczy na brzeg do nich.

Nadomiar, ku ukoronowaniu sytuacji, z poza zachodniej skały ukazali się jacyś wycieczkowicze z pospólstwa!

Najpierw ukazały się ich głowy, a potem dały się słyszeć głosy.

Zaczęli wspinać się na groblę z wesołemi okrzykami.

— Pip, pip! — głosili wycieczkowicze.

— Pip, pip — było tego roku w modzie — i — ho, ho, klawol! — a potem mniej ogólnikowo — co się tu dzieje?

A głosy innych jeszcze niewidzialnych wycieczkowiczów odpowiadały:

— Pip, pip!

Towarzystwo widocznie było liczne.

— Czy się coś złego stało? — krzykliwie na chybił trafił pytał jeden z wycieczkowiczów!

— Moja *kochana!* — rzekła pani Bunting do panny Mabel — Co *mamy* czynić?

Opowiadając o tem memu kuzynowi, kładła zawsze specjalny nacisk na te dwa wyrazy: *kochana!* co *mamy* czynić? podkreślając w nich niejako „clow“ całej historii.

Zdaje się, że w swej rozpaczey spojrzała nawet na wodę. Ale rozumie się, że wrzucenie syreny napowrót do morza byłoby pociągnęło za sobą konieczność niemałych wyjaśnień...

Było widoczne, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Tak też pani Bunting orzekła.

— Jest tylko jedno wyjście, musimy ją zanieść do nas.

No i zaniesiono ją do willi...

Można sobie wyobrazić tę procesję. Na czele Fred, mokry, oszołomiony, oburącz trzymający i oburącz trzymany, i zbyt zdyszany, by móc słowo wy mówić. W jego objęciach Morska Dama. Rozumiem, że była pięknie zbudowana, oczywiście tylko do miejsca, w którym się ten okropny ogon rozpoczynał, (a pletwy, powiadam panu, zwierzała się pani Bunting później memu kuzynowi szeptem, z obu

stron ogona z zastrzonymi końcami, jak u tej makreli!). Można sobie wyobrazić, jak to trzepotało i kapalo wzdłuż ścieżki! Była przyodziana w bardzo ładny kostjum ze spódnicą z czerwonego materiału, przybrany grubą białą koronką, miała też podobno, jak mnie zapewniała panna Mabel, na sobie podspodni ciepły kaftanik, czego chyba nie można było skonstatować w danej chwili. Owa frygijska czapka zakrywała całkowicie jej złote włosy, ukazując białe, niskie, równe czoło nad oczyma koloru morskiej wody. W świetle późniejszych wypadków sędzę, że w owej chwili z chciwą badawczością przyglądała się werandzie i oknom domu.

Za tą potykającą się parą kroczyła, jak myślę, pani Bunting. Za nią jej małżonek. Strasznie przemokły i znękany musiał wówczas być pan Bunting i, na mocy później uczynionych spostrzeżeń mogę sobie wyobrazić, że prześladował żonę swoim „moja droga, nie mogłem przecież wiedzieć...“

Za nimi zakłopotana, choć bardzo zaciekawiona, gromadka panien w kąpielowych płaszczach i pokojówki, niosące powrozy i rozmaite przybory i nie chcący (jak to ich skromności przystało) ubrania panów.

Wkońcu panna Adelina, po raz pierwszy w życiu bez jakiegokolwiek pozy, konwulsyjnie ściskając swego „Sir George Tressady“, zmieszana i zakłopotana ponad wszelki wyraz.

Za nimi w końcu ogrodu niosły się „Pip, pip“, kapelusz i wzniesione brwi wycieczkowicza, wciąż jeszcze pragnącego wiedzieć „co się stało“?

Tak oto lub w podobny sposób, przy akompaniamencie najdzikszych głoszeń o jakiejś drabinie, słyszalnych, niestety, zbyt wyraźnie z poza muru ogrodowego — (wystrojone snoby! żeby zabierać

t
c
c
w
s
d
n
z
b
k
ir
z
z
m
ja
o
B
z
ja
si
d
n
14

taką rzadką angielską składaną drabinkę!) przeniesiono Panią z Morza (która zdawała się zgoda nie-
tkliwa na wszystko) wprost do willi i ułożono na
szezlongu w pokoju pani Bunting.

I właśnie, gdy panna Adelina zwróciła uwagę,
że należałoby posłać po doktora, Morska Dama
z uroczą naturalnością westchnęła i odzyskała przy-
tomność.

ROZDZIAŁ II

Kilka pierwszych wrażeń

Taka jest z całem prawdopodobieństwem, na
jakie mogłem się zdobyć, historia przybycia na ląd
foltestońskiej syreny. Nie ulega żadnej wątpliwości,
że cała sprawa była świadomie uplanowaniem naj-
ściem z jej strony. Nigdy nie miała kurczów, nie
mogła mieć kurczów; a co się tyczy tonięcia, to nikt
nie był bliskim utopienia się z wyjątkiem pana
Buntinga, którego cenne życie omal nie zostało przez
nią poświęcone na samym początku przygody. Naj-
bliższem jej posunięciem było zażądanie poufnej roz-
mowy z panią Bunting, w której, licząc na swój
świeży i młodociany wygląd, starała się pozyskać
dla swego niesłychanego najazdu na ród ludzki sym-
patję i pomoc tej zacnej niewiasty, [która oczywi-
ście w porównaniu z prastarym wiekiem syreny
była niewinnem, wczoraj zaledwie wyklutem pi-
sklęciem].

Sposób, w jaki dała sobie radę z panią Bun-
ting, byłby wprost nie do uwierzenia, gdybyśmy nie
wiedzieli, że pomimo wielu braków na punkcie zna-
jomości spraw światowych Morska Dama była bar-
dzo czytającą osobą. Opowiadała o tem w kilku

późniejszych rozmowach mojemu kuzynowi, Melvil-
lowi. Nawiązał się bowiem i trwał przez jakiś czas
między nimi stosunek „przyjacielskiej poufałości”,
jak się wyrażał o tem mój kuzyn. Melville, obda-
rzony dość dużą dozą ciekawości, dowiedział się
wielu interesujących szczegółów z życia „tam hen”,
albo „tam w głębi” — syrena używała naprzemian
obu wyrażen. Z początku Pani z Morza zachowy-
wała się nader odpornie względem jego zlekka na-
tarczywej ciekawości, ale z biegiem czasu dała się
unieść wybuchom poufnych zwierzeń.

„Jest widoczne” pisze Melville w jednej ze
swych notatek, „że dawne pojęcie o podziemnym
życiu, jako o rodzaju nieustannej gry w chowanki
pośród koralowych grot, przerywanej rozczesywa-
niem włosów na przybrzeżnych skałach przy świetle
księżyca, wymaga dużej modyfikacji”. Weźmy na-
przykład literaturę. Mają tam wszystkie utwory na-
szego świata, no i nieograniczone wczasy do od-
czytania tego wszystkiego. Melville specjalnie pod-
kreśla te „nieograniczone wczasy”, których zdaje im
się raczej zazdrościć. Obraz syreny, kołyszącej się
w hamaku z traw morskich, z tem, co biskup na-
zwałby „powieścią współczesną” w jednej ręce,
a z fosforyzującą rybą o sile szesnastu świec w dru-
giej może razi nasze zdawna nabyte pojęcia, ale
daleko lepiej odpowiada wizji otchłani podziemskiej,
przedstawionej przez syrenę. Wszędzie Wielka Prze-
miana wolę swoją w rzeczach żłobi, wszędzie, nawet
wśród nieśmiertelnych istot. Nowożytność postępy
swe czyni. Przypuszczam, że i na Olimpie jest partja
postępowa i jakiś nowy Phaeton, agitujący zastąpie-
nie koni ojca swego nowym słonecznym motorem
własnego pomysłu. Powiedziałem coś w tym ro-
dzaju kuzynowi, szepnął: „okropność! okropność!”

i zapatrzył się ponuro w ogień na kominku mego gabinetu. Kochany stary! Dostarczyła mu mnóstwa danych o czytelnictwie podmorskiem.

Oczywiście nie drukują książek „tam w głębi”, ile że farba drukarskaby tam spłynęła, a raczej ulotniłaby się — wyjaśniła mu to dokładnie; ale w ten, czy w inny sposób cała ziemską literaturę, jak mówi Melville, dociera do nich.

— Wiemy — rzekła, — o wszystkim.

Stanowią oni rzeczywiście wybitnie „czytelniczą” publiczność, a dopełnienia do owej obszernej czytelni, krążące wiecznie z prądami, są obecnie systematycznie poszukiwane. Źródła są rozmaite, w niektórych wypadkach dość niezwykle. Wiele książek znaleziono w zatopionych okrętach.

— Czyżby? — rzekł Melville.

— Wypada mniej więcej po jednej książce na statek — twierdziła syrena.

Odbywa się też nieustanne wypadanie lub zwanie przez wiatr powieści i pism ilustrowanych ze statków pasażerskich — czasami, ale nie są to na ogół zbyt cenne akwizycje — ktoś umyślnie cisnie książkę za burtę. Czasami książki zupełnie specjalnego gatunku bywają po przeczytaniu wyrzucane. (Melville, jako bardzo subtelny i drażliwy czytelnik, rozumie to zapewne dobrze). Okazyjnie też wiatr znosi z lotnisk przybrzeżnych do morza lżejszą literaturę. Poza tem, gdy dni blasku naszych „wziętych” powieściopisarzy przemijają, księgarnie zwykły wrzucać do morza te nadliczbowe egzemplarze literatury nadobnej, których szpitale i więzienia przyjąć nie chcą.

— O tem dotychczas nic nie było wiadomo — zauważyłem.

— Oni wiedzą o tem — odpowiedział Melville.

Pobrzeża dostarczają też w inny sposób nieco literatury. Młode parki w fazie „poszukującej odosobnienia” często, jak opowiadała syrena memu kuzynowi, wracając do towarzystwa, pozostawiają za sobą utwory belletrystyczne najlepszej i najświeższej marki. Szczególnie piękna kolekcja angielskich książek znajduje się podobno w głębi Kanału Angielskiego. Jest tam prawie cały komplet wydań Tauschnitza, rzucony za burtę w ostatniej chwili przez nieśmiałych lub sumiennych podróżników, wracających z Kontynentu. Do niedawna było takie samo obfite źródło amerykańskich przedruków w rzece Merty, ale to w ostatnich czasach odpadło. Misja zaś Morska dla Rybaków od kilku lat zasypuje głębinę broszurkami, które nadały specjalnie wzniosły poziom myśli rozległym mieliznom Morza Północnego. Syrena bardzo dokładnie wyjaśniła te szczegóły.

Jeśli zważymy warunki, w jakich formują się te biblioteki podmorskie, nie zdziwi nas zupełnie, że literatura nadobna ma tam taką samą przewagę, jak na półkach panów Mudie*). Kuzyn mój dowiedział się też, że rozliczne miesięczniki ilustrowane, a zwłaszcza żurnale mód, są tam cenione jeszcze więcej niż powieści i przeglądane bywają z pełnem zawiści wzruszeniem.

Otworzyło mu to, nawiasem mówiąc, oczy na jedną z pobudek wyjrzenia tej przedsiębiorczej damy na światło dzienne. Uczynił nawet pewną wzmiankę w tym kierunku. — Jużbyśmy się oddawna były zaczęły stroić, nie brak nam wcale kobiecości, może mi pan wierzyć, panie Melville — rzekła z napoły

*) Słynny księgarz w Londynie, dostawca high-life’u angielskiego.

żałosnym uśmiechem — tylko że, jak to już tłumaczyłam pani Bunting, trzeba przyjąć pod uwagę okoliczności — czyż podobnaby było zachować wszystkie te stroje w pożądanej świeżości tam pod wodą? Wyobraź pan sobie koronki!

— Przesiąkłe wodą — rzekł mój kuzyn.

— Rozmokłe! — rzekła Morska Dama.

— Zniszczone — rzekł mój kuzyn.

— A potem, wie pan, włosy — dodała znacznie poważniejszym tonem Syrena. — Jakże tu dać sobie radę z włosami?

— To prawda — rzekł Melville. — Przecież nie możecie ich nigdy wysuszyć!

— Właśnie o to chodzi — rzekła.

Kuzyn Melville błyskawicznie ujrzał w zupełnie nowem świetle starą kwestję. „A więc to dlatego w dawnych czasach...”

— Właśnie! — zawołała. — Właśnie! Dawniej, gdy nie było jeszcze tylu wycieczkowiczów, marynarzy i pospólstwa dokoła, można było usiąść sobie gdzieś w słońcu i rozczesywać włosy. Można było spać sobie włosy w jakąś fryzurę. Ale dziś...

Uczyniła niecierpliwy gest, patrząc serjo na Melvilla i zagryzając wargi. Mruknął coś niewyraźnie. „Ten wstrętny duch czasu” — rzekł prawie machinalnie... Jednak, chociaż beletrystyka i mody mają pożalowania godną przewagę w pokarmie umysłowym syren, nie należy przypuszczać, by najpoważniejsze produkcje naszego piśmiennictwa nie dosięgały nigdy dna morskiego. Niedawno naprzykład, jak opowiadała syrena, miał miejsce ciekawy wypadek. Pewien kapitan, którego umysł pod wpływem jarmarcznej wrzawy, czynionej przez dzienniki *Times* i *Daily Mail*, wypadł nieco z zawiasów, zafundował sobie nie tylko używany egzemplarz przedrukowanej

przez *Times Encyclopaedia Britannica*, ale jeszcze i ową zwartą kolekcję urywków i próbek literackich, ową kielbasę resztek literatury, wtłoczoną (butem do worka) w masywne wydanie Doktora Ryszarda Garnetta. Oddawna już było wiadomo, że największe nawet umysły przeszłości zbyt były obfite i zbyt pogmatwane w swoich, że się tak wyrażę, elukubracjach. Doktor Garnett, jak stwierdzono, zdołał uchwycić sens rzeczy i podał go w takim streszczeniu, że obecnie prawie każdy człowiek, nawet najbardziej zajęty, może zapoznać się z całą literaturą bez ujemy dla swych bardziej poważnych zajęć. Ów niešťczęśny, pomyłony marynarz zabrał ze sobą na statek całą kolekcję. Widocznie chciał wyładować w Sydney jako najuczeńszy człowiek współczesny, — arcy-hinduski pomysł. Rezultat łatwy do przewidywania. Olbrzymia paka ksiąg nocą przesunęła się, a przerzucając cały ciężar wiedzy dziewiętnastego stulecia i literatury wszech czasów w stanie zjadliwego stłoczenia na jedną stronę małego statku, momentalnie go przeważyla... Okręt, jak opowiadała Morska Dama, poszedł na dno, jakgdyby był naładowany ołowiem, załoga i inne ruchomości przybyły dopiero pod koniec dnia, przyczem dał się zauważyć ciekawy fenomen, spowodowany zapewne poprzedniem zagłębianiem się w owem treściwem dziele: wbrew obyczajom zwykłych topielców, kapitan poszedł na dno głową naprzód...

Takie jednak wyjątkowe wypadki nie mogą mieć wielkiego wpływu wobec nieustannej ulewy lekkiej literatury, padającej w głąb morza. Powieść i dziennik pozostają głównym pokarmem czytelników także i na dnie morskiem. Z późniejszych wypadków można wywnioskować, że Morska Dama czerpała swoje pojęcia o ludzkim życiu i uczuciach

z tych to właśnie przeciętnych najnowszych powieści i dzienników i że one to natchnęły ją myślą owych odwiedzin. A jeśli czasami zdawała się niedoceniać szlachetniejszych tendencji ducha ludzkiego, jeśli skłonna była do traktowania Adeliny Glendower i wielu głębszych objawów życiowych z pewnego rodzaju sceptycznym lekceważeniem, jeśli wkońcu niezaprzeczenie pozwoliła swej niepohamowanej namietności zapanować nad poczęciem słuszności i rozsądkiem, sprawiedliwość wymaga, byśmy jej upadek przypisywali właściwym przyczynom.

II

Kuzyn mój, Melville, jak już powiedziałem, na zasadzie uzyskanych rozmów z syreną wyrobił sobie jakieś mgliste, bardzo mgliste pojęcie o owym podmorskim świecie. Trudno mi, rozumiem się, osądzić, czy i o ile koncepcja jego zgodna jest z rzeczywistością.

Daje mi on obraz jakiegoś zaiste dziwnego świata. Zielona świetlana płynność, wśród której unoszą się te istoty, przestwór, oświetlony przez przepływające we wszystkich kierunkach olbrzymie błyszczące potwory, i falujące lasy mglistej poświaty, pośród której drobne rybki migają jak gwiazdy wskroś oka sieci. Świat, w którym się nie siedzi, nie stoi, nie przychodzi i nie odchodzi, świat, którego mieszkańcy płyną i unoszą się na falach, jak unosi się i płynie czasami człowiek we śnie. A jak tam żyją? „Mój drogil” rzekł Melville, „to musi być zupełnie jak malowidło na suficiel...”

Nie jestem nawet tak dalece pewny, że to właśnie na dnie morza znajduje się ów świat Morskiej Damy. No, a te przemokłe książki i zatopione dzien-

niki? zapytacie. Moi kochani, rzeczy niezawsze są tem, czem się być wydają, a nie zapominajmy, że Syrena opowiedziała o tem wszystkiem Melvillowi w pewne cudne roześmiane południe.

Czasami wydawała się, powiada Melville, tak realną istotą jak my wszyscy, i nagle spowijała ją całą nieprzenikniona tajemnica. Czasami zdawało mu się, że możnaby ją było zranić, czy zabić, jak każdego innego człowieka — na przykład scyzorykiem, a były znów chwile, w których czuł, że choćby cały świat, dostępny zmysłom, uległ zniszczeniu, jej uśmiechby pozostał. Ale o tym dwuznacznym żywiole w istocie syreny później więcej powiemy. Są rozleglejsze morza, niż te, po których kiedykolwiek okręty żeglowały, są otchłanie, których żadna ołowianka, dłonią ludzką rzucona, nie zgłębi.

Podsumowawszy wszystko, muszę przyznać, że nic nie wiem i nic powiedzieć nie mogę. Muszę się trzymać Melvilla i mizernego szeregu zebranych faktów. Z początku nic tak dalece niezwykłego nie uderzało tych, którzy mieli z Syreną do czynienia. Była oto przed nimi solidna, namacalnie cielesna — Dama, przybyła z morza.

Świat nowożytny jest światem, w którym cudowne jest właśnie banalnem, a wychowanie uczy nas nie dziwić się niczemu. Czemużby ucieleśniona Syrena miała zastanawiać nas, którzy widzieliśmy Dewarsa, zamieniającego w ciała stałe najrozmaitsze niepochwytne rzeczy i promienie Marconiego rozchodzące się wszędy? Dla Buntingów Syrena była rzeczywistością, takim samym zbiorem autentycznych pobudek i zdrowych solidnych uczuć, jakim był cały świat, wśród którego się obracali. Taką była dla nich na początku i taką pozostała po dziś dzień w ich pamięci.

Co i jak Morska Dama mówiła do pani Bunting owego pamiętnego poranka, spoczywając, mokrą jak ryba, na kanapie w ubieralni tej pani, mogę wam powtórzyć dość dokładnie. W długich tak miłych sercu obojga pogawędkach, które za owych dawno minionych błogich dni toczyły się między panią Bunting a moim kuzynem, pani Bunting nieraz opowiadała Melville'owi o tej pierwszej rozmowie z syreną, odtwarzając dramatycznie ważniejsze momenty dialogu. Zdaje się, że syrena zaraz pierwszym swym przemówieniem starała się trafić do wspaniałomyślnego macierzyńskiego serca tej pani. Uniosłszy się na szeslongu, przykryła skromnie antymaltasarem swe kalestwo i, to spuszczając słodko oczy, to znów otwarcie i ufnie spoglądając na panią Bunting, wyrażając się delikatnym jasnym, poprawnym językiem, dającym odrazu poznać, że nie jest zwykłą syreną, lecz naprawdę skończoną Morską Damą, zwierzyła się, jak opowiadała pani Bunting, szczerze ze wszystkiego i z całym zaufaniem oddała się pod opiekę pani Bunting.

— Pani Bunting — mówiła — niech mi pani pozwoli przedewszystkiem przeprosić Ją za me natręctwo. *Rozumiem*, że to jest natręctwo. Ale proszę mi wierzyć, że byłam do tego *zmuszona*. Jeśli pani tylko raczy wysłuchać mojej historii, jestem pewna, że znajdzie pani, jeżeli nie zupełne — wiem przecież jak wzniosłe muszą być Jej zasady — to przynajmniej częściowe usprawiedliwienie mego zachowania się względem pani, które, ze wstydem przyznać to muszę, było zwodnicze. Tak jest — skłamałam. Nie miałam kurczów. Ale droga pani Bunting, niech pani pamięta o tem, że — tu pani Bun-

ting czyniła długą znaczącą pauzę — nigdy nie miałam matki!

— I tu — mówiła pani Bunting, opowiadając tę scenę Melville'owi — biedne dziecię wybuchło płaczem. Zwierzyła mi się, że urodziła się wiele, wiele wieków temu, w jakiś cudowny sposób, w jakimś okropnem miejscu, gdzieś w pobliżu Cypru, że nie miała żadnego prawa do jakiegokolwiek legalnego nazwiska — no rozumie pan! — tu pani Bunting czyniła gest charakterystyczny, którym zwykła pomiąć i odsuwać od siebie wszelką niedelikatną tendencję. — A mówi takim pięknym akcentem; zachowuje się jak prawdziwa dobrze urodzona dama!

— Naturalnie — zauważył mój kuzyn — są pewne warstwy narodu, którym się wybacz — trzeba przyjać pod uwagę.

— Właśnie — rzekła pani Bunting. — I widzi pan, okazuje się, że ona świadomie wybrała mnie, jako taką właśnie osobę, do której oddawna pragnęła była się zwrócić. To nie było przypadkiem, to był świadomy wybór z jej strony. Płynęła wzdłuż brzegu, przyglądając się ludziom dzień po dniu. Powiada, że ujrzała wyraz mej twarzy podczas gdy strzegliam mych kąpiących się dziewcząt.

— Wie pan, jak zabawne bywają czasem dziełczyzny — rzekła pani Bunting z lekkim jakby uniewinniającym się uśmiechem i łzą wzruszenia w poczciwych oczach — Uczuła gwałtowną sympatię do mnie od pierwszej chwili.

— Rozumiem to *bardzo* dobrze — rzekł mój kuzyn z namaszczeniem. Wiem na pewno, że tak powiedział, chociaż pomią to zawsze w swem opowiadaniu. Zapomina widocznie, że od czasu do czasu bywałem uprzywilejowanym „trzecim” w tych długich poufnych gawędach.

— Wie pan, to jest zupełnie jak w tej słynnej niemieckiej baśni — rzekła pani Bunting. — *Uum* — jakże to?

— Undyna.

— Właśnie. I zdaje się rzeczywiście, że te biedne stworzenia są nieśmiertelne. Przynajmniej do pewnego stopnia, istoty powstałe z żywiołu i napowrót do łona żywiołu potem powracające. I, zupełnie jak w owej baśni, czegoś im brak — nie mają Duszy. Zupełnie nie mają duszy! Wcale! A biedne dziecię odczuwa ten brak. Boleśnie to odczuwa. A wiadomo panu pewnie, panie Melville, że by zdobyć Duszę, muszą wejść w świat ludzi. Przynajmniej takie przekonanie panuje u nich tam w głębinach. Oto dlatego przybyła do Folkestone. By zdobyć Duszę. Taki jest jej wielki cel. Nie bierze ona jednak tej sprawy zbyt fanatycznie, ani zbyt przesadnie. Tak samo jak my. Rozumie się, że my — ludzie o głębokim uczuciu.

— Rozumie się — rzekł mój kuzyn. Jestem pewny, że miał w tej chwili wyraz głębokiej powagi na twarzy, powieki opuszczone i przytłumiony głos. Kuzyn mój bowiem w ten czy inny sposób wielce się troszczy o swoją Duszę.

— Rozumiała, że jeśli ma bytować na ziemi, to *musi* osiąść wśród *delikatnych* ludzi i musi urządzić sobie jakiś przyzwoity sposób życia. Można łatwo pojąć jej uczucia w tym wypadku. Ale pomyśl pan z jakimi to jest połączone trudnościami. Stać się powodem publicznego zaniepokojenia, głupich plotek sezonowych, być wystawionym niejako na pokaz — nie, tego naturalnie wcale sobie nie życzy — rzekła pani Bunting z dobitnym gestem obu rąk.

— A czego ona sobie życzy właściwie? — zapytał Melville.

— Pragnie, by ją traktowano jak istotę ludzką, chce *być* istotą ludzką, taką samą jak ja, czy pan. Prosi, by mogła zamieszkać z nami, należeć do rodziny, dowiedzieć się, jak my żyjemy, nauczyć się żyć. Prosiła mnie o radę, o wybór książek prawdziwie godnych czytania i gdzie można znaleźć dobrą krawcową, jak może dostać odpowiedniego duchownego, któryby zrozumiał jej położenie, z którego nauk mogłaby korzystać. Słowem, we wszystkim pragnie zastosować się do moich rad. Całkowicie oddaje się w moje ręce. I tak ładnie i grzecznie prosiła o to wszystko!

— Hm — mruknął Melville.

— Szkoda, że pan jej nie słyszał — zawołała pani Bunting.

— Przybywa pani zatem jeszcze jedna córka — zauważył mój kuzyn.

— Tak — rzekła pani Bunting — ale to mnie nie przeraża. Ona też tak się na to zapatruje.

— Jednak.

Przeszedł się po pokoju.

— Czy posiada jakieś fundusze? — zapytał nagle.

— Sute. Mówiła mi o skrzyni, przywiązanej do wystającej skały. Kochany Randolph stał na straży przez cały czas śniadania. Podczas odpływu, gdy można było dobrać i uchwycić powróż, którym była umocowana, on i Fred przyciągnęli ją i z pomocą Fiteta i stangreta przenieśli do domu. Jest to dość niezwykła dla damy skrzynia. Odrobiona solidnie, ale drewniana, z okrętem wymalowanym na wierzchu i nazwiskiem „Tom Wilders“ wyciętym zgruba scyzorykiem. Ale jak nam tłumaczyła, skóra zupełnie się nie trzyma tam wdole, trzeba się z konieczności

zadowolnić tem, co się dostaje. A najważniejsze, że jest pełna, po brzegi napelniona złotem i klejnotami. Tak, złoto i diamenty, panie Melville. Pan wie, Randolph zna się na tem. Tak. Otóż on mówi, że ta skrzynia — O! poprostu niepodobna wypowiedzieć, ile jest warta! I wszystkie złote przedmioty mają jakiś lekki czerwony odblask... Ale w każdym razie jest równie bogata jak piękna i urocza.

I w istocie, wzięwszy wszystko razem, panie Melville... — Postanowiłam dopomóc jej, o ile to będzie w mojej mocy. Będzie naszym płatnym gościem. Wiadomo panu — nie jest to tajemnicą między nami — że Adelina — Tak... ona będzie na takich samych prawach. Wprowadzę ją w świat, zaznam ją z ludźmi i t. d. To będzie dużym dla niej ułatwieniem. A dla wszystkich, z wyjątkiem paru zaufanych przyjaciół, będzie ludzką istotą, damą dotkniętą przypadkowym niedomaganiem — przejściowem — Zaangażujemy uczciwą, zaufaną kobietę — jedną z tych niewiast, wie pan, co to nie dziwią się niczemu — jest to trochę kosztowne, ale i w obecnych czasach znaleźć taki okaz — będzie jej usługiwała, szyła jej suknie, a przynajmniej spódnice — będziemy ją oczywiście ubierały w długie spódnice, trzeba przecież pokryć To czemś, rozumie pan.

— To?

— No tak, ten ogon.

Kuzyn mój rzekł „właśnie“ głową i brwiami. Ale to właśnie był punkt, z którego dotąd nie zdawał sobie dostatecznie sprawy. Zaparło mu to dech literalnie. Naprawdę — ogon! Różne błędne teorie wyleciały w tej chwili za burtę. Czuł niejako, że temat ten nie nadaje się właściwie do dalszej dyskusji. Ale byli takimi dawnymi przyjaciółmi!

— Więc ona rzeczywiście ma... ogon? — zapytał.

— Zupełnie jak makrela — odpowiedziała pani Bunting.

Nie pytał już więcej.

— Ogromnie niezwykła sytuacja.

— Czy mogłam inaczej postąpić? — pytała pani Bunting.

— Jest to, rozumie się, ciężki eksperyment — rzekł mój kuzyn i powtórzył zupełnie niechcący — Ogon!

Jasno i żywo przed jego oczyma, tamując zupełnie bieg myśli, stanęły świecące, wyraźne linie, oleista czerń, zieleń, fiolet, srebro i szerokie rozmiary kończyny makreli.

— Ale doprawdy, wie pani — rzekł mój kuzyn, protestując w imię rozsądku i dziewiętnastego stulecia. — Ogon!

— Dotknęłam się go — rzekła pani Bunting

IV

Niektóre dodatkowe szczegóły owej pierwszej rozmowy z syreną zakomunikowała mi pani Bunting osobiście.

Morska Dama popełniła dość zabawną pomyłkę. Mówiąc do pani Bunting, wyraziła się: cztery urocze córki — dwaj synowie pani.

— Moja kochana — odparła pani Bunting — było to już po wstępnych wyjaśnieniach — mam tylko dwie córki i jednego syna!

— Tego młodzieńca, który mię nosił — który mię wyratował?

— Tak. A te dwie panny są to przyjaciółki, goszczące u nas. Uważasz, moje dziecko, na lądzie miewa się często gości.

— Rozumiem, więc omyliłam się?

— O tak.

— A ten drugi młodzieniec?

— Nie mówisz pewnie o moim mężu?

— A który jest pan Bunting?

— Ten drugi pan, który cię...

— O *nie!*

— Ależ nie było innego.

— Ale kilka dni temu?

— Miał że to być pan Melville?... Ach wiem już, masz pewnie na myśli pana Chatteris. Przypominam sobie, że zeszedł któregoś poranku z nami nad morze. Wysoki młody człowiek o jasnych nieco kędzierzawych włosach? Czy tak? I z taką raczej zamysłoną twarzą. Był w białym płóciennym garniturze i siedział na brzegu.

— Myśle, że to on był właśnie — rzekła syrena.

— Nie, to nie mój syn. To jest... to jest nasz przyjaciel. Jest zaręczony z Adelina, starszą panną Glendower. Bawił dzień czy dwa. Pewnie wstąpi znowu do nas na powrotnej drodze z Paryża. Boże drogi! wyobrazić sobie, żeby *ja* miała już takiego syna!

Morska Dama nie odrazu zdobyła się na odpowiedź.

— Jakąż głupią pomyłkę uczyniłam! — rzekła po chwili, a potem z większym ożywieniem dodała:

— Rozumie się, gdy się zastanowić, jest o wiele za stary na to, by mógł być synem pani!

— Ma już trzydzieści dwa lata — rzekła pani Bunting z uśmiechem.

— To doprawdy niedorzeczne!

— *Tego* nie powiem.

— Ale wie pani, widziałam go tylko zdaleka —

rzekła Syrena; a potem — więc jest zaręczony z panną Glendower? A panna Glendower?

— To ta panna w purpurowej sukni.

— Z książką w ręku?

— Tak jest, to ona, już od trzech miesięcy są po słowie.

— Boże drogi! — rzekła Syrena — zdawało mi się, że... A czy bardzo jest w niej zakochany?

— O, rozumie się!

— Bardzo, *bardzo*?

— Naturalnie. Przecież inaczejby nie...

— Tak, rozumie się — rzekła w zamyśleniu.

— Jest to przecież świetna partja pod każdym względem. Adelina ma wszelkie warunki mogące ułatwić mu jego zadanie.

I tu pani Bunting krótko lecz dobitnie wyjaśniła Syrenie stanowisko pana Chatteris'a, nie pomijając oczywiście szczegółu, że jest siostrzeńcem autentycznego hrabiego, bo i czemużby miała pominać fakt tak znamienity? — przedstawiła świetne perspektywy, jakie otwiera przed nim związek z plebejzowską wprawdzie, ale zato olbrzymią fortuną panny Glendower. Morska Dama słuchała tych wywodów.

— Jest młody, jest zdolny, może dojść do wszystkiego — tak, do wszystkiego. A ona taka poważna i również bardzo zdolna — taka czytana. Czytuje nawet Księgi Błękitne — wiesz, te sprawozdania urzędowej statystyki — ogromnie suche cedulkowe rzeczy. I o położeniu Proletariatu i wszystkim tego rodzaju rozprawy. Wie ona więcej o położeniu Proletariatu niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi, ile zarabiają, jak się odżywiają, ilu mieszka w jednym pokoju. Wiesz, tak są natłoczeni w tych izbach, że to poprostu jest nieprzyzwoite. Tak, Ade-

lina jest właśnie wymarzoną dla Chatteris'a pomocnicą. Taka pełna godności — taka zdolna do prowadzenia salonu politycznego i wywierania wpływu na ludzi, taka poważna! I wiesz, umie przemawiać do robotników, interesuje się Związkami Pracowników i wprost *zdumiewającymi* rzeczami. Powiadam ci, wcielona „Marcella“*).

Poczem zacna dama pełnemi żaglami wypłynęła na wody anegdot o zadziwiającej wiedzy panny Adeliny w sferze Książ Błękitnych.

— Czy on tu wkrótce przybędzie? — zapytała pośród tych opowiadań niedbale Syrena.

Zapytanie utonęło w anegdocie, więc Morska Dama powtórzyła je nieco później jeszcze niedbalej.

Pani Bunting nie wie, czy Syrena westchnęła przy tem, czy nie. Zdaje jej się, że nie. Ale była wtedy tak zajęta opowiadaniem Morskiej Damie wszystkiego o wszystkim, że nie sądzi, by mogła była w danej chwili czynić jakieś spostrzeżenia nad tem, jak jej informacje zostały przyjęte.

Resztką niezaabsorbowanej własnym opowiadaniem świadomości pani Bunting krążyła zapewne dokoła „Ogona“.

V

Myślę, że nawet dla pani Bunting — jest ona z rodzaju tych osób, które wszystko (oczywiście oprócz impertynencji i nieprzyzwoitości) przyjmują ze spokojem — znaleźcie się we własnym buduarze na herbatce z prawdziwą, żywą, legendarną

*) „Marcella“ bardzo w swoim czasie popularna powieść pani Humphrey-Wands, której bohaterka uprawia niwą społeczno-politycznej pracy.

istotą musiało być nieco niesamowite. Piły herbatę w buduarze, aby uniknąć najścia obcych. Pani Bunting bowiem pomimo żywych protestów Syreny wmawiała w nią, że *musi* być zmęczona i niezdolna do przyjmowania wizyt. „Po *takiej* podróży“, mówiła pani Bunting. Były we trzy: tą trzecią była Adelina. Fred i trzy panny krecili się prawdopodobnie po schodach, (ku irytacji służby pozbawionej w ten sposób możliwości podsłuchiwania i podpatrywania.) komunikując sobie nawzajem uwagi o „Ogonie“, prowadząc obszerną dyskusję na temat syren wogóle, to znów zaglądając do ogrodu, lub schodząc na brzeg morza, by przyjrzeć się ponownie miejscu doniesłego zdarzenia i wskroś tego wszystkiego gorliwie szukając wymówki, któraby im pozwoliła wtargnąć do zacisznego buduaru i rzucić okiem na interesującą damę. Pani Bunting kategorycznie zabroniła im wchodzenia do swego pokoju i nakazała całej trójce ścisłą dyskrecję, czuli się więc zapewne wszyscy nieswojo i stracili nieco na humorze. Z początku grali opieszale w krokieta, każde z jednym okiem skierowanym ku oknom buduaru.

Pani Bunting zaś był w łóżku.

Trzy panie siedziały, gawędząc, w zacisznym gabinecie, mniej więcej w ten sam sposób, w jaki rozmawiałyby każde inne trzy panie, uprzejme i dobrze wychowane. Pani Bunting i panna Adelina były zbyt przejęte zasadami Dobrego Towarzystwa (a wiadomo przecież, że i najlepsze jest w obecnych czasach bardzo mieszane), by dochodzić ściśle sposobu życia Morskiej Damy, badać, gdzie właściwie dawniej przebywała, kogo znała, z kim obcowała i t. d. Nie ulega jednak wątpliwości, że obie mocnoby były ciekawe dowiedzieć się czegoś w tym względzie. Ale Syrena nie spieszyła z informacjami, poprzestając na

towarzysko-powierzchniem dotykaniu przedmiotu w sposób zupełnie zgodny z prawidłami dobrego tonu. Zapewniała, że ogromnie miło jest być na powietrzu, czuć się na zewnątrz zupełnie suchą, i specjalnie zachwycala się herbatą.

— Jakto, czyż nie macie tam *herbaty*? — zapytała ze zdziwieniem panna Adelina.

— Jakim sposobem?

— Więc naprawdę?

— Nigdy w życiu *nie kosztowałam* herbaty. Jak pani sobie wyobraża, że mogłybyśmy zagotować wodę?

— Jakież to obcy — jakież to dziwny świat! — zawołała Adelina. A pani Bunting dodała. — Jakże trudno wyobrazić sobie świat bez herbaty! To przecież gorsze niż — chciałam powiedzieć, że to mi przypomina — zagranicę.

Pani Bunting właśnie ponownie napełniała herbatą filiżankę Morskiej Damy. — Czy to aby... — przypomniała sobie nagle — Nie jesteś przyzwyczajona do herbaty — czy to nie zaszkodzi twemu żołąd... Spojrzała na Adelinę i zawahała się. — Ale to jest prawdziwa chińska herbata.

I napełniła filiżankę.

— Jest to świat niezrozumiały dla mnie — rzekła Adelina. — Zupełnie *nie* do pojęcia.

Ciemne jej oczy spoczęły przez jakiś czas w zamyśleniu na Syrenie. — Zupełnie nie do pomyslenia — powtórzyła.

Tak samo jak szept nieraz zwrócić może naszą uwagę, której zgiełk wielki pobudzić nie zdołał, herbata otworzyła oczy Adeliny daleko szerzej niż ogon.

— Syrena spojrzała na nią i w przystępie na-

głej szczerości rzekła. — Pomyśl pani, jak dalece *to* wszystko mnie się dziwne wydawać musi!

Ale wyobraźnia Adeliny była narazie zbyt podniecona, by dała się zbić z toru ziemskimi wrażeniami Syreny. Na mgnienie oka zdawała się przenikać powłokę dobrego układu i pogody umysłu, demonstrowanych przez Morską Damę, tak szczęśliwie imponujących pani Bunting. — Musi to być strasznie dziwny świat — rzekła i zatrzymała się zachęcająco.

— Nie wypadało nalegać, a Morska Dama jakoś nie kwapiła się z pomocą.

Nastąpiła przerwa w rozmowie i ciche, gorliwe poszukiwanie innego tematu. A propos nenufarów na stole zaczęto mówić o kwiatach, a panna Glendower rzuciła uwagę — Macie tam przecież anemony! Pięknie muszą wyglądać pośród skał!

I Syrena przyznała, że są rzeczywiście piękne, zwłaszcza gatunki uprawne.

— A ryby — rzekła pani Bunting — jak niezwykle musi się tam przedstawiać widok ryb!

— Niektóre z nich — wyjawiała Morska Dama — są tak obłaskawione, że jedzą z ręki.

Pani Bunting wydała pewne lekkie aprobowane gruchanie. Przypomniały jej się wystawy z Chrystusem i zewnętrzny dziedziniec Królewskiej Akademii. Należała do rzędu ludzi, których zadawalniali jedyne rzeczy dobrze znane i poufale, miała chwilową wizję otchłani, jako czegoś w rodzaju parku rozrywek, Picadilly, lub Temple, miejsca nieoczekiwane racjonalnego i komfortowego. Zawiązał się był na chwilę supeł w sprawie oświetlenia, ale to wpadło na myśl pani Bunting znacznie później. Syrena starała się zwrócić poważną badawczość panny Adeliny w kierunku światła słonecznego.

— Światło słoneczne wydaje się tu takie zło-

ciste — rzekła Syrena. — Czy zawsze jest takie złociste?

— A wy tam macie ten piękny złocisto zielonawy brzask, który daje się czasem uchwycić w akwariach — zauważyła panna Glendower.

— O, żyjemy znacznie głębiej — rzekła Syrena. — Wszystko tam fosforyzuje na jaką miłą woń. Wie pani, jest to zupełnie jak — doprawdy nie wiem — jak miasto, widziane zdaleka w nocy — tylko silniej świecące. Jak grobla wieczorem, lub coś w tym rodzaju.

— Naprawdę! — rzekła pani Bunting z wizją wielkich bulwarów po teatrze w głowie.

— Zupełnie jasno?

— O, zupełnie — rzekła Morska Dama.

— Ale czyż się tych światel nigdy nie gasi? —

zapytała niepewnie Adelina.

— Jest to tak zupełnie odmienne — rzekła Syrena.

— I właśnie dlatego tak interesujące — zauważyła Adelina.

— Nie mamy ani dnia, ani nocy, ani wogóle czasu, rozumie pani, nic w tym rodzaju.

— To jest naprawdę *ogromnie* dziwne — rzekła pani Bunting, w roztargnieniu trzymając filiżankę Adeliny. Obie panie w zainteresowaniu się sprawą Morskiej Damy wypili masę herbaty. — Ale skąd wiecie, kiedy jest niedziela?

— Nie wiemy — zaczęła Syrena. — A przynajmniej nie wiemy dokładnie. — A potem dodała — oczywiście słyszymy piękne psalmy, śpiewane w niedzielę na statkach pasażerskich.

— Oczywiście — rzekła pani Bunting, przypominając sobie z czasów swej młodości śpiewane

w ten sposób psalmy i zapominając narazie o pewnych niejasnych rysach, uchwyconych poprzednio.

Nieco później ukazał się błysk poważniejszej rozbieżności pojęć — błysk zaledwie. Panna Glendower zaryzykowała przypuszczenie, że lud morski ma też zapewne swoje „Proletariaty“. Zdaje się, że w tej chwili wrodzona intensywność umysłu Adeliny odniosła zwycięstwo nad towarzyską ogładą. Zaczęła zadawać pytania. Nie ulega wątpliwości, że Syrena dawała odpowiedzi wymijające. Panna Glendower zrozumiała, że była zbyt natarczywą i usiłowała pokryć swój błąd, wypowiadając raczej ogólne wrażenie.

— Jakoś zupełnie nie mogę sobie tego wszystkiego uprzytomnić — rzekła z gestem, jakby proszącym o współczucie. — Trzebaby to widzieć samemu, *być* tam, trzebaby na to urodzić się dziecięciem syreniem.

— Dziecięciem syreniem? — zapytała Morska Dama.

— Czyż nie tak nazywacie swoje maleństwa?

— Jakie maleństwa? — zapytała Syrena.

Patrzyła się na te panie przez chwilę ze szczerem zdziwieniem, nieprzebranem zdumieniem nieśmiertelnych wobec nieustannego rozkładu, zgonu i przemian, stanowiących treść ludzkiego żywota. Potem z wyrazu ich twarzy zmiarkowała, o co chodzi. — Tak, naturalnie — a potem, nie dopuszczając do dalszego zgłębienia kwestji, dodała, zgadzając się z Adelina: — tak, rzeczywiście, to jest wszystko odmienne, choć pozornie takim samem wydawać się może. Naprzykład, czy uwierzycie panie, że nigdy jeszcze nie miałam upiętych na głowie włosów, ani szlafrocza na sobie?

— A co pani nosiła? — zapytała panna Adeline — zapewne jakieś urocze szaty.

— Tak, to jest zupełnie odmienne odzienie — rzekła Syrena, zmiatając ze stolika jakąś niewidzialną kruszynę.

Na mgnienie oka pani Bunting wpatrzyła się uporczywie w swego gościa. Przypuszczam, że miała w tej chwili jakąś niewyraźną intuicję pogańskich możliwości. Ale tu przed nią siedziała Morska Dama z ślicznymi włosami, ułożonemi według najnowszych wzorów, i z tak szczerą niewinnością w oczach, że podejrzenia pani Bunting wnet pierzchły. (Nie jestem tak pewny pod tym względem Adeliny).

ROZDZIAŁ III

Epizod kilku dziennikarzy.

I

Warto zaznaczyć, że Buntingom rzeczywiście udało się przeprowadzić program ułożony przez panią Bunting. Na jakiś czas zdołali przekształcić Syrenę w zupełnie wiarogodną, nieco niedysponowaną damę pomimo tylu świadków jej wylądowania i pomimo ostrych tarć domowych, które wybuchły niebawem, a co ciekawsze, pomimo tego, że jedna z pokojówek — znacznie później dopiero dowiedziano się, która — opowiedziała pod przysięgą solenną tajemnicę całą historję swojemu arcy-inteligentnemu kawalerowi. Ten zaś następnej niedzieli opowiedział wszystko młodemu obiecującemu dziennikarzowi, przesiadującemu cierpliwie na promenadzie w złudnej nadziei spłodzenia jakiegoś artykułu. Młody dzien-

nikarz przyjął opowiadanie dość sceptycznie. Udał się jednak na wszelki wypadek na poszukiwanie informacji. Wkońcu wydało mu się, że możnaby jednak może coś z tego zrobić. W kilku miejscach znalazł jakieś niewyraźne, ale dość znamienne pogłoski. Młody człowiek pokojówki był dość rozmowny, o ile miał o czem mówić.

Wreszcie młody dziennikarz udał się na wywiady do dwóch głównych dzienników folkestońskich i skonstatował, że pogłoska właśnie dopiero co była doszła do nich. Skłonni byli udawać, że o niczem nie wiedzą, jak to jest zwyczajem dzienników miejscowych wobec rzeczy niezwykłych, ale atmosfera przedsiębiorczości, otaczająca młodego dziennikarza, podnieciła ich. Zauważywszy to, zrozumiał, że niema chwili do stracenia. Podczas gdy redakcje rozmyślały nad wyborem odpowiednich reporterów, przedsiębiorczy dziennikarz zatelefonował do „Codziennej Rakiety” i do „Nowego Dziennika”. Gdy się odezwano, przemówił z całą powagą i stanowczością. Ryzykował swoją reputację — reputację obiecującego dziennikarza!

— Przysięgam, że tam się coś stało — mówił — cała sztuka w tem, by być pierwszym.

Miał już pewną renomę, jak rzekłem — i rzucił ją na szalę. „Codzienna Rakietą” traktowała rzecz sceptycznie, lecz szczegółowo. „Nowy Dziennik” dał nagłówek „Nareszcie Syrena”!

Możnaby pomyśleć, że *teraz* sekret się już wymknął. Ale nie, są rzeczy, w które się nie wierzy, nawet, gdy są wydrukowane w dwugroszówce. Gdy reporterzy zaczęli, że tak powiem, dobijać się do drzwi, gdy opędzano się od nich z trudem, proponując, by się raczyli pofatygować później, gdy niewiarogodna tajemnica ukazała się czarno na białem w dru-

ku, wszyscy byli przekonani, że nie da się uniknąć wystawienia na pokaz całej sprawy. Przewidywali rozpowszechnienie historii. Mogli sobie łatwo wyobrazić nieunikniony szturm poufnych badań, trójnogi najeżdżający operatorów fotograficznych, tłumy ciekawskich, obserwujące okna, słowem, całą grozę rozgłosu. Buntingowie i Mabel byli przerażeni. Adelina była nietyle przerażona, ile przykro dotknięta tym bliskim, a o ile o nią chodziło, wprost zuchwałym rozgłosem. „Nie odważą się nigdy” — rzekła. „Pomyślcie, jak to dotknie Henryka” i przy pierwszej sposobności usunęła się do swego pokoju. Reszta, z niezwykle lekceważeniem jej uczuć, skupiła się dokoła sofki Syreny — która ledwie dotknęła swego śniadania. Roztrząsali zbliżający się skandal.

— Odbiją nasze fotografie w dziennikach — rzekła starsza panna Bunting.

— Byle nie moją starą — zawołała jej siostra. — Muszę się zaraz wybrać do fotografa i kazać sobie zrobić nową.

— Będą interviewowali papę!

— Nie, nie! — bronił się pan Bunting przerażony. — To już matka.

— To do ciebie należy, mój kochany — rzekła pani Bunting.

— Ależ papa nie... — oponował Fred.

— Nie potrafiłbym — w dalszym ciągu bronił się pan Bunting.

— Ba, ktoś będzie musiał im jednak odpowiedzieć — rzekła pani Bunting. — Wiecie dobrze, że nie ustąpią.

— Ależ to wcale nie to, czego pragnęłam — jęczała Morska Dama z „Codzienną Rakietą” w ręku. — Czy nie możnaby tego jakoś powstrzymać?

— Nie zna pani naszych dziennikarzy — rzekł Fred.

Sytuację uratował takt mego kuzyna Melville. Parał się on swojego czasu nieco dziennikarstwem, i nieraz zdarzało mu się toczyć rozmowy z literatami mniej więcej mego pokroju. A literaci mego pokroju są skłonni do wyrażania się dość szczerze o prasie. Dowiedział się, jak tylko przybył, o przerażeniu i wstępie do rozgłosu Buntingów, a lęk ten, wyrażony zbiorowym gwarem całej rodziny, a co ważniejsze, wyczytany w oczach Morskiej Damy, momentalnie wywołał postanowienie z jego strony.

— W tym wypadku nie można zwracać uwagi na drobnostki, kochana pani Bunting. Myślę, że jednak zdołamy uratować sytuację. Niech pani nie traci nadziei. Musimy to od razu przydeptać i tyle. Pozwólcie państwu, że ja rozmówię się sam z reporterami i napiszę sam do dzienników londyńskich. Sądzę, że znajdę sposób osadzenia tych panów.

— Czyżby? — rzekł Fred.

— Jestem pewny, że zdołam stłumić to wszystko. Możecie państwo polegać na mnie.

— Jakto? Zupełnie stłumić wszystko?

— Najzupełniej.

— Ale jakim sposobem? — zawołali jednocześnie Fred i pani Bunting. — Nie myślisz ich pan chyba przekupić!

— Przekupić! — rzekł pan Bunting. — Nie jesteśmy we Francji. Angielskiego dziennikarza przekupić nikt nie zdoła.

(Dyskretny aplauz całego gremjum).

— Pozostawcie to mnie — rzekł Melville w swoim żywiole.

I z bardzo poważnie wypowiedzianymi, ale nie-

koniecznie ufnymi życzeniami powodzenia, sprawa została złożona w jego ręce.

Załatwił ją wspaniale.

— Co to za gadanina o jakiejs syrenie? — zapytał miejscowych dziennikarzy, gdy ponownie stawili się na interview. Przyszli obaj razem, ile że jako raczej okazyjni reporterzy nie byli jeszcze dostatecznie obyci z temi wyższemi postaciami dziennikarstwa. — Co to za jakaś gadanina o syrenie? — powtórzył mój kuzyn, podczas gdy dwaj reporterzy w milczeniu ustępowali sobie nawzajem pierwszeństwo odezwania się.

— Ktoś sobie z was zakpił widocznie. Pomyślcie tylko! — Syrena!

— Myśmy sobie też tak myśleli — rzekł młodszy z dwóch okazyjnych dziennikarzy. — Byliśmy pewni, że to jakiś kawał, rozumie pan. Ale że „Nowy Dziennik” dał taki sensacyjny nagłówek...

— Doprawdy, dziwię się, że nawet Banghurst — rzekł mój kuzyn.

— Ale i „Codzienna Gazeta” pisze o tem — rzekł starszy z dwóch przygodnych dziennikarzy.

— Jedna mniej, jedna więcej bredząca dwugroszowa szmata, jakież to może mieć znaczenie? — zawołał mój kuzyn z głośną pogardą. — Nie będziecie panowie chyba czerpać swoich folkestońskich nowin z lada londyńskiego świstka.

— Ale skąd się mogła wziąć pogłoska tego rodzaju? — zaczął starszy przygodny dziennikarz.

— To już nie moja sprawa.

Młodszy przygodny reporter miał nagle natchnienie. Wyciągnął z kieszeni notes. — Możeby pan zechciał nam podszeptać, co byśmy mogli powiedzieć w tej sprawie.

No i Melville „podpowiedział”.

Obiecujący młody dziennikarz, który pierwszy coś usłyszał o sprawie — proszę nie poplątać go ani na chwilę z dwoma wyżej wymienionymi okazyjnymi dziennikarzami — przybył następnego wieczora do redaktora Banghurma w stanie nadzwyczajnego uniesienia. — Przeprowadziłem dokładny wywiad! Widziałem ją — dyszał. — Czatowałem przed domem, widziałem, jak ją wsadzano do powozu. Rozmawiałem z jedną z pokojówek — dostałem się do domu pod pozorem zbadania telefonu jako rzekomy mechanik od telefonów — zmądrowałem coś tam koło drutów — to jest fakt. Pozytywny fakt. To naprawdę jest Syrena. Syrena z ogonem — z pozytywnym ogonem. Oto jest:

Podał notatki.

— O czem pan mówi? — odezwał się z poza swego zarzuconego papierami pulpitu Banghurst, spoglądając z widoczną irytacją na podane arkusze.

— O Syrenie. — Naprawdę *jest* Syrena w Folkestone.

Banghurst odwrócił się do niego plecami, manipulując coś przy podstawie od obsadek.

— I co z tego, że jest? — rzekł po chwili.

— Ależ to jest *dowiedzione*. Ta notatka, którą pan wydrukował.

— Ogłoszenie tej notatki było pożałowania godnym błędem, to pewne, mój młodzieńcze.

Banghurst pozostał upartą wystawą pleców.

— Dlaczego?

— Nie zajmujemy się tutaj syrenami.

— Ale pan chyba nie przerwie?

— Owszem.

— Ależ ona *jest*!

— Niech sobie będzie.

Odwrócił się do obiecującego dziennikarza, a masywna jego twarz była w tej chwili jak nie można więcej masywna, piękny zaś głos stał się niezwykle pełnym i soczystym.

— Mój paniel! Czy pan sobie wyobrażasz, że każemy publiczności wierzyć czemuś dlatego tylko, że jest to prawda? Oni sami bardzo dobrze wiedzą, w co mają wierzyć, a w co — nie. Nigdy w życiu nie uwierzą żadnym historjom o syrenach — możesz pan stawić w zakład swój kapelusz. Nic mi to nie obchodzi, choćby nawet cały przeklęty brzeg morski był pokryty syrenami — całe przeklęte pomorze! Musimy dbać o naszą reputację — rozumie pan? Słuchaj pan — nie wyrabia się pan na takiego dziennikarza, jak trzeba, nie. To pan pisał w swoim czasie te brednie o chemicznem odkryciu...

— Ależ to jest rzetelna prawda.

— Ba!

— Ależ miałem informacje o tem od Członka Towarzystwa Królewskiego.

— Zupełnie mi jest obojętne, od kogo je pan otrzymał. Rzeczy, w które czytelnicy nie chcą wierzyć, nie są faktami. To, że są prawdą, sprawę jeszcze pogarsza. Kupują nasz dziennik, aby go przekonać. Naszym obowiązkiem jest starać się o to, by gładko przeszedł przez gardło. Drukując ową notatkę i dając jej sensacyjny tytuł, sądziłem, że to będzie jakiś skomplikowany skandal kąpielowy lub coś w tym guście — coś soczystego, coś zrozumiałego dla *wszystkich*. Przecież pojechałeś pan do Folkestone, by opisać jak Salisbury i oni wszyscy ubierają się na promenadzie! I miałeś pan pisać o aklimatyzacji życia kawiarnianego i t. p. I zamiast tego,

podaje pan te (nie nadający się do druku epitet) głupstwa!

— Ależ lord Salisbury nie jeździł do Folkestone!

Banghurst wzruszył ramionami nad beznadziejną tępotą młodzieńca. — Cóż to do licha ma do tego? — przemawiał żałośliwie do kałamarza.

Młody człowiek rozmyślał. Po chwili zaczął przemawiać do pleców Banghursta. Głos jego nieco osłabł.

— Mogłbym to przerobić. Zrobić z tego może żart. Przedstawić jako komiczny dialog z człowiekiem, który naprawdę wierzył w Syrenę — lub coś w tym rodzaju. Tyle tej pisaniny. Szkoda, żeby się zmarnowała.

— Pod żadnym pozorem — rzekł Banghurst — w żadnej formie. Nie! Dlaczego? Bo myśleliby, że to coś bardzo skomplikowanego. Pomyśleliby, że autor chce sobie z nich zakpić. Czytelnicy nienawidzą rzeczy, które im się wydają przemądre!

Młody człowiek chciał coś odpowiedzieć, ale plecy Banghursta wyrażały bardzo jasno, że audjencja jest skończona.

— Pod żadnym pozorem — powtórzył Banghurst, właśnie kiedy się zdawało, że już zakończył rozmowę.

— Mogę zatem zanieść artykuł do „Rakiety“?

Redaktor zaproponował inną alternatywę.

— Bardzo dobrze — rzekł młody człowiek z irytacją. — Pójdziemy zatem do „Rakiety“.

Ale i w tym wypadku czynił rachunek bez gospodarza.

III.

Musiałoby to być wkrótce potem, gdy usłyszałem pierwszą wzmiankę o Syrenie, nie zdając sobie wówczas, ma się rozumieć, sprawy z tego, że to mnie właśnie przypadnie w udziale napisanie jej historii. Było to podczas jednej z mych rzadkich wycieczek do Londynu. Micklethwaite częstował mnie śniadaniem w Klubie Wycieraczy Piór, jednym z tuzina najlepszych klubów literackich Londynu. Zauważyłem obiecującego młodego dziennikarza, spożywającego samotnie śniadanie przy stoliku w pobliżu drzwi. Wszystkie stoliki w pobliżu niego były niezajęte, jakkolwiek w innych częściach sali tłoczono się niepomiernie. Siedział z twarzą zwróconą ku drzwiom, podnosząc głowę za każdym razem, gdy ktoś wchodził, jakby kogoś oczekiwał napróżno. Raz nawet widziałem, że kiwnął na jakiegoś pana, ale ten nie zareagował na to wcale.

— Słuchajno, Micklethwaite — rzekłem — dla czego wszyscy unikają tego pana? Zauważyłem po przednio w palarni, że starał się rozpocząć z kimś rozmowę i że jakieś Tabu...

Micklethwaite spojrzał znacząco z poza wideł — Ja myślę!

— Ale cóż on uczynił takiego?

— To jest idjota! — rzekł Micklethwaite, przyzwyczajając coś z widocznym niezadowoleniem. — Uff! — odetchnął z widoczną ulgą.

Przeczekalem chwilę.

— Cóż on właściwie przeszkrobał? — zaryzykowałem znowu.

Micklethwaite narazie nie odpowiedział, zapychając sobie właśnie usta chlebem i innymi rozmarłościami. Potem, przechylając się ku mnie w spo-

sób poufny, zaczął wydawać z siebie jakieś pełne oburzenia dźwięki, których jednak nie mogłem rozebrać.

— O! — rzekłem, gdy skończył.

— Tak — rzekł Micklethwaite. Przełknął, poczem nalał sobie wina, oblewając obrus.

— Trzymał mnie przez godzinę blisko któregoś dnia.

— Tak? — rzekłem.

— Skończony idjota — rzekł Micklethwaite.

Przełakłem się, że już się niczego więcej nie dowiem, ale na szczęście, przełknawszy wino, rozpoczął na nowo.

— Doprowadza cię do tego, że próbujesz mu dowieść.

— Czego?

— Że on nie może tego dowieść.

— Tak?

— A wtedy on cię przekonywa, że może dowieść! Właśnie, żeby ci pokazać, jak przeklecie jest dowcipny.

Byłem nieco zmieszany.

— Dowieść czego? — zapytałem.

— Czyż nie mówiłem ci? — rzekł Micklethwaite, czerwieniejąc silnie. — O tej jego przeklętej folkestońskiej Syrenie.

— Utrzymuje, że *jest* syrena?

— A tak, zapewnia, że jest — rzekł Micklethwaite, purpurowiejąc coraz bardziej na twarzy i wytrzeszczając na mnie oczy. Zdawał się zapytywać bez słów, czy i ja mam zamiar zwrócić się przeciwko niemu i poprzeć tego niegodziwego łotra. Przez chwilę lękałem się, że dostanie apopleksji. Ale na szczęście przypomniał sobie, że jestem jego gościem. Napadł więc nagle na jakiegoś zamyślo-

nego kelnera, który nie zmienił na czas naszych talerzy.

— Czy grałeś w ostatnich czasach w golfa? — zapytałem Micklethwaite'a, gdy talerze znikły wraz z kelnerem. Golf zawsze dobrze robi Micklethwaite'owi, rozumie się, o ile sam nie gra. Bo wtedy — gdybym był panią Bunting, w tem miejscu uczyniłbym pauzę i wzniosłbym do góry brwi i obie ręce, aby zaznaczyć, jak golf działa na Micklethwaite'a, gdy przyjmuje udział w grze.

Zacząłem udawać, że interesuję się golfem — grą, której naprawdę niecierpię, którą gardzę więcej niż czemkolwiek innem na świecie. Wyobraźcie sobie, proszę, takie duże, tłuste stworzenie, jak Micklethwaite, człowiek, który powinienby nosić turban i długą czarną szatę dla ukrycia swej tuszy, wyobraźcie sobie, jak to upędma się wiorstami za małą białą piłeczką, a trafiwszy w nią szczęśliwie za pomocą całego składu chirurgicznych narzędzi, tłucze ją z dziecinną powagą lub zdziecinniałą wściekłością, pędzi ją i tłucze wciąż i wciąż, podczas gdy kraj jego djabli biorą i nawiasowo uczy przy tem małego niewinnego chłopca, jak ma kłać i stać się chciwym napiwków próżniakiem. To jest golf! Jednakże powściągnąłem swe zbyt łatwe szyderstwo i rozmawiałem o względnych zaletach pól golfowych tak, jak mówiłbym naprzykład do dziecka o ciastkach, albo jakbym starał się zabawiać szczeniaka, szepcząc „niepry“. Zanim mogłem znowu spojrzeć na obiecującego dziennikarza, śniadanie nasze się skończyło.

Zauważyłem, że rozmawiał poufniej, niż to jest przyjęte w klubie, z człowiekiem, który mu podawał palto. Kelner miał minę niedowierzającą, ale pełną uszanowania. Odpowiadał krótko, lecz grzecznie.

Gdyśmy wychodzili, rozmowa ta jeszcze trwała.

Kelner trzymał w ręku miękki kapelusz filcowy młodego dziennikarza, a obiecujący dziennikarz wyciągał z kieszeni grubą zeszyt papieru.

— To jest nadzwyczajne. Mam tu większą część spisana — mówił, gdyśmy przechodzili. — Nie wiem, czy panby...

— Mam bardzo mało czasu do czytania, proszę pana — odpowiedział kelner.

ROZDZIAŁ IV

I

Zdaję sobie sprawę z tego, że dotąd byłem dość rozwlekłym, a hasłem mojem było raczej prawdopodobieństwo, niż prawdziwy styl zeznań urzędowych. Ale jeśli udało mi się wyjaśnić czytelnikowi, w jaki to sposób Syrena przybyła na ląd i w jaki sposób mogła się stać członkiem towarzystwa ludzkiego bez wzbudzenia zbyt wielkiego podniecenia w tem towarzystwie, jeśli mi się to udało, to słabe usiłowania moje, podjęte w celu zabarwienia i upiększenia faktów, któremi rozporządzałem, nie były daremne. Syrena istotnie spokojnie zamieszkała u Buntingów. Po upływie dwóch tygodni była już tak zaaklimatyzowana, że jedynie wdzięk i niezwykła piękność, a chwilami cień czegoś nieokreślonego w jej uśmiechu wyróżniały ją czasami, zresztą stała się zupełnie wiarogodną ludzką istotą. Była oczywiście kaleką, a jej kończyna została arcyśmętnie spowita i pomieszczona w pewnego rodzaju futerałach. Było ogólnie wiadome — przypuszczalnie z inicjatywy pani Bunting — iż wkrótce *one* — pani Bunting zawsze mówiła *one*, co było niezupełnie do-

zwolonym wybiegiem — wróca do normalnego stanu.

— Rozumie się — mówiła pani Bunting — że na rowerze nigdy już nie będzie mogła jeździć.

Taką to złudną aureolą pani Bunting otaczała sprawę.

II

Nie ulega wątpliwości, że w pannie Parker Morska Dama znalazła — a raczej pani Bunting znalazła dla niej — skarb bezcenny. Parker była wprawdzie jeszcze zwodniczo młoda, ale jako panna służąca pewnej damy przybyłej z Indyj, zamieszanej w sensacyjny proces, wywiązała się swojego czasu wyśmienicie z krzyżowych badań sądowych. Zaznała też ongi zdrady młodzieńca, którego sobie była mocno upodobała. Zaczął „wychodzić” z inną. Nie zgadzało się to absolutnie z jej niezłomnem poczuciem poprawności. Wobec tak głębokiego rozczarowania wszelkie sprawy tego świata wydały się jej znikome. Postanowiła nie dać się już odrazu zaskoczyć wypadkom. Przyglądała się obecnie życiu jako widowisku mocno nieprzystojnemu z wyrazem żywej bezstronności w oczach, spokojnie pełniąc swoje poszczególne obowiązki i najzupełniej uchylając się od dalszego osobistego udziału. Łokcie jej były zawsze przyciśnięte do boków, ręce zlekka stykały się końcami palców, i wprost niepodobieństwem było wyobrazić ją sobie inaczej, jak absolutnie wyprostowaną, czystą i schludną w każdej okoliczności. Głos jej był zawsze, w każdym wypadku cichy i zdumiewająco wyraźny — możnaby nawet powiedzieć, że wymowę miała nieco przesadną.

Gdy przyszło do owego zasadniczego punktu,

pani Bunting okazała pewne zdenerwowanie. Umaliała się ze służącą oczywiście pani Bunting, ile że Morska Dama nie mogła mieć żadnego w tym kierunku doświadczenia. Okazało się jednak, że obawy pani Bunting były zupełnie zbyteczne.

— Nie wiem, czy Parker zdaje sobie sprawę z tego — rzekła pani Bunting, docierając do podstawowej kwestji — że — ta pani jest niejako kaleką.

— Nie wiedziałam o tem, proszę pani — odpowiedziała z uszanowaniem Parker, najwidoczniej gotowa przyjąć jako część swego obowiązku wszystko, co ten wyraz mógłby zawierać w sobie.

— Otóż — rzekła pani Bunting, pocierając delikatnie brzeg serwety urękawiczniwym palcem i przyglądając się z zajęciem tej operacji — otóż, ta pani ma syreni ogon.

— Syreni ogon! Mój Boże! Czy to bardzo bolesne, proszę pani?

— Broń Boże! to nie sprawia żadnej przykrości — zupełnie. — Tylko że, naturalnie, wymaga pewnej dyskrecji.

— Szczególnie nie chcielibyśmy, żeby służba...

— Niższa służba? O nie, proszę pani.

— Rozumiejąc Parker, o co chodzi? — i Pani Bunting, podniosszy głowę, spojrzała poważnie na pannę służącą.

— Dokładnie, proszę pani! — rzekła Parker z nieporuszoną twarzą, poczem przystąpiono do układu warunków najmu. „Wszystko ułożyło się jak najbardziej pomyślnie,” mówiła sobie pani Bunting, oddychając z ulgą na samo wspomnienie tej chwili. Jest jasne, że i Parker podzielała to zdanie...

Panna służąca była nie tylko pełną dyskrecji, ale także bardzo zręczna i pomysłowa, Odrazu uchwyciła sytuację, spokojnie i stanowczo! Jej to pomy-

słem było to coś w rodzaju futerału na skrzypce, ona też sfabrykowała owo przedłużenie sukni, pokrywające ostre kanty futerału. Ona to poddała myśl fotelu na kółkach do użytku domowego i do wyjazdów na ogród, a także lektyki do schodów. Dotąd bowiem Fred Bunting był zawsze pod ręką, w ostatnich czasach nawet zbyt gorliwie, ilekroć Morskiej Damie potrzebna była pomoc męskich ramion. Ale Parker z miejsca dała do zrozumienia, że nie zgadza się to zupełnie z jej pojęciami, i zaszła sobie w ten sposób na wieczną wdzięczność panny Mabel Glendower. Parker to przemawiała za koniecznością przejażdżek i z niezaprzeczalną oczywistością, nie pozostawiając innego wyboru, podała myśl wynajęcia na cały sezon parokonnego powozu — którym szczerze uradowali się Buntingowie i Syrena. Parker to podyktowała codzienną przejażdżkę aż do wschodniego krańca promenady, wskazując również, w jaki sposób Syrena ma być przenoszona do fotelu na kółkach, w którym ową przejażdżkę odbywała. Wogóle nie było miejsca, pożądanego dla Morskiej Damy, któregooby Parker natychmiast dokładnie nie wskazała, i nie było miejsca i rzeczy niestosownych dla Morskiej Damy, którymby Parker się od razu stanowczo i skutecznie, choć niewidzialnie nie przeciwstawiła. Ona to, gdy nastąpił przełom, „wyjawiła” Syrenę z położenia, w którym była niejako prywatną własnością rodziny Buntingów, i wyniosła ją na odpowiednie stanowisko w świecie. Zarówno w wielkich jak i w małych sprawach można było polegać na niej; ona to zwróciła uwagę na potrzebe kart wizytowych — Pani Doris Thalassia Waters — (Wodnicka) — oto stosowne i pięknie brzmiące nazwisko, jakim Syrena została obdarzona — ona to wreszcie zastąpiła drewnianą skrzynię utopionego zapewne

„Toma Wilders” safianowem pudłem na klejnoty, damskim neseserem i pierwszym kufrem Morskiej Damy.

W tysiącnych drobnych okazjach nieoceniona Parker wykazała poczucie tego, co wypada, wprost niezwykle przenikliwie. Naprzykład pewnego dnia w sklepie, gdzie kupowano różne intymne „dessous”, Parker nagle odezwała się.

— Jeszcze pończochy, proszę pani — rzekła półgłosem, dyskretnie przysłaniając usta ręką.

— *Pończochy!* — zawołała pani Bunting — ależ...

— Myślę, proszę pani, że *trzeba* kupić pończochy — rzekła Parker spokojnie, ale stanowczo.

Bo i naprawdę, dlaczegóżby nieuniknione braki damy miały powodować braki, których uniknąć można? Tu dotykamy właśnie głównej zasady, kwintesencji życia światowego.

Nigdy w życiu pani Bunting nie byłaby się samodzielnie zdobyła na tak głębokie zrozumienie sytuacji.

III

Pozwólcie, że z żalem, ale z nieskończonym szacunkiem zarazem dodam tu jeszcze jedną rzecz o pannie Parker, poczem panna służąca wróci na swe przynależne miejsce.

Muszę się przyznać z pewnem upokorzeniem, że odszukałem tę młodą osobę na jej obecnej posadzie — jest panną służącą znakomitej religijno-społecznej działaczki, pani Joanny Glanville. Były mi potrzebne pewne szczegóły, niektóre sceny i rozmowy, dla odtworzenia których moja pasja do prawdopodobieństwa nie mogła znaleźć odpowiedniego pokarmu w skąpych okruchach, jakimi rozporządza-

łem. A ona przecież od początku do końca widziała wszystko, a iluż rzeczy mogła się na podstawie widzianego domyśleć!

Przedstawiłem jej to wszystko otwarcie. Nie udawała, że nie rozumie, o co chodzi, ani też usiłowała ukryć, iż posiada pewne tajemnice. Gdy skończyłem, spojrzała mi prosto w oczy.

— Nie mogłabym tego uczynić, proszę pana — rzekła. — *Zupełnieby* to się nie zgadzało z mojem przekonaniem.

— Ależ! — przecież terazby to już nie mogło pani zaszkodzić, gdyby mi pani powiedziała...

— Nie mogłabym w żaden sposób, proszę pana...

— Ależ toby nikomu szkody nie przyniosło!

Spojrzała na mnie uprzejmie, dając do zrozumienia, że powiedziała już wszystko, co było do powiedzenia.

I pomimo dość znacznych dźwięcznych argumentów taka pozostała jej ostateczna odpowiedź. Gdy wyczerpawszy swoje podstępny, usiłowałem ją przekupić w bardzo hojny sposób, nie okazała nic prócz należnego szacunku dla mojej niedosięgalnie społecznej wyższości.

— Nie mogłabym tego uczynić w żaden sposób, pod żadnym pozorem. Wcale a wcaleby to się nie zgadzało z mojemi zasadami, proszę pana.

Jeśli więc wkońcu historia ta okaże się niekompletną i nieco mglistą, ufam, że przypomniecie sobie państwo, jaką przeszkodę znalazłem w niezlomnej surowości zasad panny Parker.

ROZDZIAŁ V

Nieobecność i powrót pana Henryka Chatterisa.

I

Dygresje o pannie służącej i dziennikarzach oddaliły mnie nieco od właściwego wątku. Trzeba zrozumieć, iż w owym czasie, kiedy młody obiecujący dziennikarz upędył się jeszcze za informacjami, złudną nadzieją i Banghurstem, a Parker była zaledwie doskonałością w pączku, o powozie zaś nawet jeszcze mowy nie było, w małej pogodnej willi pod wieczno-zielonemi dębami folkestońskiej Riviery rzeczy podlegały rozwojowi.

Z chwilą, gdy umysły Buntingów przestały się obracać dokoła tej nowej, zdumiewającej towarzyskiej akwizycji, będącej ich własnem niezaprzeczalnem odkryciem, okazało się, z początku zlekka, potem coraz wyraźniej, że ich osobiste zadowolenie posiadania w osobie panny Waters tak uroczego, tak solidnie zamożnego i tak pod pewnym względem dystyngowanego gościa nie było całkowicie podzielane przez dwie młode panie, które miały być ich głównymi gośćmi w tym sezonie.

Ta mała szczelina dała się zauważyć po raz pierwszy przy sposobności omawiania nowych planów z panną Adelina.

— Czy ona ma rzeczywiście mieszkać u państwa przez całe lato? — zagadnęła Adelina panią Bunting.

— Spodziewam się, że nie masz nic przeciwko temu, moja kochana?

— Zaskoczyło mnie to trochę.

— Moja kochana, prosiła mnie o to.

— Myślę o Henryku. Jeśli ogólne wybory nastąpią we wrześniu — a wszyscy przypuszczają, że się tak stanie — państwo mi przyrzekli, że zajmą się agitacją wyborczą.

— Czy myślisz, że *ona*...

— Bedzie okropnie zawadzała. — Po chwilowej przerwie dodała: — Przeszkadza mi wprost pracować.

— Ależ, moja kochana...

— Psuje harmonję — rzekła Adelina.

Pani Bunting wyjrzała oknem wdał na morze.

— Moja kochana, możesz mi wierzyć, że nie uczyniłabym nic, coby mogło zaszkodzić widokom Henryka. Wiesz przecież, jak dalece wszyscy jesteśmy pełni zapału w tym kierunku. Randolph jest gotów uczynić wszystko, co będzie w jego mocy. Czy jesteś pewna, że ona będzie zawadzała?

— Jakże może być inaczej?

— Mogłaby nawet dopomóc.

— Och, *dopomóc!*

— Mogłaby agitować. Jest bardzo ponętna, jak wiesz, moja kochana.

— Nie dla mnie — rzekła panna Adelina. — Nie mam do niej zaufania.

— Ale wielu osobom bardzo się podoba. A podczas wyborów, jak Harry powiada, gdy ktoś chce i może na coś się przydać, *nie można tem gardzić*. Można najwyżej nie przyznawać się do tej znajomości — *potem*, ale w czasie agitacji wyborczej... Pamiętasz, mówił o tem, gdy tu był z panem Fisonem. Gdyby się agitację wyborczą pozostawiło tylko ludziom naprawdę przyzwoitym...

— To pan Fison tak mówił, nie Henryk. A zresztą, czyż onaby dopomógł!

— Moja kochana, zdaje mi się, że nie doceniasz jej w tym wypadku. Pytała o to.

— Czy może dopomóc?

— Tak, i o wszystko — rzekła pani Bunting z lekkim rumieńcem na twarzy. — Ciągłe się dopytuje o to: do czego te wybory, i o co to chodzi, i dlaczego Henryk jest kandydatem, i tak o wszystko. Pragnie zgłębić tę sprawę zupełnie serjo. Nie umiem odpowiedzieć nawet na połowę jej pytań.

— Więc to dlatego odbywa takie długie rozmowy z panem Melvillem i dlatego przypuszczalnie Fred zaniedbuje swoją narzeczoną.

— *Moja kochana!* — rzekła pani Bunting.

— *Za nic* na świecie nie zgodzę się na to, by miała przyjąć udział w naszej agitacji — upierała się panna Adelina. — Zepsułaby wszystko. Jest lekko-myślna i szydercza. Patrzy na człowieka temi swojemi niedowierzającemi oczyma, zdaje się niweczyć całą powagę rzeczy... Uważam, że pani nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z tego, czem te wybory i moja praca są dla mnie — i dla Henryka. A ona jest zaprzeczeniem tego wszystkiego.

— Moja kochana! Nigdy nie zauważyłam, by zaprzeczała czemukolwiek.

— O, ona nie przeczy. Ale ona — jest w niej coś takiego... Czuje się, że rzeczy najważniejsze, podstawowe są dla niej niczem. Czy pani tego nie odczuwa? Przybywa do nas z innego świata.

Pani Bunting przemawiała w imię trzeźwości. Adelina tedy zniżyła nieco poziom swoich argumentów.

— Uważam wogóle, że przyjęliśmy ją zbyt pochopnie. Skąd wiemy, kto ona? Tam, w głębi,

mogła być Bóg wie czem. Mogła mieć pewne powody do ucieczki.

— Moja kochana! — zawołała pani Bunting. — Czy to po chrześcijańsku?

— Jak oni tam naprawdę żyją?

— Gdyby nie prowadziła przyzwoitego życia, nie umiałaby zachowywać się tak przystojnie.

— A zresztą, to jej przybycie! Nikt jej przecież nie zapraszał.

— Obecnie *ja* ją zaprosiłam — rzekła pani Bunting.

— Nie miała pani innego wyjścia. Oby tylko uprzejmość pani...

— To nie była uprzejmość — rzekła pani Bunting — to był obowiązek. Choćby nawet była o połowę mniej urocza... Zdajesz się zapominać — tu przyciszyła nieco głos — w jakim celu tu przybyła.

— Tobym właśnie wiedzieć pragnęła.

— Sądzę, że w tych czasach ogólnego Materializmu i Zepsucia, gdy każdy, obdarzony duszą, zdaje się chcieć ją zatracić — natrafić na kogoś, pozbawionego duszy i silącego się na jej zdobycie...

— Czyż ona naprawdę czyni jakieś usiłowania w tym kierunku?

— Pan Flange przychodzi dwa razy tygodniowo. Przychodziłby częściej, gdyby nie miał tak wielu kandydatów do Bierzmowania.

— Tak, a jak przychodzi, to siada przy niej, dotyka jej ręki, ile razy się da, i mówi swym najcichszym głosem, a ona siedzi i uśmiecha się — prawie otwarcie śmieje się z tego, co jej mówi.

— Musi przecież dopiero szukać drogi do niej. Chyba rozumiesz, że pan Flange musi się starać o to, by religja stała się dla niej ponętną.

— Nie wierzę, by ona wierzyła w to, iż du-

szą zdobędzie. Nie wierzę zresztą wogóle, by pragnęła duszy.

Skierowała się ku drzwiom, jakby chciała zaznaczyć, że dyskusja skończona.

Rumieńce pani Bunting nabrały trwałości. Wychowała syna i dwie córki, a męża zdołała doprowadzić do stałego „czyż mogłem wiedzieć, moja kochana?” i gdy zachodziła potrzeba stanowczości — nawet wobec Adeliny Glendower — umiała być stanowczą, jak mało kto.

— Moja kochana — rzekła swoim najbardziej stanowczym i spokojnym tonem — jestem przekonana, że jesteś niesprawiedliwa względem panny Waters. Może być, że z pozoru czyni ona wrażenie nieco pospolite. Może zbyt lubi śmiać się i żartować. Są różne punkty widzenia. Ale jestem pewna, że w gruncie jest to osoba serjo i pełna powagi. Sądziś ją zbyt pohopnie. Jestem przekonana, że gdybyś ją lepiej знаła — jak ja naprzykład...

Pani Bunting pozostawiła znaczącą pauzę.

Panna Glendower miała dwie małe czerwone zorze na policzkach. Odwróciła się z ręką na kłamce.

— W każdym razie jestem pewna, że zdanie Henryka będzie zupełnie zgodne z mojem, że tak samo uzna jej współudział w naszej sprawie za niepożądany. Mamy przed sobą specjalne zadanie, jest to coś więcej niż pospolita agitacja. Mamy pewne idee do rozwinięcia i ustalenia. Harry ma swoje poglądy, nowe poglądy bardzo daleko sięgające. Pragniemy włożyć całą swą siłę w to dzieło. Właśnie *teraz*. A jej obecność... — Zamilkła na chwilę. — To jest dygresja. Ona odwraca wszystko. Tworzy zamieszanie. Ma dar koncentrowania ogólnej uwagi na swej osobie. Zmienia wartość rzeczy. Nie

mogę przy niej skupić myśli na jednym przedmiocie, będzie tak samo przeszkadzała Henrykowi...

— Moja kochana, uważam, że mogłabyś *trochę* zaufać mojemu sądowi — rzekła pani Bunting i zatrzymała się.

Adelina otworzyła usta i zamknęła je napowrót, nie powiedziawszy. Było widoczne, że granice zostały osiągnięte, i nie pozostawało do powiedzenia nic prócz rzeczy godnych pożalowania.

Drzwi otwały się i zamknęły energicznie. Pani Bunting pozostała sama...

W godzinę potem wszyscy spotkali się przy drugim śniadaniu. Zachowanie się Adeliny względem Morskiej Damy i pani Bunting było miłe i żywe na tyle, na ile to zgadzało się z powagą wysoce inteligentnej młodej panny. Wszystko, co mówiła pani Bunting, było nacechowane niewypowiedzianym taktem — co, jak wiadomo, oznacza pewien nadmiar taktu, niekoniecznie korzystny dla nastroju towarzystwa — i skierowane ku rozwinięciu i wykazaniu poważniejszych stron umysłu Morskiej Damy. Pan Bunting był niezwykle rozmowny, opowiadał o tylko co zasłyszonym świetnym projekcie. Chodziło o wycięcie zalesionej części promenady. Miano tam wetknąć coś pośredniego między winiarnią i Kryształowym Pałacem jako ogród zimowy, co panu Bunting wydało się nader szczęśliwym i obiecującym pomysłem.

II

Myślę, że czas już poświęcić kilka słów nieuniknionemu panu Chatterisowi, który pomimo swego spóźnionego ukazania się jest naprawdę główną istotą ludzką w historii mego kuzyna Melvilla. Spo-

tykałem go dosyć często za uniwersyteckich czasów, a i potem tu i owdzie się z nim zetknąłem. Był dość świetnym studentem, elegancki bez pospolitości i przytem bardzo zdolny. Był zawsze wyjątkowo przystojny, i nie będąc rzucającym się w oczy marnotrawcą, potrafił być jednak wspaniale hojny. Był przed rokiem jakiś kłopot z nim — zatuszowany szczęśliwie — epizod z jakąś panną czy mężatką w Londynie, ale rodzina wyłuskała go z tego. Wuj hrabia Beechcroft zapłacił część jego długów.

Nie wszystkie — rodzina jego jest chwalębnie pozbawiona sentymentalnej przesady — ale dosyć, by przywrócić mu spokój ducha. Rodzina ta nie jest bogata i obfituje w niezwykłą ilość raczej stęchłych gadatliwych ciotek, żyjących z dochodu własnych niewielkich kapitałów — nigdy w życiu nie spotykałem rodziny równie obfitej w cudaczne ciotki. Ale Chatteris był tak przystojny, miły i zdolny, że wszystkie ciotki zgadzały się bez dyskusji, iż trzeba go popierać. Uganiały się nieustannie za jakąś posadą dla niego, za czemś, co byłoby dobrze płatne, nie będąc jednak ani zbyt uciążliwym, ani zbyt kupieckim. Tymczasem — gdy nadzwyczajny pomysł ciotki lady Poynting Mallow, pragnącej pchnąć siostrzeńca na scenę, został przewyciężony złączonym wysiłkiem bardziej religijnej sekcji ciotek — Chatteris zwrócił się na serjo do Wyższego Dziennikarstwa — to jest do Dziennikarstwa, które bywa wszędzie zapraszane na obiady, a po obiedzie zbiera wskazówki polityczne i jest zawsze przyjmowane w półkoronowych miesięcznikach — choćby dla uniknięcia fatalnej trzynastki artykułów. Poza tem pisywał trochę zupełnie możliwych wierszy i złożył edycję Jane Austen dla jedyne go wydawcy, który dotychczas nie był jeszcze przedrukował dzieł tej klasycznej damy.

Wiersze Chatterisa były zgrabne i ładne jak on sam i tak samo, jak jego twarz, przedstawiały dla bardziej przenikliwego oka pewne zastrzeżenia i wahania.

Był w nich właśnie ten rys subtelności, który w politykach jest słabością. Ale jak dotąd nie był on jeszcze oficjalnym politykiem. Wiedzano o nim, że jest energiczny, a prace jego zaczynały zwracać uwagę, jako zawsze umiejętne, chwilami nawet świetne. Ciotki dowodziły, że dojrzewa i że okazywany przezeń pewien brak woli daje się wytłumaczyć trwaniem procesu rozwojowego.

Zdecydowały, że powinien wyjechać na jakiś czas do Ameryki, jako że w tym kraju jest nadmiar siły woli i sposobności do jej zdobycia. Tam, o ile mogłem wyrozumieć, spotkało go jakieś niepowodzenie. Coś mu się zdarzyło. Zdaje się, że dość dużo mu się zdarzyło. W każdym razie przyjechał nieożeniony — via Jeziora Południowe, Australję i Indję, a gdy powrócił, lady Poynting Mallow publicznie powiedziała mu, że jest idjotą.

Co się właściwie stało w Ameryce, trudno bardzo określić, nawet czerpiąc informacje ze współczesnych dzienników amerykańskich. Zdaje się, że była w tej historii córka milionera i coś w rodzaju zaręczyn. Według „Nowojorskiego Krzyku“, jednego z najżywszych, najbardziej wartkich i wogóle najbardziej reprezentacyjnych dzienników w Ameryce, była tam jeszcze córka kogoś innego, interviewowanego przez dziennik. Wywiad ten podany był pod nagłówkiem:

**Angielski arystokrata igra bezkarnie
z uczuciem niewinnego amerykańskiego dziewczęcia.
Interview z ofiarą jego lekkomyślności.**

Ale to niewinne dziewczę, jak skłonny jestem przypuścić, pomimo świetnie wykonanego portretu było tylko rzutem nowożytnego dziennikarstwa, zdaje się, że „Nowojorski Krzyk“, zasłyszawszy o odwrocie Chatterisa, wołał zmyślić jakiś fikcyjny powód, niż zająć się żmudnem poszukiwaniem prawdziwego. Wensleydale opowiadał mi, że właściwą pobudką ucieczki był zupełnie drobny incydent. Córka milionera, panienka pełna przedsiębiorczości i werwy, z okazji zbliżającego się ślubu pozwoliła interviewować się reporterom na temat małżeństwa wogóle, różnych kwestyj społecznych i stosunków między Anglikami i Amerykanami, Chatteris znalazł ten artykuł w swym dzienniku przy śniadaniu. Dotknęło go to bardzo, i narazie tak stracił głowę, że zerwał się i uciekł. Zdaje się, że zabrakło mu potem siły woli, by zawrócić. Wynikła z tego płatanina, rodzina zapłaciła znowu trochę długów, innych się odrzekła, i Chatteris po niejakiś czasie ukazał się znowu w Londynie z nieco zmniejszoną aureolą i z szeregiem „Listów o sprawach imperji, z których każdy miał w nagłówku cytate: „Co mogą wiedzieć o Anglii ci, którzy tylko Anglję znają?

Rozumie się, że w Anglii nikt się nie dowiedział, jakie były prawdziwe perypetje tej sprawy, było jednak widoczne, że jeździł do Ameryki i wrócił z pustemi rękoma.

W taki sposób po upływie kilku lat Chatteris dostał się do Adeliny, o której specjalnem uzdolnieniu do roli Pomocnicy Natchnienia słyszeliśmy już od pani Bunting. Gdy się z nią zaręczył, rodzina, która oddawna szukała możności przebaczenia mu — lady Poynting Mallow uczyniła to już nawet istotnie — rozpogodziła się nadzwyczajnie. Po wielu mniej znaczących pracach Chatteris wy-

powiedział się wreszcie jako Filantrop-Liberał z niewypełnionymi miejscami w swej platformie, gotowy na początek do popróbowania szczęścia na Konserwatywnym Południu.

W czasie wylądowania Syreny Chatteris był w Paryżu, gdzie zajmował się ostatecznymi układami z jakimś miarodajnym politycznym działaczem, po czem miał przybyć nad morze, by zdać relację Adelinie. Wszyscy oczekiwali z dnia na dzień jego przyjazdu, nie wyłączając, jak to się teraz okazało, i Morskiej Damy.

III

Szczegółów spotkania panny Adeliny z narzeczonym zaledwie domyśleć się mogę. Przybył do Folkestone i zatrzymał się w hotelu Metropol, gdyż dom Buntingów był przepełniony, a Metropol był najbliższym Sandgate hotelem.

Po południu wybrał się do willi Buntingów i oświadczył, że chce się widzieć z panną Adelina, co było raczej miłe niż poprawne. Zdaje się, że spotkali się w salonie i że gdy Chatteris zamknął drzwi za sobą, nastąpiło coś w rodzaju pieszczoty.

Muszę przyznać, że zazdroścę swobody powieściopisarzom, którzy gotowi są wprowadzić czytelnika poza takie drzwi zamknięte i ukazać mu wszystko, co się tam za nimi mówi i czyni. Co do mnie to pomimo najszczerzej chęci połączenia drobnych skrawków i opirków faktów, któremi rozporządzam, w jednolity łańcuch, muszę w tym wypadku dać za wygraną. Zresztą pannę Adelinę ujrzałem po raz pierwszy dopiero, gdy wszystko to przeminęło. A czemuż ona jest obecnie? Wysoką, raczej nie spokojnie czynną, bardzo bystrą i wydatną w spra-

wach społecznych—kobietą, z której duszy coś znikło bezpowrotnie.

Melvillowi raz jeden było dane ujrzeć błysk tego czegoś. Ale naogół Melville nie lubiał Adeliny, może dlatego, że miała szerszy pogląd na rzeczy niż on i trochę mu imponowała. Nie była przecież z niej ani „ładna kobietka“, ani „kochana pani“, ani „grande dame“, nie należała też do rzędu nic nie znaczących istot, nie wchodziła zatem zupełnie w ramy pojęcia kobiecości mego kuzyna. Mało odeń mogłem uzyskać materiału do złożenia obrazu owej dawnej Adeliny. „Pozowała“, mówi, „zajmowała się polityką i czytała nieustannie panią Humphrey Ward.“ To ostatnie Melville uważał za szczególnie nieprzebaczalne przewinienie. Jest to nienajmniej z przesądów mego kuzyna, że uważa tę słynną powieściopisarkę za wywierającą niezmiernie szkodliwy wpływ na umysły inteligentnych dziewcząt. Sprawa bowiem, jego zdaniem, że czytelniczki jej powieści nabierają dobroci i powagi w niewłaściwym kierunku. Zapewniał, że Adelina była zupełnie uformowana na wzorach tej powieściopisarki. Nieustannie starała się być wcieleniem Marcelli. Zdołał on zaszczyć nawet ten swój pogląd pani Bunting. Nie mogę jednak ani na chwilę uwierzyć w możliwość kształtowania się dziewcząt według wzorów beletrystycznych. Są to raczej powinowactwa z wyboru. Jestem przekonany, że o ile tylko jakiś zawadjacki krytyk lub kaznodzieja nas nie pomyli, każdy z nas poczuje pociąg do jakiegoś specjalnego powieściopisarza zupełnie tak samo, jak w systemie Swendborga każda dusza czuła pociąg do swego specjalnego piekła. Adelina miała sympatię dla owej wyimaginowanej Marcelli. Było, jak zapewnia Melville, silne podobieństwo w ich umysłowej atmosferze.

Miały te same wady: chęć przewagi — że użyję tu jego dobitnego wyrażenia — skłonność do aroganckiej uczynności, tępość względem drobnych odcieni uczucia, która pozwala ludziom mówić o „Niższych Warstwach” i myśleć w tym samym duchu. Miały też na pewno te same zalety: sumienną i świadomą prawość, twardą szlachetność bez cienia jakiegokolwiek czaru i pracowitą gruntowność. Adelina nade wszystko rozkoszowała się gruntownością swej powieściopisarki, jej brakiem impresjonizmu, cierpliwą stanowczością, z jaką sięgała do wszelkich kątów i wymiatała pod wszelkimi słomiankami wydarzeń. Łatwo byłoby zatem na tej zasadzie wyrozumować sobie, że Adelina zachowała się tak, jak bohaterka pani Ward w podobnym wypadku.

„Marcella”, jak wiemy — przynajmniej później, gdy w sercu jej nastąpiła przemiana — byłaby na pewno „przytuliła się do niego”. Nastąpiłaby „chwila, w której myśli” — oczywiście najwyższego gatunku — „łączyły się z naturalną ambicją dwojga ludzi w kwiecie życia i siły”. Potem byłaby „cofnęła się szybkim ruchem” i słuchałaby „podpierając w zamyśleniu piękną ręką policzek”, jak Chatteris „podsumowywał siły przeciwników — rozważając przypuszczalne działanie tej czy owej grupy.” „Coś nieskończone czułego i macierzyńskiego” byłoby „przemawiało w niej, skłaniając ją do najwyższej pomocy, jakiej miłość i kobieta udzielić mogą.” Byłaby wywarła na Chatterisie „to cudne złożone wrażenie wdzięku, namiętności i oddania, które we wszystkich swych nieskończonych odmianach i powtórzeniach składało się dla niego na trwały poemat jej piękności.

Ale to jest fantazja a nie rzeczywistość. Adelina śniła może kiedy, że tak postąpi, ale — nie była Marcellą, choć być nią pragnęła, on zaś nie-

tylko że nie był Maxwellem,*) ale nigdy nie miał zamiaru ani chęci nim zostać. Gdyby miał okazję zostania Maxwellem, na pewno odrzuciłby ją bardzo niegrzecznie. Spotkali się więc jak dwie wcale niebohaterskie istoty z nieśmiałościami i niezgrabnymi ruchami i — przypuszczalnie — uczciwymi oczyma. Coś tam nastąpiło zapewne w rodzaju pocałunku. Potem, wyobrażam sobie, że powiedziała „no i co?” a on prawdopodobnie odpowiedział „Wszystko w porządku”. Potem zaś nieco pobieżnie, z pewnem poruszeniem głowy od czasu do czasu, jakby w kierunku owej znacznej osobistości, Chatteris musiał ją zapoznać ze szczegółami. Powiedział jej, że ma kandydować w Hythe i że mała trudność, wynikła z tego powodu, że agent Komisji z Glasgowa chciał kandydować ze strony Radykałów jako przedstawiciel Kentu, została szczęśliwie zlikwidowana bez szkody dla Partji.

Na pewno rozmawiali o polityce, gdyż wkrótce potem, gdy zeszli do ogrodu, gdzie pani Bunting i Morska Dama przyglądały się pannom, grającym w krokieta, Adelina była już w pełnem posiadaniu tych faktów. Myślę, że dla takiej, jak tych dwoje, pary takie wzmianki o powodzeniu, takie poważne tematy zastępowały do pewnego przynajmniej stopnia bezcelowe powtórzenia pospolitych pieszczot.

Syrena, zdaje się, pierwsza ich spostrzegła — Otóż i on — rzekła nagle.

— Kto? — zapytała pani Bunting, spojrzawszy w jej oczy, nagle rozblysłe, i śladem ich spojrzenia na Chatterisa.

*) Idealny, nieco papierowy, bohater powieści pani Humphrey-Ward „Marcella”.

— Drugi syn pani — odpowiedziała żartobliwie Syrena.

— Harry i Adelina! — zawołała pani Bunting — Dobrana z nich para, nieprawdaż?

Ale Morska Dama nie odpowiedziała, wyprostowana w fotelu patrzyła badawczo na zbliżających się. Nie ulegało wątpliwości, że byli parą dobraną. Wychodząc z werandy na blask słońca i kierując się przez dobrze utrzymaną murawę ku cieniowi grupy wiązów, oświetleni szczególnie jaskrawem światłem, byli na widoku jak aktorzy na scenie, rozleglejszej niż scena jakiegokolwiek bądz teatru. Postać Chatterisa musiała odznaczać się szczególnie wyraźnie. Wysoki blondyn o szerokich barkach, nieco opalony i, jak sądzę, trochę zamyślony — co mu się często w ostatnich czasach zdarzało. Obok niego Adelina, spoglądająca to na niego, to na zebrane pod wiązami towarzystwo, brunetka, nieco zarumieniona, wysoka — choć nie tak wysoka jak Marcella — i — bez jakichkolwiek wzorów powieściowych — szczerze rozradowana.

Chatteris, dopiero zbliżywszy się zupełnie, zauważył, że pod drzewem jest ktoś jeszcze prócz Buntingów. Niespodziewany widok obcej osoby stłumił, zdaje się, to, co miał powiedzieć na wstępie, i Adelina zajęła pierwsze miejsce na scenie. Pani Bunting wstała, i wszyscy grający w krokieta — z wyjątkiem Mabel, będącej w toku wygranej — podążyli na spotkanie Chatterisa, witając go radośnie. Mabel jedynie pośród tego zebranego na „herbatkę“ — tak się to podobno nazywa — towarzystwa domagała się uparcie, by jej pozwolono rozegrać wpierw do końca partję. Nie wątpię, że gdyby jej usłuchano, byłaby im dała budujący pokaz wzorowej gry krokietowej.

Adelina płynęła ku pani Bunting, wołając z nutą triumfu w głosie — Wszystko ułożone! Wszystko zupełnie pomyślnie ułożone! Pozyskał ich wszystkich! Ma kandydować z Hythe.

Zupełnie mimowoli oczy jej spotkały się w tej chwili z oczyma Syreny.

Niepodobna, rozumie się, powiedzieć, co w nich wyczytała — i wogóle, co w nich wtedy było do wyczytania.

Przez chwilę znalazła się wobec zagadki, poczem Syrena odwróciła oczy, badając z dawno odkładaną przenikliwością twarz mężczyzny, którą wówczas prawdopodobnie po raz pierwszy ujrzała zbliska. Byłoby ciekawe wiedzieć, czy w spotkaniu się ich spojrzeń było, czy mogło tam być coś więcej prócz badania i zdziwienia. Przez chwilę zatrzymała na sobie jego oczy, potem zwrócił się jakby z zapytaniem do pani Bunting, która z pospiesznem „Ach przepraszam“ przedstawiła ich nawzajem. Sądzę, że obrządek ten odbył się bez ponownego skrzyżowania spojrzeń.

— Zpowrotem? — rzekł Fred, dotykając ramienia Chatterisa, i Chatteris potwierdził to udatne przypuszczenie.

Panny Bunting zdawały się być rade raczej stanowisku przyszłemu Adeliny, tak godnemu zazdrości, niż samemu Chatterisowi. Dał się słyszeć głos Mabel zbliżającej się — Czyż nie powinni czekać, aż rozegram partję, panie Chatteris?

— Hallo, Harry, mój chłopczel! — wołał pan Bunting rubasznie — Co porabia Paryż?

— Co porabia rybołówstwo? — odparł Harry.

I tak oto zbliżyli się wszyscy, otaczając szerokiemi kołem nadobną istotę, która „ujęła wszystkich“. Parker, rozumie się, została na swoim zwykłym

miejscu. Jestem pewien, że nigdy w życiu przez nikogo ani „ujęta“, ani „pozyskana“ nie została.

Nastąpiło chwytnie i przesuwanie krzeseł...

Narazie zdawało się, że nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na dramatyczne oznajmienie Adeliny. Buntingowie nie byli zbyt pomysłowi w wynajdywaniu „powiedzeń“. Adelina stała tedy pośród nich jak primadonna na scenie pośród aktorów, którzy zapomnieli swoich ról. Poczem wszyscy razem jakby się ocknęli i zagadali wszyscy naraz. „Więc naprawdę wszystko *ułożone*“, rzekła pani Bunting, a Betty Bunting pytała „więc *będą* wybory?, a Netta mówiła „co za uciecha!“ Pan Bunting z miną świadomego rzeczy człowieka zapytał „więc widział się pan z *nim*?“ A Fred do ogólnego rozgwaru dorzucił swoje „Hurra!“

Syrena oczywiście nic nie mówiła.

— No, wydamy im dobrą bitwę w każdym razie — rzekł pan Bunting.

— Mam nadzieję, że tak będzie — rzekł Chatteris.

— Myślę, że nie tylko wydamy bitwę — rzekła Adelina.

— O tak — rzekła Betty — na pewno.

— Wiedziałam, że się muszą zgodzić na plany Henryka — rzekła Adelina.

— Naturalnie, jeśli mają odrobinę sensu w głowie — rzekła pani Bunting.

Poczem nastąpiła pauza, podczas której pan Bunting nabral odwagi do wygłoszenia swoich politycznych rozważań — Zaczynają nabierać rozumu — mówił — zaczynają rozumieć, że Partja musi mieć Ludzi, Ludzi z Urodzeniem i dobrze przygotowanych. Dotychczas Pieniądz i Tłum prowadziły sprawy, grając na instynktach i zawiściach klasowych i operując Irlandczykami. Ale otrzymali nauczkę. Jak? Dla-

czego? staliśmy na uboczu. Pozostawiliśmy ich na łup fakcjonistów, podżegaczy i Irlandczyków. A teraz co? To jest rewolucja w Partji. Pozwoliliśmy im upaść. Musimy teraz podnieść ich znowu.

Uczynił gest swą małą, tłustą ręką, jedną z tych tłustych czerwonych rąk, które zamiast mięśni i kości zdają się mieć w sobie trociny czy włosień. Pani Bunting rozparła się w krześle, uśmiechając się pobłaźliwie.

— To nie są pospolite wybory — dodał pan Bunting — to jest rzecz wielkiej wagi...

— Co jest rzeczą wielkiej wagi? — zapytała Morska Dama, która przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu — niezupełnie rozumiem.

Pan Bunting starał się ją oświecić. — To — rzekł na początek. Adelina słuchała z zainteresowaniem i niecierpliwością napół, usiłując kilkakrotnie przerwać mu i wciągnąć zrećznie do rozmowy Chatterisa. Ale Chatteris nie poddawał się jej wysiłkom. Zdawał się być istotnie zajęty wywodami Buntinga.

Wkrótce czwórka krokietowa — na żądanie Mabel wróciła do gry, reszta towarzystwa prowadziła w dalszym ciągu gawędę o polityce. Rozmowa powoli zeszała na bardziej osobiste tory, obracając się wkońcu dokoła Chatterisa; omawiano dość szczegółowo, co teraz robi, a głównie, co robić powinien.

Pani Bunting nagle uciszyła pana Buntinga, ofiarowującego swoje rady Chatterisowi, i Adelina podjęła ponownie cały ciężar rozmowy. Zaznaczyła dalekie i wysokie cele. „Te wybory są zaledwie otwarciem drzwi,“ mówiła. Gdy Chatteris skromnie zaprzeczył, uśmiechnęła się z dumną i szczęśliwą świadomością tych wyżyn, do których miała go doprowadzić w przyszłości...

A pani Bunting dostarczała uwag, wyjaśniają-

cych to wszystko Morskiej Damie. „On jest tak skromny“, rzekła w pewnej chwili, a Chatteris udawał, że tego nie słyszy, i zarumienił się nieco. Kilkakrotnie usiłował odwrócić rozmowę i skierować ją na temat Morskiej Damy, ale nieznajomość jej właściwego stanowiska stawiała mu na przeszkodzie.

A Morska Dama nie odzywała się prawie wcale, obserwując Chatterisa i Adeliny, zwłaszcza stosunek Chatterisa do Adeliny.

ROZDZIAŁ VI

Znamienne objawy.

I

Mój kuzyn Melville nie może zapamiętać dokładnie żadnej daty. Jest to godne pożałowania, byłoby bowiem bardzo pouczające, gdyby można było określić ściśle, ile dni dzieliło scenę zapoznania się od chwili, w której Melville zeszedł Chatterisa na poufnej rozmowie z Syreną.

Wracał z Biblioteki Publicznej z paczką książek dla panny Adeliny, poszukującej jakichś specjalnych informacji. Obarczyła go tem poleceniem, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że Melville niekoniecznie ją adoruje — ten rys jej charakteru był także jednym z powodów, zmniejszających urok panny w jego oczach.

Na jednej z tych ocienionych ścieżek pod skałą, które nadają taki szczególny wdzięk folkestońskiej Promenadzie, natknął się na małą grupę zebraną wokół fotela Morskiej Damy. Chatteris siedział na jednej z drewnianych ławek, zarytych w groble, i przechylając się ku Syrenie, patrzył w jej twarz,

ona zaś mówiła coś doń z uśmiechem, który już wówczas uderzył Melville'a jako niezwykle — a znał już przecież spory repertuar jej uśmiechów. Parker siedziała nieco dalej, w miejscu, gdzie rodzaj wału wystającego pozwala widzieć groble, przystań i brzeg Francji, zdawała się spoglądać na to wszystko z pewną niechęcią. A posługacz, popychający zwykle fotel, przykucnąwszy pod wałem, pogrążył się w melancholji, która przystoi człowiekowi, nieustannie przewożącemu kalekę ludzką.

Kuzyn mój zwolnił nieco kroku i zbliżył się do nich. Rozmowa się przerwała. Chatteris odchylił się nieco, nie okazując jednak żadnego niezadowolenia, i starał się znaleźć jakiś ogólniejszy temat do rozmowy w książkach, przyniesionych przez Melville'a.

— Książki? — zapytał.

— Dla panny Adeliny — odpowiedział Melville.

— O! — rzekł Chatteris.

— O czym to? — zapytała Syrena.

— O dzierżawach ziemskich — odparł Melville.

— No, to już nie z mojej specjalności — zauważyła Morska Dama, a Chatteris uśmiechnął się, jakgdyby zrozumiał pointę.

Nastąpiła przerwa.

— Czy kandydujesz w Hythe? — zapytał Melville.

— Taki los mi przypadł w udziale — odparł Chatteris.

— Grożą rozwiązaniem parlamentu we wrześniu.

— Na pewno nastąpi za miesiąc — rzekł Chatteris niedającym się naśladować tonem człowieka, świadomego rzeczy.

— W takim razie wkrótce będziemy mieli robotę.

— A ja czy mogłabym agitować — rzekła Morska Dama — Jeszcze nigdy...

— Panna Waters — wyjaśnił Chatteris — ofiarowała mi się z pomocą.—Spojrzał szczerze w oczy Melvillowi.

— To jest przykra robota, proszę pani — zauważył Melville.

— Nic nie szkodzi. To będzie zabawne. A przytem pragnęłabym bardzo móc przydać się na coś. Naprawdę szczerze chcę dopomóc, panie Chatteris!

— To nielada zachęta, proszę pani.

— Mogłabym w tym fotelu objeżdżać wyborców razem z panem.

— Tak, to byłby rodzaj wycieczki dla pani — rzekł Chatteris.

— Ale mam zamiar dopomóc zupełnie serjo — rzekła Syrena.

— A czy zna pani racje powoda? — zapytał Melville.

Spojrzała na niego.

— Czy opanowała pani właściwe argumenty?

— Będę ich prosiła, by głosowali za panem Chatterisem, a potem, gdy kogo z nich spotkam, uśmiechnę się doń i prześlę ukłon ręką. Czy trzeba coś więcej?

— Nic więcej — rzekł Chatteris, mrugając nieznacznie na Melvilla — chciałbym mieć sam równie przekonujące argumenty.

— Jacy to są właściwie ludzie, ci tutejsi mieszkańcy?—zapytał Melville —zdaje się, że są tu jakieś interesy przemysłnicze do uwzględnienia.

— Nie pytałem się o to—rzekł Chatteris.—Przemysłnictwa już dawno niema. Już chyba od czterdziestu lat. Wystawili ostatniego przemysłnika, bardzo interesującego staruszką, pełnego ciekawych reminiscencyj, gdy przyjechał jakiś hrabia Saskiego Pomorza. Pamiętał przemysłnictwo z przed czter-

dziestu lat. Co do mnie, to pozwalam sobie powątpiewać, czy tu wogóle byli jacy kontrabandyści. Myślę, że istnienie straży pobrzeżnej jest ofiarą, złożoną na ołtarzu pustego przesądu.

— Jaktol! — zawołała Syrena — przecież dopiero kilka tygodni temu, tu w pobliżu widziałam — zatrzymała się nagle i uchwyciła spojrzenie Melvilla. Zrozumiał jej zakłopotanie.

— W gazecie — poddał.

— Tak, właśnie, w gazecie — rzekła, chwytając rzuconą linę ratunkową.

— Że? — zapytał Chatteris.

— Że tu jeszcze są przemysłnicy — rzekła Morska Dama z miną osoby, wstrzymującej się od opowiedzenia nawpółzapomnianej anegdoty.

— Nie ulega wątpliwości, że się to zdarza — rzekł Chatteris, nic nie zauważywszy. Ale nie odgrywa to żadnej roli w akcji wyborczej. Na pewno nie będę przemawiał za sprawniejszym statkiem strażniczym. Przyjmuję za zasadę, że może tak pozostać, jak jest. Taka będzie mniej więcej moja linja. I zapatrzył się na morze. Oczy Melvilla i Syreny zamieniły poufne spojrzenie.

— Oto — widzi pani, wzorek naszej roboty — rzekł Chatteris.

— Czy jest pani przygotowana na taką zawilłość?

— Najzupełniej — rzekła Morska Dama.

Mój kuzyn przypomniatł sobie jakąś anegdotę... Rozmowa przeszła na temat anegdot wyborczych i zaczęła zamierać. Melville zaledwie zdążył dowiedzieć się, że pani i panny Bunting były razem z Morską Damą na brzegu i udały się do miasta po jakieś zakupy, gdy panie wróciły. Chatteris wstał, by je powitać, przyczem wyjaśnił — co dotychczas wcale nie było widoczne — że właśnie szedł do Adeliny,

i po paru zdawkowych zdaniach obaj panowie udali się w dalszą drogę.

Krótkie milczenie zaległo między nimi.

— Kto to właściwie jest ta panna Waters? — zapytał Chatteris.

— Przyjaciółka pani Bunting — odpowiedział obłudnie Melville.

— Tak, słyszałem... zdaje się, bardzo miła osoba.

— Bardzo miła.

— Interesująca. Jej cierpienie zdaje się jeszcze dodawać jej wdzięku. Czyni z niej istotę bierną, jakby obraz, albo coś wyimaginowanego. Coś poczętego w wyobraźni. Siedzi sobie, uśmiecha się i odpowiada. Czy jej mają w sobie coś poufnego. A jednak...

Kuzyn mój nie ofiarował się z pomocą.

— Skąd ją pani Bunting właściwie wystraszyła?

Melville musiał się nieco skupić, zanim odpowiedział.

— Zdaje się — rzekł ostrożnie — że jest tam coś, co pani Bunting pragnęłaby ukryć.

— Cóżby to mogło być takiego?

— Na pewno nic rażącego — rzekł niepewnie Melville.

— To dość dziwne. Pani Bunting przecież zawsze jest tak skłonna do...

Melville nie podjął tej uwagi.

— Tak, to się daje odczuć — rzekł Chatteris.

— Co mianowicie?

— Coś tajemniczego.

Kuzyn podziela mój głęboki wstręt do tej wysoko mistycznej metody traktowania kobiet. Lubi żeby kobieta była określona i miła. Lubi wogóle wszystko określone i miłe. Więc chrząknął tylko.

Ale Chatteris nie dał się tem powstrzymać. Przeszedł na nutę krytyczną. — Nie ulega wątpliwości, że

to jest tylko złudzenie. Kobiety to impresjonistki. Plama i światło. Otrzymuje się wrażenie. A o to im chodzi. Ona wywiera wrażenie. Ale w jaki sposób — to tajemnica. To nie tylko piękność. Przecież jest wiele piękności na świecie. Ale takiego wrażenia nie czynią. Myślę, że to coś w oczach.

Zatrzymał się na tej myśli przez chwilę.

— Właściwie, mój kochany, w oczach niema żadnego wyrazu — rzekł mój kuzyn, pożyczając obcy argument i ton badawczego cynizmu ode mnie. — Czy przyjrzałeś się kiedy oczom przez dziurkę w arkuszu papieru?

— Nie wiem — rzekł Chatteris — ale nie mówię o fizycznym oku. Może to ta sprzeczność jej zdrowego wyglądu z fotelem na kółkach. Dziwny kontrast. Czy nie wiesz, co jej jest właściwie? Zrozumiałem ze słów pana Buntinga, że to jest niedomaganie przejściowe, nie kalectwo.

— On powinien wiedzieć.

— Nie jestem tego tak pewien. — Nie wiesz przypadkiem, co to za cierpienie?

— Nie mogę powiedzieć, doprawdy, — rzekł Melville tonem pełnym wątpliwości, przyczem skonstatował wewnętrznie, że nauczył się już wykręcać nienajgorzej.

Temat zdawał się być wyczerpany. Mówili o wspólnym znajomym, którego im przypomnieli widok hotelu Metropoli. Potem zamilkli na chwilę zupełnie. Gdy ominęli gwar i ruch panujący dookoła orkiestry, Chatteris znowu podjął rozmowę.

— Skomplikowana rzecz — kobiece pobudki — zauważył.

— Jakie.

— Ta agitacja. Przecież niepodobna, by się interesowała filantropijnym liberalizmem.

— Bywają różne typy. A potem działają tu pobudki osobiste

— Niekoniecznie. Niepodobna, by taka olbrzymia przepaść umysłowa była między mężczyzną a kobietą. Jeżeli ty możesz się interesować...

— O, ja...ja przecież wiem, o co chodzi. A zresztą tu nie chodzi o zasady, tu chodzi o wybory jako o rozrywkę.

— Rozrywka!

— Ach, mój drogi, nigdy nie można przewidywać, co zajmuje umysł niewiasty — rzekł Melville i dodał — a co nie — Chatteris nie odpowiedział.

— Myślę, że to jest ten sam instynkt, który każe niewiastom uprawiać odwiedzanie biedaków parafjalnych — rzekł Melville.

— Wszystkie to mają w sobie. Agitacja! Wszystkie kobiety lubią włączyć do cudzych domów.

— Bardzo prawdopodobne — rzekł Chatteris krótko, a gdy Melville mu nie odpowiedział, zagłębił się w jakichś tajemnych rozmyślaniach, jak się zdaje, dość przyjemnych,

Wystrzał armatni, oznajmiający południe, zagrzmiął z obozu w Shorcliffe.

— Na Jowisza — zawołał Chatteris i przyspieszył kroku.

— Zastali Adelinę zagłębianą w papierach. Gdy weszli, wskazała z wymówką, nie pozbawioną jednak słodyczy a la Marcella, na zegar. Przeprosiny Chatterisa były wymowne i ujmujące, ale nie zawierały żadnej wzmianki o spotkaniu z panną Waters na Promenadzie.

Melville wręczył książki, poczem pozostawił ich zagłębianych już po uszy w szczegółach organizacji okręgów, zreferowanej przez lokalnego agenta Liberalnej partji.

II.

Pewnego dnia, wkrótce po powrocie Chatterisa, kuzyn mój i Morska Dama znaleźli się pod więzem

w końcu ogrodu. Oprócz Parker, (nie branej naogół pod uwagę) siedzącej w przyzwoitem oddaleniu z jakąś robotą w ręku, nie było przy nich nikogo. Fred z pannami byli gdzieś na wycieczce wieczornej. Fred towarzyszył pannom na wyraźne żądanie Syreny, a panna Adelina i pani Bunting były w Hythe na dyplomatycznej wizycie u jakichś strasznie nieprzyjemnych ludzi, którzy byli potrzebni Henrykowi w jego akcji wyborczej.

Pan Bunting zaś łowił ryby na wędkę. Nie był właściwie wcale amatorem rybołówstwa, ale jako bardzo zdecydowany pod wieloma względami jegomość, postanowił codziennie po drugim śniadaniu łowić ryby, aby przewyciężyć w sobie to, co pani Bunting nazywała „śmiesznem przyzwyczajeniem”. „Podlegał bowiem morskiej chorobie, ilekroć wsiadał do łódki. Mówił, że jeżeli łowienie ryb z łódki na przynętę małych ślimaczków bezpośrednio po oświadczeniu nie złamie tego „przyzwyczajenia,” to już niema na to rady. I rzeczywiście wyglądało na to chwilami, że ta praktyka złamie wszystko we wnętrzu pana Buntinga. Ale „przyzwyczajenie” pozostało. To jest jednak dygresja.

Otóż siedzieli, jak powiedziałem, we dwoje pod więzem; Melville miał na sobie jeden z tych flanelowych, delikatnie deseniowanych garniturów, które w roku pańskim 1899 łączyły poprawność z wygodą. Patrzył zapewne w ociemnioną twarz Syreny, ujętą w ramy oświeconej słońcem żółto-zielonej murawy i czarno-zielonych błyszczących liści wieżozółdu — tak przynajmniej moja skłonność do prawdopodobieństwa rzecz sobie wyobraża — a ona, zrazu nieco zamysłona i przygnębiona tego popołudnia, później ożywiła się i patrzyła mu w oczy. Nie wiem, czy sa-

ma mu zaproponowała, by zapalił papierosa, czy on prosił o pozwolenie, jakkolwiekby wyjął papierosnicę. Przyglądając się papierosom, uczyniła jakiś niewyraźny gest. Kuzyn spojrzał na nią niepewnie.

— Przypuszczam, że pani — rzekł.

— Nigdy nie paliłam.

Spojrzał w stronę Parker, a potem spotkał się z oczyma Syreny.

— Jest to jedna z tych rzeczy, dla której przybyłam — rzekła.

Przyjęła papieros i przyglądała mu się uważnie.

— Tam w głębi — rzekła — jest to właśnie jedna z tych rzeczy. Rozumie pan, że możemy mieć tylko przemokły tytoń. Niektórzy podmorzanie... Jest coś pochodzącego od marynarzy. Nazywają to, zdaje się, *prymkę*; obrzydliwe nad wszelki wyraz!

Przerwała niemiły temat i zamyśliła się.

Melville stuknął zapalniczką.

Miała chwilę wahania i spojrzała w stronę Willi — Pani Bunting? — zapytała, zdaje się, że kilkakrotnie powtórzyła to pytanie.

— Nie miałyby nic przeciwko temu — rzekł Melville i zatrzymał się — Nie będzie tego uważała za niestosowne — dodał — o ile nie będzie nikogo, co by mógł się tem gorszyć.

— Niema przecież nikogo — rzekła Syrena, spoglądając na Parker, i Melville podał ogień.

Umysł mojego kuzyna z trudem nagina się do bezpośredniości. Ma pasję podchodzenia wszelkich spraw zarówno ogólnych jak osobistych w sposób ukośny takim samem niepodobieństwem byłoby dlań zbliżyć się do jakiegoś przełomu bezpośrednio, jak dla kota podejść wprost do obcego człowieka. Siedząc naprzeciwko Morskiej Damy i przypatrując się jej godnym pochwały wysiłkom palenia, szukał w

myśli jakiejs bocznej drogi. — Ciekaw jestem, w jakim celu pani *naprawdę* przybyła.

Uśmiechnęła się do niego poprzez obłoczek dymu — Poto właśnie — rzekła.

— I po fryzurę?

— I ubieranie się.

Uśmiechnęła się znowu po chwilowem wahaniu — I poto wszystko — dodała, jakby czując, że poprzednia odpowiedź wypadła nieco poniżej jego zasługi. Gest jej ukazał dom i murawę i kuzyn mój ciekaw był, co więcej objęte zostało tym gestem.

— Czy we właściwy sposób palę? — zapytała Syrena.

— Cudownie — rzekł Melville z lekkim westchnieniem w głosie. — Jakże się to pani podoba?

— Warto było przybyć poto — rzekła Syrena, patrząc mu z uśmiechem w oczy.

— Ale czy rzeczywiście przybyła pani tylko dlatego?

— By poznać życie na lądzie?... Czyż to nie wystarczający powód?

Papieros Melvilla nie zapalił się. Przyglądał się w milczeniu jego zwichniętej karjerze.

— Życie — rzekł — nie polega jedynie na tych rzeczach.

— Na jakich rzeczach?

— Na świetle słonecznem, na paleniu papierosów, na rozmowie, na pięknem ubraniu.

— A jednak z tego się przecież składa życie.

— Niezupełnie.

— Naprzykład?

— O, *pani* przecież wie.

— O czym?

— Pani *wie* — rzekł Melville, nie patrząc na nią.

— Nic mi o tem niewiadomo — rzekła po krótkim milczeniu.

— Zresztą — rzekł — mówiła pani do pani Bunting — przyszło mu w tej chwili na myśl, że zdradza zaufanie, ale skrupuł był spóźniony.

— Więc?

— Coś o duszy.

— Nie odpowiedziała bezpośrednio. Podniosła głowę i spotkał się z jej roześmianymi oczyma.

— Panie Melville — rzekła niewinnie — co to jest dusza?

— To jest — zaczął prędko Melville i zatrzymał się.

— Dusza — rzekł mój kuzyn, strzepując nieistniejący popiół ze swego zgaśniętego papierosa.

— Dusza — powtórzył i spojrzał na Parker.

— Dusza, uważa pani — rzekł i spojrzał na Morską Damę z miną człowieka, poruszającego trudną sprawę z należytą ostrożnością.

— Prawdę powiedziawszy — rzekł — jest to materia dość trudna do wyjaśnienia.

— Zwłaszcza wobec istoty pozbawionej duszy?

— Wobec każdego — rzekł mój kuzyn, zdając sobie nagle sprawę z tej trudności.

Rozmyślał przez chwilę o jej oczach.

— Zresztą — dodał — pani sama bardzo dobrze wie, co to jest dusza.

— Nie — odparła — nie wiem.

— Wie pani tyleż co i ja.

— Może być duża różnica w świadomości.

— Przecież przybyła pani, by uzyskać duszę.

— A może wcale nie pragnę duszy? *Poco?*
Jeśli się jej niema?

— *A właśnie!* — Melville wzruszył ramionami. — Doprawdy, wie pani — właśnie dlatego, że to jest takie ogólne — trudno określić.

— Czy każdy ma duszę?

— Każdy.

— Oprócz mnie?

— Tego nie jestem znów tak pewien.

— Pani Bunting?

— Naturalnie!

— I pan Bunting?

— Każdy.

— Czy i panna Adelina ma duszę?

— O, wiele!

Morska Dama zamyśliła się, a potem nagle zapytała.

— Panie Melville, co to jest Związek Dusz?

Melville zgniótł zgasły papieros i rzucił go na ziemię. Frazes ów widocznie zbudził w nim jakąś reminiscencję.

— Jest to naddatek — rzekł — rodzaj floresu... A czasami jest to jakby przesłanie kart wizytowych przez lokaja, zastępujące Rzeczywistą Obecność.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Melville był przygnębiony, daremnie szukał sposobu wypowiedzenia myśli, której sam nie umiał sobie jeszcze uświadomić dokładnie. Syrena zaniechała prób zrozumienia go na rzecz pilniejszego tematu.

— Czy sądzi pan, że panna Glendower i pan Chatteris?

Melville spojrzał na nią, zauważył, że się zatrzymała przy tem nazwisku.

— Właśnie to najlepiej ich stosunkowi odpowiada.

A potem zapytał:

— A więc to Chatteris?

— Tak — odpowiedziała.

— Tak też sobie myślałem — rzekł Melville.

Syrena poważnie patrzyła na niego. Badali się wzajemnie z niezwykłą poufałością. Melville nagle przemówił otwarcie. Zrozumiał, że powinien był dawno uczynić to odkrycie. Czuł się niepomrotnie rozgoryczony, mówił drgającymi ustami, a głos jego miał nutę brzemienną oskarżeniem.

— Pani pragnie mówić o nim.

Kiwnęła głową, pełna powagi.

— Ja — niekoniecznie — zmienił ton. — Ale jestem gotów, jeśli pani sobie życzy.

— Byłam pewna, że pan mi nie odmówi.

— O, pani nie — rzekł Melville i zauważył, że złamany papieros znajduje się w promieniu jego mściwego buta.

Milczała.

— A więc? — rzekł Melville.

— Ujrzałam go po raz pierwszy — tłumaczyła się — kilka lat temu.

— Gdzie?

— Na morzu południowym, w pobliżu Tongi.

— I to jest prawdziwy powód przybycia pani?

Tym razem jej zachowanie się było przekonujące.

— Tak — przyznała.

Melville starał się zachować bezstronność.

— Jest pokątny — przyznał — dobrze zbudowany i przyzwoity facet — tak, przyzwoity chłop. Jednak nie rozumiem, dlaczego *pani*...

Poczem dodał:

— On *pani* nie widział?

— O nie!

Poza i ton Melville zdawały się świadczyć o wyjątkowej liberalności jego poglądów.

— Nie mogę zrozumieć, poco pani przybyła — rzekł — ani co pani myśli przedsięwziąć. Jest, uważa pani — jakby wzmiankując drobną ale prawomocną przeszkodę — panna Glendower.

— Czyż?

— Jakto, czyż jej niema?

— Właśnie — rzekła.

— A zresztą, wie pani, nie wiem, w jakim celu pani miała?

— Przyszna, że to jest niedorzeczne — odparła. — Ale poco roztrząsać te sprawy? To jest rzecz wyobraźni.

— Dla niego?

— Skądże mogę wiedzieć, jak to jego wyobraźnię uderza? — Tobym właśnie wiedzieć pragnęła.

Melville ponownie spojrzał jej w oczy.

— Pani wie, że to jest gra nieuczciwa.

— Względem niej?

— Względem wszystkich.

— Dlaczego?

— Dlatego, że pani jest nieśmiertelna i niczem nie obarczona. Dlatego, że pani może czynić wszystko, co zechce, a my nie możemy. Nie wiem, dlaczego nie możemy, ale fakt, że nie możemy. Jesteśmy tu na ziemi z naszym krótkim życiem i naszymi małymi duszami, które możemy zbawić lub zatracić, krzątający się koło naszych małych spraw. A pani występuje ze swego żywiołu i używa.

— Żywioł ma swoje prawa — rzekła, a potem — żywioły są żywiołami, mój panie. O tem nie wolno zapominać.

— Wyobrażnia?

— Rozumie się. To jest właściwy pierwiastek żywiołowy... A te pierwiastki waszych chemików.

— Są.

— Są czystą wyobraźnią. Niema innych.

I w dalszym ciągu: — A te wszystkie pierwiastki waszego życia, życia, którem wam się zdaje, że żyjecie, te różne drobne rzeczy, które *musicie* spełniać, te drobne troski, te nadzwyczajne pospolite cnoty, to z dnia na dzień, te hipnotyczne ograniczenia — wszystko to jest wyobrażeniem, które się was uczepiło tak mocno, że nie możecie się zeń otrząsnąć. Nie śmiecie, nie wolno wam, nie możecie. Dla nas, którzy was obserwujemy...

— Obserwujecie nas?

— O tak! Przypatrujemy się wam i często zazdrościmy. Nietylko suchego powietrza, światła słonecznego, cienia drzew, wrażeń świtu i uroku wielu nieznanych nam rzeczy, ale tego głównie, że życie wasze zaczyna się i kończy... że możecie się spodziewać jakiegoś końca.

Powróciła do poprzedniego tematu:

— Ale wy jesteście tak ze wszech stron ograniczeni, tak spętani. Krótkiego czasu, który wam jest dany, tak źle używacie. Rodzicie się i umieracie, a przez cały czas pomiędzy temi dwoma krańcami zachowujecie się, jakgdybyście byli zaczarowani. Lękacie się uczynić to, co byłoby rozkoszne, a musicie czynić owo, o czem doskonale wiecie, że jest głupie i nieprzyjemne. Pomyśl pan tylko o tych rzeczach, o tych wszystkich drobnych rzeczach, których popełnić nie można. Tam dalej na Promenadzie, w ten upał siedzą wszyscy w ciężkich, brzydkich ubraniach — o ileż za dużo tego ubrania! — w gorących, ciasnych butach, a mają takie śliczne, różowe stopy — niektórzy przynajmniej — my to widzimy przecież — i wszyscy nie mają o czem mówić, ani na co patrzeć i muszą wstrzymywać się

od tylu naturalnych poruszeń, a wzamian muszą wykonywać tysiączne bezmyślne czyny. Dlaczego muszą? Dlaczego pozwalają życiu przepływać obok siebie? Jakgdyby nie mieli wkrótce umrzeć wszyscy! Niech pan sobie wyobrazi na przykład, że wszedłby pan tam teraz pomiędzy nich w kostjumie kąpielowym i białym bawełnianym kapeluszu.

— To byłoby niestosowne! — zawołał Melville.

— Dlaczego?

— Toby było gorszać!

— A jednak każdy może widzieć pana w takim ubraniu na plaży.

— To co innego.

— To nie jest wcale nic innego. To panu się tylko śni, że to jest coś odmiennego. I w ten sam sposób śni pan o innych rzeczach, jako o stosownych lub niestosownych, dobrych lub złych czynach. Dlatego, że pan śni fantastyczny, niezdrowy, małostkowy sen. Taki malutki, taki nieskończenie mały. Wczoraj zauważyłam, że pan był ogromnie zakłopotany z powodu plamy atramentowej na rękawie — prawie przez całe popołudnie.

Melville miał minę mocno znękaną. Dała pokój tej plamie.

— Mówię panu, życie pańskie jest snem. To sen, z którego nie może się pan przecknąć.

— Jeśli tak jest, poco mi to pani mówi?

Nie odpowiadała nic przez chwilę.

— Dlaczego mi to pani mówi? — nastawał.

Usłyszał szelest jej sukni, gdy się pochylała ku niemu. Blisko, blisko, ciepło przysunęła się do niego. Mówiła cichemi, poufnemi półtonami jak ktoś, zwierający tajemnicę, której nikomu lekkomyślnie przekazywać się nie godzi.

— Dlatego — rzekła — że są inne lepsze sny!

Przez chwilę zdawało się Melvillowi, że przemówiła doń jakaś istota zupełnie odmienna od milej lady, siedzącej przy nim w fotelu. „Ale jak?” — zaczął i przerwał. Milczał z wyrazem zdumienia na twarzy. Odchyliła się, patrząc wdał, a gdy zwróciła się znów ku niemu i przemówiła, objęło go ponownie poczucie niesamowitej rzeczywistości.

— Dlaczego bym nie miała właściwie? — rzekła — Jeśli pragnę.

— Nie miałaby pani czego?

— Jeśli Chatteris mi się podoba?

— Należałoby pomyśleć o przeszkodach.

— Przecież nie jest jej własnością!

— Można powiedzieć, że stara się o to.

— Co z tego, że się stara? Jest tem, czem jest.

Nie może w żaden sposób stać się jej własnością: Gdyby pan nie był pogrążony we śnie, toby pan to sam rozumiał.

Mówiła, a kuzyn mój milczał. — Adelina nie jest realną istotą — mówiła. — Jest zbiorem urojeń i próżnostek. Wszystko bierze z książek. Samą siebie bierze z książki. Może pan to łatwo zauważyć... Czego właściwie szuka? Co usiłuje czynić? Cała ta działalność, cała ta polityczna gadanina? Rozprawia o położeniu Proletariatu! Co to jest położenie Proletariatu? Ponure szarpanie się na łożu bytu, nieustanny lęk przed skutkami, dowodzący do nieprzebranej rozpacz. Wiodą życie pełne trosk, bo nie wiedzą, że to wszystko jest snem. A przypuśćmy, że zbyliby się swych trosk i lęku... A zresztą, czyż ją naprawdę obchodzi położenie Proletariatu? Jest to tylko punkt widzenia w jej śnie. W głębi serca wcale nie pragnie, by ich sny stały się szczęśliwszymi,

w sercu swoim nie ma żadnego dla nich uczucia. Wyobraża sobie tylko, że powinna czynić im dobrze, odznaczyć się, kontrolować ich sprawy pośród podziękowań, błogosławieństw i chwalby. *Tej sen!* o rzeczach poważnych! Zbiegowisko widm upędzających się za widmem Ignis Fatuus — poblask mirażu. Próżność próżności.

— Dla niej jest to jednak rzeczywistością.

— O tyle, o ile ona wogóle jest zdolna do urzeczywistnienia czegokolwiek. Ale ona sama nie jest realna. Żle sobie poczyną.

— A on, wie pani?

— On w to wszystko nie wierzy.

— Nie jestem tego tak pewny.

— Ale ja wiem na pewno, że tak jest.

— On jest złożoną istotą.

— Wyluska się z tego — rzekła Syrena.

— Sądzę, że pani jednak nie docenia jego stosunku do tych spraw — rzekł Melville, poczem dodał porywczo — wszyscy jesteście skomplikowani — Zaniechał uogólnień — Ma on mgliste, przyznaję, że nieco mgliste i niewyraźne pragnienie jakiegoś pożytecznego czynu, pani wie, że tak jest.

— Tak, wiem, ma rodzaj nieokreślonego pragnienia — przyznała — ale...

— Jest pełen dobrych chęci — rzekł Melville, uparcie podtrzymując swoją tezę.

— Tak, ale zaczyna już niewyraźnie domyslać się.

— Czego?

— Tego, co i pan już podejrzewać zaczynasz... że dają się pomyśleć inne rzeczy, jakkolwiek narazie mogą się wydawać nieiziszczalnemi. Że nie należy go brać zbyt serjo. Bo... *są inne lepsze sny.*

W głosie jej był śpiew Syren; Melville unikał jej spojrzenia. — Nie wiem nic o innych snach —

rzekł — Każdy ma siebie i swoje życie i ma do-
prawdy dość z tem kłopotu. Jakież to inne sny mo-
głyby jeszcze istnieć dla nas? Śnimy swój sen i mu-
simy go przyjąć takim, jakim jest. Zresztą zesłaliśmy
na manowce. Była mowa o Chatterisie i o tem, dla-
czego pani przybyła do niego. Poco pani przybyła?
Dlaczego wogóle miałby ktokolwiek z waszego świata
przybywać do nas?

— Dlatego, że jest to dozwolone nam — nie-
śmiertelnym. I dlaczegoż, jeśli nam się tak podoba,
jeśli chcemy zakosztować tego życia przemijającego
jak deszcz wsiąkający w ziemię, dlaczegoż nie mieli-
byśmy tego uczynić? Dlaczego mielibyśmy sobie od-
mawiać?

— A Chatteris?

— Jeśli mi się podoba!

Zbierał się do tytanicznego wysiłku, by oprzeć
się ogarniającemu go zgnębieniu. Usiłował ograni-
czyć sprawę do drobnego, pojedynczego wypadku,
do incydentu, do rzeczy względnej — Ale proszę
pani — rzekł. — Co pani ostatecznie myśli uczynić,
gdy go pani dostanie? Przecież nie myśli pani do-
prowadzić tej gry do końca? Nie ma pani chyba za-
miaru pozytywnie — w nasz ziemski sposób — wyjść
za niego?

Morska Dama roześmiała się, widząc, że odzy-
skał ton praktyczny — No, a dlaczegożby nie? — za-
pytała.

— I jeździć w fotelu na kółkach, i — nie, to
chyba niemożliwe. Więc jak?

Spojrzał jej w oczy, i było mu, jakby spojrzał
w głębie wodne. Tam w głębi poruszały się rzeczy
nienazwane, nienamacalne.

— Nie — odparła — nie wyjdę za niego i nie
będę jeździła w fotelu na kółkach. I nie zestarzeję

się, jak starzeją się ziemskie kobiety (myślę, że to
ten pył, i suchość powietrza, i sposób, w jaki się
poczynacie i umieracie). Zbyt szybko się spalacie,
wybuchacie płomieniem i gaśnięcie. To wasze ży-
cie! — Choroby i starość! Gdy skóra się wyciera
i blask znika z włosów i zębów. — Nawet dla mi-
łości nie zgodziłabym się na to. Nie... Ale prze-
cież pan wie... — Głos jej zniżył się do cichego
szepotu. — *Są inne, lepsze sny.*

— Jakie sny? — buntował się Melville — Co
pani chce przez to powiedzieć? Kim pani jesteś właś-
ciwie? Co znaczy to wtargnięcie pani do naszego
życia — pani, która utrzymujesz, że jesteś kobietą,
i szepczesz, szepczesz — do nas, którzy jesteśmy
nieodwołalnie zamknięci w tem życiu i nie mamy
zeń żadnego wyjścia.

— Jest wyjście — rzekła Syrena.

— Jakie?

— Jest wyjście dla nielicznych. Gdy całe życie
zbiega się w jednym momencie.

I urwała. Mojem zdaniem niema żadnego sensu
w tych słowach, nawet, gdy je wypowiada panna
arcyimaginacyjnego gatunku, przybywająca z morza.
W jakiż to sposób może całe życie zbiec się w jednym
momencie? Nie wiem, co chciała tem wyrazić, w
każdym razie nie wypowiedziała swej myśli całko-
wicie. Spojrzał na nią, gdy zamilkła tak nagle. Pa-
trzyła w stronę domu.

... ..
— Do...ris! Do...ris! Czy jesteś tam? — rozległ
się głos pani Bunting, płynący poprzez murawę, głos
przeważającej rzeczywistości, niepokonanie rozsąd-
nych rzeczy. Świat odzyskał swą rzeczywistość
dla Melvilla. Zdało mu się, że się ocknął, że się

otrząsnął z jakiegoś odrętwienia, którem był ogarnięty.

Patrzył teraz na Morską Damę, jakby już stracił wiarę w rzeczy, o których mówili, jakgdyby był spał i śnił tylko taką rozmowę. Jakieś światła pogasły, jakieś urojenie znikło. Oczy jego spoczęły na napisie „Flamps, wózki i fotele dla chorych“ wyglądającym z pod ramienia Syreny.

— Może trochę za poważnieśmy to wzięli — rzekł niepewnie, a potem: — Czy mam brać słowa pani na serjo?

Szelest kroków pani Bunting stawał się wyraźny. Parker poruszyła się i zakaszła. Był już prawie pewny, że „zbyt poważnie to wzięli“.

— Może kiedy indziej.

Czy wszystko to było rzeczywiście powiedziane, czy też był pod wrażeniem jakiejś fantastycznej halucynacji?

Miał nagły pomysł. — Gdzie jest papieros pani? — zapytał. Ale papieros był już dawno wypalony.

— I o czym to rozmawialiście państwo tak długo? — wyśpiewała pani Bunting, opierając prawie macierzyńskim ruchem dłoni na poręczu ławki Melvilla.

— O! — rzekł Melville, zrywając się zmieszany na jej powitanie. Poczem zwrócił się do Syreny i ze sztucznie swobodnym uśmiechem zapytał — O czym właściwie rozmawialiśmy?

— O różnych ciekawych rzeczach pewnie — rzekła pani Bunting w sposób, któryby można nazwać znaczącym. Przyczem zaszczyciła Melvilla specjalnym uśmiechem — jednym z tych uśmiechów, które moralnie są nieomal — mrugnięciem.

Kuzyn mój wlot uchwycił przymówkę i przez

kilka sekund stał z wytrzeszczonemi na panią Bunting oczyma. Nie mógł poprostu tchu złapać. Poczem roześmieli się wszyscy jednocześnie, a pani Bunting usiadła i pogodnie zauważyła zupełnie głośno niby do siebie: — Odrazu się tego domyśliłam!

IV.

Melville jak się zdaje, po tej rozmowie pogryzł się w sieci nadzwyczaj spletanych wątpliwości: najpierw wątpił, i to było najbardziej przykre, czy taka rozmowa wogóle mogła mieć miejsce, a jeżeli była, czy pamięć nie spletała mu figla, zmieniając i potęgując znaczenie słów wypowiedzianych. Kuzynowi memu czasami śnia się rozmowy tak rozsądne i prawdopodobne, że płaczą się potem z rzeczywistością w sposób, budzący zakłopotanie. Czy był to jeden z tych wypadków? Podnosił i badał przypominane zdania jedno po drugim. Czy rzeczywiście powiedziała to i czy rzeczywiście w ten właśnie sposób? Czy powiedziała tamto? Wspomnienie owej rozmowy zmieniało się z dnia na dzień. Czy rzeczywiście świadomie przepowiadała Chatterisowi jakieś mgliste mistyczne pochłonięcie?...

Powiększała i komplikowała jego wątpliwości pogodna swoboda Morskiej Damy, króra nie czyniła żadnych aluzyj do owych rzeczy byłych czy niebyłych. Zachowywała się zupełnie tak jak dawniej, ani większej poufałości, ani większego chłodu, następującego zwykle po niedyskretnych zwierzeniach, nie można było w niej zauważyć.

Pośród tego rodzaju nie dających się rostrzygnąć kwestyj wykwiła nagle zupełnie nowa, jakgdyby i tak nie miał ich aż zanadto. Syrena, rozważał, utrzymuje, że przybyła na ląd dla Chatterisa.

Dotąd nie zastanowił się nad tem, co się stanie z Chatterisem, Adelina, Buntingami, lub kimkolwiek, gdy Syrenie uda się — co jest wielce prawdopodobne „dostać” Chatterisa. Są inne sny, jest inny byt, pozaświatowy — i Chatteris ma się tam udać! Tak Syrena powiedziała. I nagle z dziwnie niesamowitą wyrazistością i siłą przyszedł Melvillowi na myśl dawno widziany obraz, na którym młodzieniec i Syrena zagłębiają się w toni wód... Mogłoby to być coś w tym rodzaju? W roku pańskim tysiąc ośmset dziewięćdziesiątym dziewiątym? Oczywiście, jeśli mówiła coś podobnego, to widocznie tak myślała. A jeśli takie były i jej zamiary, i zabór ten jest naprawdę uplanowany, to jak porządny, kierujący się rozsądkiem, dobrze ubrany, światowy kawaler winien postąpić w tym wypadku?

Przyglądać się obojętnie, aż sprawa skończy się katastrofą?

Można sobie wyobrazić, że twarz jego wprost postarzała od tych rozmyślań. Zdaje się, że włóczył się dokoła domu na sandgatskiej Rivierze w sposób zupełnie skandaliczny, nie mogąc żadną miarą uzyskać dość długiego sam na sam z Syreną, które pozwoliłoby mu raz na zawsze uspokoić wątpliwość i ustalić, co było naprawdę powiedziane, a co mu się przyśniło, lub co sobie uroił w tej rozmowie. Nigdy jeszcze w życiu nie był czemś tak zaniepokojony, jak obrotom, który owa rozmowa przyjęła. Nigdy jeszcze jego zwykła poza przyjmowania życia pogodnie nie wydała mu się tak trudną do utrzymania. Stał się wprost roztargniony. Bo jeżeli tak się ma rzecz, to nie żarty. Taki był sens jego rozmów ze sobą. Stan jego ducha zwrócił nawet uwagę pani Bunting, która fałszywie wytłumaczyła sobie jego motywy. Powiedziała nawet coś w tym sensie... Ostatecznie,

zupełnie nagle zerwał się i w zapamiętałej determinacji wydostania się z tego wszyskiego uciekł do Londynu. Morska Dama pożegnała się z nim w obecności pani Bunting, jakgdyby nigdy nic między nimi nie zaszło.

Sądzę, że nietrudno zrozumieć jego zaniepokojenie. Złożył dość znaczne ofiary na ołtarzu świadomości. Z wilkiem trudem zdobył sobie miejsce w świecie i był pewien, że się już naprawdę zżył z nim, i nabrał upodobania w tem życiu. I nagle, wiecie, usłyszeć głos, prześladowający nas natrętnie swoim „Są inne, lepsze sny,” usłyszeć opowieść, grożącą komplikacjami, klęskami, złamaniami sercami, i nie mieć najmniejszego pojęcia, jak postąpić należy!

Myślę jednak, że nie byłby uciekł z Sandgate, dopóki by nie był otrzymał bardziej określonej odpowiedzi na pytanie „Jakie to lepsze sny być mogą” — dopóki by nie udało mu się wymóc na Syrenie jakiegoś wyraźniejszego oświecenia sprawy — ale pani Bunting pewnego poranku bardzo taktownie napomknęła...

Znacie panią Bunting, możecie więc sobie łatwo wyobrazić, jaką to taktowną aluzję uczyniła. Właśnie w owym czasie, mając pod opieką oprócz własnych córek dwie panny Glendower, miała wyobraźnię w najwyższym stopniu rozplamienioną w kierunku małżeńskim; była matrymonjalnym fanatykiem, gotowym pożenić nie wiem kogo z nie wiem kim, dla samej uciechy swatania. Myśl skojarzenia biednego Melvilla z tą tajemniczą nieśmiertelną istotą o łuszczyastym ogonie wydawała jej się widocznie najnaturalniejszą w świecie rzeczą.

Pewnego dnia, ni stąd ni zowąd, wyrwała się

z uwagą — Teraz pan ma dobrą sposobność, panie Melville.

— Sposobność dla mnie? — zawołał Melville, usiłując udać, że nie wie, o co chodzi.

— Ma pan teraz monopol — zawołała. — Ale jak wrócimy z nią do Londynu, będzie miała huk wielbicielei.

Wyobrażam sobie, że Melville musiał coś mruknąć na temat „zbyt grubych żartów“. Nie pamięta zupełnie, co odpowiedział. Myślę, że i wtedy niebardzo wiedział, co robi.

Bądź co bądź, drapnął do Londynu w sierpniu. Czuł się tam strasznie marnie i nieswojo, ale brakło mu siły woli, by się stamtąd wydobyć. Niechętnie wspomina o tym ustępie historii, muszą więc prawdopodobieństwo tej części opowiadania łątać własną wyobraźnią.

Widzę go w tem jego tak ślicznie urządzonym mieszkanku — jasnym a nie trywjalnym, artystycznym, niepozbawionym jednak dostojności i szczerości. Widzę, jak traci ochotę do książek i gust do kolekcjonowanego (niezbyt gwałtownie) srebra. Widzę, jak wędruje z miłej sypialki do ubieralni i zatrzymuje się w niemej kontemplacji dwudziestu par „reszty“ z pięknie zaprasowanymi fałdami, nieodłącznych w jego pojęciu atrybutów rozsądnego i szczerśliwego mężczyzny. W naturalnym i łatwym postępie wiedzy światowej zdobył przecież dla każdej okoliczności odpowiednio wykwinłą parę „niewypowiedzialnych“, przyjęty wierzchni ubiór, stosowny gest i należne wyrazy. Kuzyn mój bowiem jest człowiekiem, który świat swój opanował dokładnie.

I oto nagle ten szept.

— Są inne, lepsze sny.

— Jakie sny? — słyszę, jak zadaje to pytanie

z oporną nutą w głosie. Jeśli tam w ogrodzie nadmorskim w Sandgate świat mógł mieć dlań jakąś przejrzystość, wskroś której dochodzić go mogły podszepty za światów, tu, w londyńskim apartamencie świat doczesny odzyskał napowrót całą swą nieprzenikliwość.

— Niechże to wszyscy diabli wezmą — woła. — Jeżeli te sny są przeznaczone dla Chatterisa — pocóż mi mówiła o nich?

— Przypuśćmy na chwilę, że mógłbym mieć jakąś szansę tych snów — jakiegokolwiek one tam są. Rozważa i roztrząsa te alternatywy z niezwykłą szczerością woli.

— Niel — a potem ponownie: — Niel

A jeśli nie przeznaczone mi jest oddawać się takim marzeniom, naco przyda się wiedzieć o nich i niepokoić się nadaremnie?...

Jeśli przybyła w zdrotnych zamiarach, czyż nie mogła ich spełnić, nie czyniąc mnie współwinowajcą?

Chodzi tam i napowrót, wkońcu zatrzymuje się i wygląda oknem na ospały letni ruch uliczny... Nie widzi nic z tego wszystkiego. Widzi mały ogródek przymorski w Sandgate, i tę gromadkę ludzi wesołych i pogodnych, i to coś — groźnego, co jak chmura zwisa nad nimi. „To niesłusznie i względem nich, i względem mnie — i wogóle!“

A potem, myślę, że nagle zaklął.

Wyobrażam go sobie przy lunchu, spożywanym przezleń zawsze z należytą powagą, widzę kelnera, markującego łaskawe pobjaźanie swą gładko wygoloną twarzą i zbliżającego się z tą postawą pełną poufnego współczucia, jaką dobry kelner ma dla specjalnie szanowanych gości. Mogę sobie wyobrazić pełną szacunku pauzę i pełne szacunku zapytanie.

— Cokolwiek bądź! — odpowiada Melville, a kelner cofa się zdumiony.

Utrapienie Melvilla powiększała — jak to zwykle drobne niewygody potęgują wszelki poważny kłopot — okoliczność, że klub jego, właśnie odnawiany, przepelniony był mularzami i dekoratorami. Wydrążyli okna, zatarasowali przedsionek rusztowaniami, a Melville i jego towarzysze stali się gośćmi jakiegoś obcego klubu, mającego nadomiar kilku sapiących członków. Panowie ci nieustannie sapali i wzdychali, szeleścili dziennikami, od czasu do czasu zasypiając na swych fotelach. Stanowili jakby plamy śmieci na wdzięcznej roślinie tego gościnnego klubu, i mało to wzruszało Melvilla w jego obecnym nastroju, że ci „niespokojni bracia“ byli ludźmi niemałego znaczenia w świecie. Ta właśnie czasowa dyslokacja jego świata sprawiła, że pewnego popołudnia nieoczekiwanie znalazł się w quasi — poufnej pogawędce z Chatterisem. Chatteris był jednym z mniej znacznych i mniej okazałych członków klubu, który przygarnął klub Melvilla.

Melville wziął do ręki numer „Puncha“ — był w usposobieniu, w którym się bierze do ręki byle co — i czytał. Nie wie dokładnie, co czytał. Westchnąwszy, podniósł głowę i zauważył wchodzącego Chatterisa.

Zdziwił się, a nawet zlekka zaniepokoił jego widokiem. Chatteris najwyraźniej też był zaskoczony i zmieszany tem spotkaniem. Zatrzymał się dość niezręcznie, jak mu się to czasami zdarzało, patrząc z niechęcią i przez chwilę zachowując się, jakby nie poznawał Melvilla. Poczem skinął głową i zbliżył się zwolna. Każdy jego ruch świadczył o chęci ucieczki, na którą widocznie nie mógł się zdobyć. — Ty tutaj? — zapytał.

— Ale co *ty* robisz tutaj w oddaleniu od Hythe, teraz? — zapytał Melville.

— Przyszedłem, żeby napisać list — odpowiedział Chatteris.

Rozglądał się dokoła nieco bezradnie. Poczem usiadł obok Melvilla i zażądał papierosa. Nagle zaczął poufnie.

— Wiesz, że jest bardzo wątpliwe, czy będę kandydował z Hythe.

— Nie może być!

— Naprawdę.

Zapalił papierosa.

— A ty, czybyś kandydował? — zapytał.

— Broń Boże! — rzekł Melville. — Ale widzisz, to nie moja specjalność.

— A moja?

— Czy nie za późno już trochę na zrzeczenie się kandydatury? — rzekł Melville. — Podjąłeś się. Wszyscy już się krzątają. Panna Glendower...

— Wiem — rzekł Chatteris.

— Więc?

— Jakoś niekoniecznie mi się uśmiecha dalsze prowadzenie tej akcji.

— Mój kochany!

— Może przepracowałem się trochę. Jakoś straciłem werwę. Wszystko wydaje mi się takie bezbarwne. Oto dlaczego tu jestem.

Uczynił coś zupełnie niedorzecznego. Cisnął w kąt nawpół wypalony papieros i prawie natychmiast poprosił o inny.

— Przesyciłeś się nieco tą nadmierną statystyką — rzekł Melville.

Chatteris powiedział coś, co Melvilla uderzyło jako dawniej zasłyszane: — Wybory, Postęp, Dobro Ludzkości, Duch Społeczny... żadna z tych rzeczy

nie interesuje mnie naprawdę. Przynajmniej w tej chwili.

Melville czekał.

— Wychowują nas w atmosferze, przesyconej pojęciem, że trzeba zdobywać karierę. Uczymy się tego na kolanach matki. Nie pozwalają nam sprawdzić osobiście, czego pragniemy naprawdę, nie pozostawiają nam czasu na to, popychają nas naprzód. Formują nasze charaktery. Budują nasze umysły. Popędzają nas nieustannie...

— Mnie nikt nie popędzał — rzekł Melville.

— Ale mnie! A teraz...

— Nie pragniesz już kariery?

— No dobrze. Przypatrz się sam, co to jest właściwie karjera.

— Al jeżeli zaczniemy zastanawiać się nad tem, czem każda rzecz jest *naprawdę*.

— Przedewszystkiem te zabiegi o dostanie się do parlamentu. Te przekłete partje, nie mające żadnego — absolutnie żadnego sensu. Przecież to nie są nawet przyzwoite fakcje. Umizgać się do jakichś przeklętych komitetów, złożonych z jakichś przeklętych kramarzy, których jedyną w świecie myślą jest otrzymać jak najwyższą płacę za ich dobre mniemanie o sobie samych. Szeptać i kumać się z lokalnymi rzecznikami i starać się, by cię jak najczęściej widziano w ich towarzystwie, pleść duby smalone o filantropji i rozmaitych instytucjach, śniadać, gadać i przepijać do wszelkich odmian ludzkiej zarożumiałości, karierowiczostwa i krętactwa.

Urwał. — Gdyby tu chodziło naprawdę o jakieś zasady! Ale oni pchają w swoim kierunku zupełnie tak samo, jak ty popychasz w swoim. To wszystko gra. Uganiają się za jakimś widmowem zadośćuczynieniem, harują, kłócą się, zazdroszczą dzień i noc

w nieustannem usiłowaniu przekonania samych siebie, że są czemś rzeczywistym, że osiągnęli naprawdę jakiś sukces.

Urwał i zaciągnął się papierosem.

Melville pozwolił sobie na małą złośliwość. — Tak, masz rację — przyznał — sądziłem jednak, że *twoja* działalność — że miałeś na celu coś więcej niż tylko politykę partyjną i karierę?

Nie dokończył pytania.

— Położenie Proletariatu — dodał.

— Wiem... — rzekł Chatteris z jakąś kamienną rezygnacją w błękitnych oczach.

Melville unikał jego spojrzenia. — W Sandgate — mówił — była atmosfera, że tak powiem, pewnej Wiary w...

— Wiem — rzekł Chatteris po raz drugi. — I to jest właśnie najgorsze — dodał po chwili.

— Jeśli nie wierzę w grę, w którą gram, jeśli osiadłem na tej mieliźnie, a prąd wiary mnie omija, nie moja to wina. Wiem dobrze, jaki jest mój obowiązek. I nie myślę się go wyrzekać. Spełnię na pewno wkońcu, co do mnie należy. Mówię tak jedynie, by sobie ulżyć nieco. Rozpocząłem grę i muszę ją rozegrać. Przyłożyłem rękę do pługa i nie mogę jej już cofnąć. Oto dlaczego przybyłem do Londynu — by przemóc sam siebie. Tylko to spotkanie z tobą wytrąciło mnie z równowagi. Uchwyciłeś mnie w momencie przełomowym. Ale pomimo wszystko rzecz się tak ma, jak powiedziałem — nic z tego wszystkiego mnie już nie interesuje naprawdę. I nic nie zmieni faktu, że jestem skazany na walkę, wiadomo o co, w widmowych wyborach dla jakiejś partji, która jest już trupem od lat dziesięciu. A jeśli te upiory wygrają, zasiądę w parlamencie ja-

ko poseł-upiór... Oto masz umysłowy fenomen swego rodzaju!

Powtórzył swój główny argument. — Zainteresowanie się temi sprawami znikło zupełnie, wola moja jest pozbawiona duszy.

Starał się teraz ściślej rzecz określić. Przychylił się bliżej do ucha Melvilla. — Nie można powiedzieć właściwie, żebym zupełnie nie wierzył w to wszystko. Jeśli mówię, że straciłem wiarę, to może posuwam się za daleko. Na pewno przesadzam. Przecież wiem, że te intrygi agitacyjne są tylko środkiem, prowadzącym do celu. Jest praca do wykonania, zdrowa praca, doniosłe dzieło. Tylko że...

Melville spojrzał na niego z poza papierosa.

Chatteris spotkał się z jego oczyma, zdawał się przez chwilę w nich zagłębiać. Nagle stał się nedorzecznie poufny. Widocznie czuł srogą potrzebę zaufanego ucha.

— Nie mam najmniejszej ochoty do tej pracy. Gdy się zabieram do roboty, gdy zasiadam w fotelu przed biurkiem, wiesz, wtedy powiadam sobie: oto, co cię czeka, oto z czego będzie się składało całe twoje życie, Chatterisie! — i ogarnia mnie jakiś lęk, Melvillu.

— Hm — mruknął Melville i zamyślił się. Potem zwrócił się do Chatterisa i z miną domowego lekarza, klepiąc go po ramieniu, rzekł — Za dużo było tej statystyki, Chatterisie.

Dał mu nasiąknąć tą myślą. Potem, bawiąc się klubową popielniczką, mówił w dalszym ciągu:

— To Dzień Powszedni tak cię ogarnął, mój kochany. Nie widzisz drzew z poza lasu. W ciężkich szczegółach chwili zapominasz o zamierzonym szerokim rysunku. Jesteś jak malarz, który pracował długo i wytrwale nad jakimś drobnym, bardzo mo-

zolnym szczegółkiem swego obrazu. Musisz odstąpić na kilka kroków, by móc przyjrzeć się całości.

— Nie — rzekł Chatteris — to nie to.

Melville dał do zrozumienia, że wie lepiej.

— Mój kochany, nieustannie powtarzam ten manewr, by się lepiej móc przyjrzeć temu wszystkiemu, w ostatnich czasach zdaje się wogóle nic innego nie robiłem. Przyznaję, że jest to działalność rozległa i szlachetna — taka praca polityczna nałężycie wykonana — tylko... podziwiam ją, ale nie chwytam już mej imaginacji, nie, nie ujmuję mej wyobraźni, zupełnie. Oto w czym leży jądro kwestji.

— A co chwytam twoją wyobraźnię? — zapytał Melville. Był przekonany, że to Syrena wmówiła ten paraliż Chatterisowi i chciał sprawdzić, jak daleko zaszła w tym kierunku. — Naprzykład — sondował — Czy są może jakie inne sny?

Chatteris nie rozumiał tej aluzji. Melville wyzbył się swoich podejrzeń. — Co nazywasz innemi snami? — zapytał Chatteris.

— Czy możesz sobie wyobrazić inną drogę dla siebie — inny rodzaj życia — jakieś inne widoki?

— O tem nie może być mowy — rzekł Chatteris. — Adelina jest niezmiernie dobra — dodał nie spodzianie.

Mój kuzyn milczeniem potwierdził dobroć Adeliny.

— Rozumiem, że jest to tylko chwilowe usposobienie. Przyszłość moja jest zupełnie ustalona — i jest to bardzo piękna przyszłość. Znacznie lepsza, niż zażyłem!

— O wiele! — rzekł Melville.

— Dużo! — rzucił Chatteris wyzywająco.

— O całe niebo! — dodał Melville.

— Mówmy o czem innym — rzekł Chatteris. —

Byłoby to doprawdy objawem chorobliwym powątpiewać w naszych czasach nawet na chwilę o absolutnej ostateczności wszelkiego „tylko to i nic ponadto” naszych czynów.

Ale kuzyn mój jakoś nie mógł się zdobyć na inny dostatecznie zajmujący temat. — Pozostawiłeś wszystkich w dobrym zdrowiu w Sandgate? — zapytał go po małej przerwie.

— Z wyjątkiem pana Buntinga.

— Czy niedysponowany?

— Łowił ryby.

— Naturalnie. Wiatr wiosenny i fala... A panna Waters?

Chatteris rzucił nań podejrzliwe spojrzenie. — O, ona się ma dobrze — odezwał się z udaną niedbałością. — Zawsze jednakowo czarująca.

— Czy na serjo myśli agitować?

— Wspominała ponownie o tem.

— Jej pomoc może się bardzo przydać — rzekł Melville i pozostawił rozmyślnie znaczącą pauzę.

Chatteris udał ton człowieka, zabierającego się do lekkiej pogawędki.

— Kto to jest właściwie ta panna Waters?

— Bardzo urocza osoba — rzekł Melville i urwał.

Chatteris czekał. Przybrana przezeń poza lekkiego gawędziarza znikła bez śladu. Spoważniał zupełnie.

— Słuchaj — rzekł — kto *jest* ta panna Waters?

— Skąd *ja* mogę wiedzieć? — wykręcał się Melville.

— Słuchaj, ty *wiesz*. Tamci też wiedzą. Kto ona jest?

Melville spojrzał mu w oczy. — Czy nie chcą ci powiedzieć?

— Właśnie o to chodzi!

— Pocóż ci ta wiadomość?

— Dlaczegożbym nie miał wiedzieć?

— Istnieje pewnego rodzaju zobowiązanie utrzymania tajemnicy.

— Trzymania w tajemnicy *czego*?

Kuzyn mój uczynił jakiś nieokreślony gest.

— Nie może to chyba być nic zdrożnego? — Melville nie odpowiedział na to.

— Może miała jakie przykre przejścia?

Kuzyn mój roztrząsał przez chwilę w myśli możliwości życia podmorskiego. — Doświadczyła wiele — rzekł nareszcie.

— Nic jej to nie ujmuje w moich oczach — nastąpiła przerwa.

— Słuchaj, Melvillu — rzekł Chatteris po chwili milczenia — chcę wiedzieć. Chyba, że chodzi o rzecz, od której trzeba się specjalnie trzymać z daleka... Nie mogę pozwolić na to, by mię traktowano jako jedynego niewtajemniczonego. Co to jest takiego z tą panną Waters?

— Co mówi o tem panna Adelina?

— Jakieś nieokreślone rzeczy. Nie lubi jej i nie chce powiedzieć, dlaczego. A pani Bunting chadza z dyskrecją wyrażoną jak najdobitniej w całej osobie. A ona sama patrzy się na człowieka... A ta jej służąca patrzy się... Drażni mię to wszystko.

— Dlaczego nie zapytasz jej samej o to?

— Jakże mogę, dopóki nie wiem, o co chodzi? Niech to licho bierze! Przecież pytam się ciebie zupełnie otwarcie!

— A więc dobrze — zaczął Melville i w tej chwili postanowił rzeczywiście powiedzieć całą praw-

dę Chatterisowi. Ale zastanowił się nad sposobem przedstawienia mu tej prawdy. Właściwie chciał powiedzieć poprostu. — Uważasz, mój drogi, ona jest Syreną. — W tej samej chwili jednak spostrzegł, że to brzmiałoby strasznie nieprawdopodobnie. Podejrzewał zawsze Chatterisa o skłonność do kontynentalno-romantycznych odruchów. Jeszcze gotów napaść na niego, że pozwala sobie wyrażać się w ten sposób o damie...

Przytem Melville jakoś sam zaczął wątpić o wszystkim. Ostatecznie, nie widział przecież nigdy na własne oczy tego ogona. W obecnem otoczeniu opadła go taka niewiara w możliwość istnienia Syreny, jakiej nie doznał nawet wówczas, gdy pani Bunting opowiadała mu o niej po raz pierwszy. Otaczała go w tej chwili atmosfera tej solidnej rzeczywistości, jaką oddychać można jedynie w pierwszorzędnym klubach Londynu. Wszędzie oko spotykało ciężkie fotele, obfitość masywnych stołów, pudła na zapalki z mocnego kamienia. Zapalki nawet były jakiegoś specjalnie ciężkiego gatunku. Tuż obok na zielonem suknie ogromnego stołu znajdowały się olbrzymie płachty Times, bieżący numer Punch'a, kałamarz z grubego brązu i przycisk ołowiany. *Są inne sny?* Wydało się to w tej chwili zupełnie niemożliwe. Sapanie jakiejś znacznej osobistości na fotelu w przeciwległym kącie dało się słyszeć teraz zupełnie wyraźnie. Było ciężkie i stanowcze jak zgrzyt piły kamieniarskiej. Narzucało się jako kamień probierczy rzeczywistości. Zdawało się zapewniać, że przy najłżejszym poszepcie o czemś tak zupełnie nieprawdopodobnem jak Syrena zamieniłoby się w chrapanie i dławienie.

— Gdybym ci nawet powiedział, teżbyś mi nie uwierzył — rzekł Melville.

— No, ale powiedz mi jednak.

Kuzyn mój spojrzał na najbliższy niezajęty fotel. Wypchany był najwidoczniej najlepszym włosem, jakie można dostać za pieniądze, wyścielony z nieskończoną zręcznością, z pieczołowitością niemal religijną. Szeroką gościnnością swych rozwartych ramion zdawał się przekonywać, że nie samym tylko chlebem człowiek żyje — ile że potem musi jeszcze uciąć sobie drzemkę. Słowem, fotel zgola snów pozbawiony!

Syreny?

Zdawał sobie w tej chwili sprawę z tego, że zahipnotyzowany łatwowiernością pani Bunting, mógł być bardzo łatwo poddać się jakiemuś niedorzecznemu złudzeniu. Czy nie możnaby znaleźć jakiegoś prawdopodobniejszego wytłumaczenia, mogącego służyć za pomost między prawdopodobieństwem a prawdą?

— To się nie przyda na nic — jęknął wkońcu.

Chatteris obserwował go przez cały czas ukradkiem.

— Nie dbam o to — rzekł i cisnął drugiego papierosa w masywnie ozdobny kominek. — Nic mnie to nie obchodzi.

Poczem nagle zerwał się i zaczął gestykulować bezradnie.

— Jak nie, to nie — dodał. Zdawało się, że zamierza wypowiedzieć sporo godnych pożałowania rzeczy. Zanim się zdobył na to, machał tymczasem bezskutecznie ręką. Widocznie nie udało mu się jednak znaleźć odpowiednio mocnych słów dla wyrażenia sytuacji. Odwrócił się i zmierzał ku drzwiom.

— To nie! — przemówił do odwrotnej strony dziennika, czytanego przez sapiącego jegomościa.

— Jak nie chcesz... — rzucił pełnemu uszanowania kelnerowi we drzwiach.

Portjer usłyszał, że... — nie dba o to — niech go djabli wezmą, jeżeli dbał

— To pewnie który z tych Gości — rzekł portjer mocno zgorzony. — Oto co wynika z tego, że się ich przyjmuje w tak młodym wieku.

VI

Melville przewyciężył w sobie chęć dogonienia Chatterisa.

— Niech go lichy porwie — zaklął.

A po chwili, gdy całe zajście stało mu ponownie przed oczyma, powtórzył jeszcze większym naciskiem. — Niech go lichy porwie.

Wstał i w tej chwili zauważył, że członek klubu, który dotychczas drzemał, przygląda mu się mocno nieżyczliwie. Spostrzegł, że była to nieżyczliwość twarda i nieubłagana i że żadne przeproszenia w tym wypadku skutku nie osiągną. Wobec tego wykręcił się na pięcie i skierował się ku drzwiom.

Spotkanie to zrobiło memu kuzynowi dobrze.

Przygnębienie jego i zmartwienie rozproszyły się. Znajdował się obecnie pod wrażeniem głębokiego etycznego oburzenia, które, jak wiadomo, jest zupełnym przeciwstawieniem wszelakich strapięń i wątpliwości. Im więcej myślał o tem, tem silniej wzrastało jego oburzenie na Chatterisa. Ten nagły nedorzeczny wybuch zmieniał zupełnie perspektywę całej sprawy. Chciałby był ogromnie spotkać się z Chatterisem, by móc jeszcze raz przedyskutować rzecz całą z nowego punktu widzenia.

— Pomyśl tylko! — Rozmyślał o tem tak żywo i wyraziście, że, idąc, nieomal głośno mówił sam do

siebie. Myśli same układały się w dyskusję w jego głowie.

Nie było chyba drugiej równie niewdzięcznej istoty na świecie, jak ten Chatteris. Był spieszczeniem dziecięciem losu. Rzeczy wszelkie przychodziły doń same, dawały mu się w ręce. Własne jego błędy i pomyłki więcej mu przynosiły korzyści niż innym ludziom ich powodzenia. Na tysiąc ludzi dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć mogłoby znaleźć powód do zazdrości w szczęściu, które mu służyło tak wytrwale.

Niejeden harował całe życie i wkońcu z wdzięcznością przyjął maleńką cząstkę tego, czem los obdarzył tego nienasyconego młodzieńca. „Ja sam nawet“, myślał mój kuzyn, „czyż nie mógłbym mu pozazdrościć pod wieloma względami?“ A tu, przy pierwszym zetknięciu się z obowiązkiem, gdzie! — przy pierwszej zaledwie potrzebie przewyciężenia się — taka niesubordynacja, taki protest i ucieczka!

— Pomyśl! — przekonywał mój kuzyn niewidzialnego interlokutora — pomyśl o pospolitych losach ludzkich! Pomyśl o tych wszystkich, którzy cierpią głód.

(Była to nieco socjalistyczna linja dowodzenia, ale pod wpływem swego etycznego oburzenia mój kuzyn kroczył nią nieubłaganie naprzód).

— Pomyśl o tych wszystkich, którzy cierpią głód, którzy prowadzą życie nieprzerwanego trudu, lęku i nędzy, a którzy pomimo to, zacisnąwszy zęby, czynią, co mogą, by spełnić swój obowiązek, albo przynajmniej to, co za swój obowiązek uważają. Pomyśl o kobietach, zachowujących niewinność pomimo nędzy! Pomyśl znów o tych wszystkich zacnych duszach, które pragnęłyby służyć bliźniemu, a tak są zapracowane i spętane ze wszech stron, że nic

uczynić nie mogą! A tu istota, obdarzona wszelkiemi darami umysłu, majątku, stanowiska, wzniosłych pobudek i w dodatku perspektywą żony, nie tylko bogatej i pięknej — ona *jest* piękna! — ale jeszcze najlepszej towarzyszką i pomocnicą...

— I on się odwraca od tego wszystkiego. Nie wystarcza mu to. Nie chwyta jego imaginacji, uważacie. Nie jest dość piękne dla niego. Jak wam się to podoba?...

— Czego temu człowiekowi *potrzeba* właściwie? Czego on się spodziewa?

Moralne oburzenie mojego kuzyna poniosło go przez całą długość Picadilly, wzdłuż Rotten Row i ogrodów kwiatowych prawie do kensingtonskiej głównej ulicy, a stamtąd dokoła Serpenty do domu, dało mu apetyt do obiadu, jakiego nie zaznał już oddawna. Życie wydało mu się tego wieczora bardzo miłe. Wkońcu, koło godziny drugiej nad ranem zasiadł u niepotrzebnie rozpalonego, rozkosznie trzaskającego na kominku ognia w swoim mieszkaniu, by wypalić porządne cygaro przed udaniem się do łóżka.

— Nie — rzekł nagle — nie jestem chorobliwy wcale. Przyjmuję dary Boże wdzięcznem sercem. Staram się dać szczęście i sobie, i kilku jeszcze innym ludziom, spełniać kilka drobnych obowiązków rzetelnie, i to mi wystarcza. Nie wgładam zbyt głęboko w rzeczy i nie sięgam za daleko. Kilka starych prostych ideałów.

— Hm...

— Chatteris jest marzycielem, niemożliwym, szalonym niezadowolencem. O czym on śni? W trzech częściach marzycielem, a w czwartej — spieszczonem dzieckiem.

— Marzyciel...

— Są inne sny...



— O jakich innych snach myślała?

Zapadł w głębokie rozmyślanie...

Gdy się z nich otrząsnął, spojrzał dokoła, zobaczył, która godzina, zerwał się nagle i poszedł spać.

ROZDZIAŁ VII

Przesilenie

I

Przesilenie nastąpiło w jakiś tydzień mniej więcej potem — mówię mniej więcej z uwagi na skrupulatną niedokładność Melville'a w tej materji. Swoją drogą, muszę przyznać, że w sprawozdaniu z tego przesilenia Melville przeszedł sam siebie. Był wysoce zainteresowany, przenikliwie spostrzegawczy, a jego nieprzeciętna pamięć uchwyciła kilka wybornych wrażeń. Według mnie przynajmniej dwie osoby występują w tem jego opowiadaniu znacznie pełniej i bardziej przekonująco, niż w jakimkolwiek innym ustępie tej z trudem odkopanej historii. Dał mi tu Adelinę, w którą mogę wierzyć, i coś więcej podobnego do Chatterisa, niż zdołałem wyłowić z uzyskanych urywków i ułamków, z jakich kleiłem dotychczas swoją relację. Nie wątpię, że czytelnik, wdzięczny za wszystkie te błyski, przejściowo oświetlające ową tajemniczą historję, zawtóruje mojemu serdecznemu „Dzięki niech będą Niebu!

Melville został wezwany do przyjęcia udziału w przesileniu sandgatskiem depeszą pani Bunting, a Fred Bunting udzielił mu pierwszych informacji o położeniu rzeczy.

„Proszę bardzo przyjechać natychmiast” — brzmia-

ła depesza terminowa pani Bunting. Kuzyn mój pojechał najbliższym pociągiem i przybył do Sandgate przed południem.

Pani Bunting, jak mu powiedziała służąca, była na górze i błagała, by zechciał poczekać, aż będzie mogła odejść od chorej. — Czy panna Glendower ma się niedobrze? — zapytał Melville. — Wcale nie-dobrze, proszę pana — odparła służąca, wyraźnie oczekująca dalszych pytań. — Gdzie są wszyscy? — Trzy młodsze panie poszły do Hythe — rzekła służąca ze znaczącym pominięciem Morskiej Damy. Melville miał szczególny wstręt do wybadywania służby w przełomowych chwilach, nie zapytał więc wcale o pannę Waters. Ogólna nieobecność wszystkich w pokoju, gdzie się zwykle zbierało, zdawała się świadczyć o przesileniu, zapowiedzianem w depeszy. Służąca, przeczekawszy jeszcze chwilę, odeszła.

Stał chwilę w bawialni, poczem wyszedł na werandę. Ukazała się awanturniczko przybrana postać Freda Buntinga, który skorzystał z ogólnej dezercji, by wymknąć się do kąpieli. Miał na sobie biały bawełniany szerokoskrzydły kapelusz i pstre pasiaste prześcieradło, a z ust zwisała mu arcyprzedsiębiorczo-męska faja rozmiarów, o jakich się żadnemu dorosłemu mężczyźnie nie śniło.

— Hallo! — rzekł Fred — czy Mater posyłała po ciebie?

Melville potwierdził ten trafny domysł.

— Są tarcia — rzekł Fred, wyjmując z ust fajkę, co było wyraźną propozycją rozmowy.

— Gdzie jest panna Waters?

— Wyniosła się.

— Zpowrotem?

— Broń Boże! Nie! Niema głupich! Przeniosła

się do hotelu Lummidge. Z panną służącą. Wynajęła apartament.

— Dlaczego?

— Mater urządziła jej scenę.

— Z jakiego powodu?

— O Henryka!

Mój kuzyn wytrzeszczył oczy na tę sytuację.

— Wybuchło — rzekł Fred.

— Co wybuchło?

— Awantura. Henryk zaczął się w niej, mówi Addy.

— W pannie Waters?

— Właśnie. Opętała go. Nie dbał o wybory. Nie dbał o swe zwykłe rozrywki. Stracił chęć do wszystkiego. Nie mówił nic Adelinie, ale ona sama zaczęła coś miarkować. Zaczęła się dopytywać. Następnego dnia drapnął. Do Londynu. Zapytała, co się stało. Trzy dni milczenia. Potem — list.

Fred podkreślał swe opowiadanie wznoszeniem brwi, opuszczaniem kątów ust i pełnem znaczenia kiwaniem głowy. — Co? — zapytał, a potem wyjaśnił rzecz lepiej — Napisał do Adeliny.

— Nie pisał do niej chyba o pannie Waters!

— Nie wiem, o czym tam pisał. Nie przypuszczam, by wymienił jej nazwisko, ale widocznie dostatecznie rzecz wyjaśnił. Wiem tylko, że przez dwa dni wszystko w domu było jak guma nadmier nie naciągnięta — wszyscy w jakimś skomplikowanym skreśle — i nagle trzasło. Przez cały ten czas Ada pisała listy do niego i darła, i nikt nie mógł się w tem połapać. Wszyscy posinieli z wyjątkiem panny Waters, która zachowała swoje zwykłe rumieńce. Wkońcu Mater zaczęła zadawać pytania. Adelina przestała pisać, dała matce jakieś połowiczne wska-

zówki. Mater odrazu zorjentowała się we wszystkim, no i „wybuchło.”

— Adelina?

— Nie, to Mater. Powiedziała jej wprost w oczy — jak to Mater umie... *Ona* nie zaprzeczyła. Powiedziała, że nie mogła inaczej i że ma takie same prawo do niego, jak Adelina. *Słyszałem* to — rzekł Fred bezczelnie — Dość śmiało, co? — zważywszy, że jest zaręczony. No i Mater jej porządnie nagała. Powiedziała — Bardzo się zawiodłam na pani, panno Waters, bardzo. — *Słyszałem*...

— A potem?

— Kazała jej się wynosić. Powiedziała, że źle się nam odwdzięczyła za to, żeśmy ją przyjęli wtedy, gdy nikt prócz chyba jakiego rybaka nie byłby chciał mieć z nią do czynienia.

— Nie może być!

— W każdym razie powiedziała coś w tym rodzaju.

— I panna Waters pojechała?

— Dorożką pierwszej klasy. Panna służąca z kuframi w drugiej. Dama w każdym calu... Doprawdy nie uwierzyłbym, gdybym nie był widział na własne oczy — mówię oczywiście o ogonie.

— A panna Glendower?

— Ada? Gra na całego. Schodzi na dół w roli bladolicy bohaterki, idzie do swego pokoju na górę i odstawia „złamane serce”. Znam to. Nic niebezpiecznego. Nigdy nie miałeś siostry. Wiesz...

Tu Fred, odsunawszy starannie fajkę, przybliżył twarz konfidencjonalnie — wiesz, one lubią takie rzeczy — rzekł poufnym półszepem. — Taki skręt, powiadam ci... Mabel tak samo się demenuje. I dziewczęta. Jakby kto kij wetknął w mrowisko.

Możnaby pomyśleć, że Chatteris jest jedynym mężczyzną na świecie. Doprawdy, że nie zdobyłbym się na takie wzruszenie nawet, gdyby ze mnie skórę zdzierano. Miły domek, co? Czasu wakacyj do tego!

— A gdzie jest — bohater? — zapytał Melville nieco smętnie. — W Londynie?

— Ładny bohater! — rzekł Fred — Mieszka tu w Metropolu. Ugrzązł.

— Jest tutaj? Ugrzązł?

— Właśnie. Ugrzązł, osaczony.

Melville próbował otrzymać jakieś bliższe szczegóły.

— Jakie jest jego zachowanie się? — zapytał.

— Ślamazarne — rzekł Fred dobitnie.

— Ten mały wybuch zaskoczył go, zdaje się, nieco. — wyjaśniał Fred — Gdy pisał, że wybory go znudziły, ale że ma nadzieję otrząsnąć się z tego zniechęcenia...

— Mówiłeś, że nie wiesz, co pisał.

— Tyle to wiem. Naiwny jak nowonarodzone dziecko, nie przypuszczał widocznie, by się mogły w tem doszukać panny Waters. Ale niewiasty są djabelnie przenikliwe. To urodzeni detektywi. Jak się to wszystko skończy...

— Ale dlaczego stanął w Metropolu?

— Może dlatego, że to wpół drogi.

— No i jak się zachowuje?

— Mówi, że się wybiera do Adeliny, by jej wszystko wyjaśnić — i nie przychodzi... odkłada z dnia na dzień. Adelina zaś, o ile mogę wyrozumieć, mówi, że o ile Chatteris prędko się nie zjawi, nie przyjmie go potem pod żadnym pozorem, jakkolwiek serce jej w takim razie będzie na zawsze złamane i t. d. No, już wiesz, jak to się mówi.

— Rozumie się — rzekł Melville dość nieprzytomnie. — No, a on nie przychodzi?

— Ani rusz!

— A tamtą czy widuje?

— Nie wiemy. Nie możemy go przecież *śledzić*. Ale jeśli się z nią spotyka, to musi być diablo prze-myślny.

— No?

— Jest tu z jaka setka jego błogosławionych krewnych na miejscu. Zleciało się to jak te wrony do trupa. Jeszcze takiej bandy nie widziałem. Mówi się o człowieku, pochodzącym z dobrej starej rodziny — powiadam ci, jakieś ruiny! Jak żyję, takiej wysoko — starej familji nie spotykałem! Przeważnie ciotki.

— Ciotki?

— Ciotki. Powiadają, że skupiły się dokoła niego w chwili niebezpieczeństwa. Skąd się o tem dowiedziały, nie mam pojęcia. Jak te sępy. Chyba, że Mater — dość, że są tutaj. — No i hurmem na Chatterisa. Starają się wpłynąć nań, grożą pozbawieniem spadków i t. p. W hotelu Bates'a mieszka jedna dojrzała dziewczica, lady Poynting Mallow — nieco końskiej urody — zresztą taka sama jak one wszystkie. Mam wrażenie, że niekoniecznie zachwycona Adelina. Są dwie ciotki u Wampacha — znasz ten gatunek, zwykle zatrzymujący się u Wampacha — prawdziwe kwiaty cieplarniane — myślę, że porządny garnczek rzetelnie zimnej wody zabiłby obie odrazu. Jest znów jedna przybyła z Kontynentu — krótkie włosy, krótkie spódnice — istne straszdyło — mieszka w Pawilonie. Polowanie z naganką. Coś w rodzaju: Dajcie ją tu, niech ją dziobnę!

— To cała setka?

— Prawie. Te od Wampacha posłały po Biskupa, który ongiś był nauczycielem szkolnym Chatterisa.

— Poruszono ziemię i niebo?

— Mniej więcej.

— A czy on już wie?

— Że ona jest Syreną? Nie przypuszczam. Pater poszedł do niego, by mu powiedzieć. Oczywiście był nieco zdyszany i zmieszany. A Chatteris nie dał mu dojść do słowa.

— Przynajmniej nie mówcie mi nic złego o niej — powiada.

Pater przyjął to do wiadomości i odszedł z niczem. Pocziwe stare ojczysko. Co?

— A ciotki?

Zaczynają powoli uświadamiać sobie stan rzeczy. Głównie narazie zrozumiwały, że Chatteris ma zamiar skrewić Adelinie, jak swojego czasu skrewił tej Ameryckiej pannie. Syrenia strona sprawy zdaje się nieco zbijać te panie z tropu. Takie staruszki nie odrazu przyjmują tak nowe pojęcia. Te od Wampacha są zgorzone — ale mocno rozciekawione. Ani na chwilę nie wierzą, by to miała naprawdę być Syrena, ale chciałyby dokumentnie dowiedzieć się wszelkich szczegółów. A ta z Pawilonu powiedziała prosto z mostu: Nonsens! w jaki sposób mogłaby oddychać pod wodą? Niech mi to pani powie, pani Bunting! Na pewno jest to jakaś osoba, którą pani podebrała niewiedomo skąd, ale przecież *niepodobna*, by była Syreną! Sądze, że znacznie więcejby były wsiadły na Mater za to, że ją przyjęła, gdyby nie to, że nie mogą bez jej pomocy ułagodzić Adeliny. Ładna heca, co?

— Przypuszczam, że ciotki mu powiedzą.

— O czem?

— O tym ogonie.

— Myślę, że powiedzą.
— I co wtedy?
— Bóg raczy wiedzieć! Ale może i nie powiedzą.

Melville zapatrzył się przez chwilę na dachówki werandy.

— Bawi mnie ta heca — rzekł Fred.

— Słuchaj no — rzekł mój kuzyn. — Co oni właściwie chcą, żebym uczynił? Poco mnie właściwie sprowadzono?

— Nie mam pojęcia. Powiercić trochę pewnie. Każdy troszkę jak przy świątecznym puddingu!

— Ależ... — protestował Melville.

— Byłem w kąpieli — rzekł Fred. — Nikt nie proponował mi, bym przyjął udział, więc się nie wtrącam. Pudding się nie uda beze mnie, to pewne. A teraz na ciebie kolej. Myślę, że pozostaje już tylko jedna rzecz do zrobienia.

— Może wpadłeś właśnie na najskuteczniejszy sposób. Powiedz, co masz na myśli?

— Natrzeć uszu Chatterisowi.

— Nie wiem, czyby to pomogło.

— O, rozumie się, nic już nie pomoże — dodał Fred tonem przybijającym rzecz ostatecznie. — Stało się. — Poczem, ułożywszy fałdy prześcieradła w bardziej godną draperję, wsunął do ust dawno zagastę fajczyisko i poszedł w swoją drogę. Tren prześcieradła sunął niedbale za nim przeze drzwi. Bose stopy zakłaskały po kamiennej posadzce przed-sionka i uciły na dywanie schodów.

— Fred! — zawołał Melville, idąc za nim w stronę drzwi; uświadomił sobie w tej chwili potrzebę różnych dokładniejszych szczegółów. Ale Freda już nie było.

II.

Natomiast ukazała się pani Bunting. Twarz jej nosiła ślady niedawnego wzruszenia.

— Depeszowałam — mówiła. — Mamy ogromne zmartwienie.

— Słyszę, że panna Waters...

— Już nas opuściła...

Uczyniła parę kroków w kierunku dzwonka i zatrzymała się.

— Przygotuję panu śniadanie jak zwykle — rzekła — Pan pewnie głodny.

Zbliżyła się doń, wznosząc ręce.

— Nie może pan sobie wyobrazić!... To biedne dziecię!

— Musi mi pani opowiedzieć — rzekł Melville.

— Prostu nie wiem, co robić. Nie wiem, gdzie się zwrócić. — Zbliżyła się do niego. Uniewinniła się. — Wszystko, co uczyniłam, niech mi pan wierzy, panie Melville, że chciałam jak najlepiej. Widziałam, że coś się pomieszało. Spostrzegłam, że nadużyto mej dobrej wiary. Znosiłam to, póki można było. Wkońcu *musiałam* przecież się odezwać.

Kuzyn mój zapomocą zręcznie stawianych pytań i odpowiednio cieniowanego milczenia rozwinął nieco tę opowieść.

— A teraz — skarżyła się pani Bunting — wszyscy na mnie, wszyscy!

— Zwykła historia. Każdy gani każdego, który coś usiłuje czynić w takich wypadkach — rzekł Melville. — Niech pani nie bierze tego do serca.

— Postaram się — rzekła odważnie — panie, panie Melville.

Położył na chwilę rękę na jej ramieniu.

— *Wiem* — rzekł z naciskiem — i myślę, że to ulżyło nieco pani Bunting.

— Wszyscy liczymy na pana — rzekła — nie wiem doprawdy, co byśmy uczynili bez pana.

— Dobrze, proszę pani. Jak stoją obecnie rzeczy! Co mam uczynić?

— Pójść do niego i naprawić wszystko.

— Przypuśćmy jednak — zaczął Melville z powątpiewaniem.

— Pójść do niej. Wytłumaczyć jej, jaką krzywdą by to było i dla niego, i dla nas wszystkich.

Próbował dopytać się bardziej dokładnych wskazań.

— Niech pan nie utrudnia sprawy — błagała pani Bunting — niech pan pomyśli o tej biednej dziewczynie tam na górze. Niech pan pomyśli o nas wszystkich.

— Rozumiem — rzekł Melville, myśląc o Chatterisie i patrząc beznadziejnie w okno.

— Słyszę, że pan Bunting...

— Pan albo nikt — rzekła pani Bunting, zmiatając jego jeszcze niewypowiedziane wyrazy. — Fred za młody na to, a Randolph!... nie jest wcale dyplomatą. Zaraz zaczyna wygrażać.

— Czyż? — zdziwił się Melville.

— Żeby pan go widział zagranicą! Ileż to razy musiałam łagodzić... Nie, nie, trzeba, żeby *pan*... Pan zna Chatterisa tak dobrze. Ufa panu. Może mu pan powiedzieć rzeczy, których nikt inny mu nie powie.

— Dobrze, że mi pani przypomniała. Czy *on* wie?

— Nie wiemy. Skąd *możemy* wiedzieć? Tyle tylko wiemy, że jest *oczarowany*. Jest tam w Folkestone, i ona jest w Folkestone, i mogą się widywać.

Kuzyn mój przez chwilę naradzał się sam z sobą.

— Niech pan przyrzeknie, że pan pójdzie — prosiła pani Bunting z dłonią na jego ramieniu.

— *Pójdę* — rzekł Melville — ale wątpię, czy co wskoram.

I pani Bunting uściśnęła jego dłoń swemi dwiema pulchnemi foremnemi łapkami. Powiedziała, że zgóry była przekonana, że on się zgodzi pójść. Zapewniała, że będzie mu wiecznie wdzięczna za to, że na jej depeszę odpowiedział bezpośrednim przyjazdem, a potem dodała, jakby to było dalszym ciągiem tej przemowy, że musi być pewnie bardzo spragniony śniadania.

Przyjął propozycję śniadania w sposób dość pobieżny i wrócił do sprawy.

— Czy ma pani jakieś pojęcie, jak Chatteris się ustosunkowuje do tego wszystkiego.

— Pisał tylko do Ady.

— Więc to nie on spowodował właściwie to przesilenie.

— Nie, to Ada. Wyjechał i coś w jego zachowaniu się zastanowiło Adę. Napisała do niego, pytając o powód. Jak tylko otrzymała jego list, w którym pisał, że chciałby odetchnąć trochę od tej polityki, że jakoś nie znajduje już tego zainteresowania, na jakie ta działalność według niego zasługuje, odgadła wszystko.

— Wszystko? Co właściwie?

— Że *tamta* go skokietowała.

— Panna Waters?

— Tak.

Melville rozważał. Więc tak oni sobie to wszystko wyobrażają. Chciałbym tylko wiedzieć, w jakim *on* to wszystko widzi światło — powiedział wkońcu, idąc za panią Bunting na śniadanie. W ciągu tego tété-a-tété z przykrością zdał sobie sprawę z tego,

że Pani Bunting znajduje wielką ulgę w świadomości, iż podjął się tej rozmowy z Chatterisem. Widocznie uważała, że zbyła się większej części odpowiedzialności z chwilą, gdy Melville podjął jej ciężar. Przez cały czas śniadania broniła się przeciwko zarzutom, które zapewne były jej z różnych stron w mniej lub więcej wyraźny sposób stawiane.

— Skąd mogłam wiedzieć? — pytała się i opowiadała ponownie historję owego pamiętnego lądowania z nowemi, uniewinniającemi ją szczegółami. Przecież to Adelina pierwsza zawołała „Trzeba ją ratować” Pani Bunting specjalnie podkreślała ten szczegół. — I co ja mogłam innego uczynić? — zapytała.

Podczas tej przemowy zagadnienie przyjmowało w świadomości Melvilla coraz poważniejsze rozmiary. Spostrzegał coraz wyraźniej całą złożoność sytuacji, jaką mu zwierzano. Przedewszystkiem niewiadomo, czy Adelina zechce przyjąć napowrót swego narzeczonego bez postawienia mu pewnych określonych warunków. A co do Morskiej Damy, to nie ulegało wątpliwości, że nie zechce wypuścić z garści zdobyczy, o ile ją uzyskała naprawdę. Myśleli traktować walkę żywiołów jako sprawę indywidualną. Coraz bardziej uświadamiał sobie, jak dalece pani Bunting przeoczyła właściwą naturę Syreny, jak dalece uważała całą sprawę za zwykłą chwiejność, za pospolity objaw owego nigdy niewykorze-nionego ducha niestałości, zamieszkującego w gruncie rzeczy serce każdego mężczyzny, i z jak wielką ufnością oczekiwała, że on, Melville, zapomocą niewielkiego nacisku i taktownej perswazji zdoła przywrócić rzeczom dawną harmonję.

Co się zaś tyczy Chatterisa! — Melville potrzą-

sał głową nad swem sercem i odpowiadał z roz-tar-gnieniem pani Bunting.

III

— Ona pragnie pomówić z panem — rzekła pani Bunting.

Melville z pewnem drżeniem wznosił się po schodach. Doszedł do górnego korytarza, zaopatrzonego w krzesła, chcąc oszczędzić Adelinie trudu schodzenia na dół. Ukazała się w luźnej fioletowo-czarnej szacie domowej, ozdobionej suto koronką. Ciemne jej włosy były ułożone ze starannością pełną prostoty, w której było jej do twarzy. Błada, z widocznymi śladami łez w oczach, pełna była pewnej godności, innej niż zwykle, gdyż zupełnie nieświadomej. Podała mu wiotką rękę, mówiła głosem wyczerpanym.

— Pan wie — wszystko? — zapytała.

— W ogólnych zarysach mniej więcej.

— Dlaczego tak postąpił ze mną?

Melville patrzył na nią przez chwilę z głębokiem współczuciem.

— Czuje — rzekła — że to nie wypływa z prostactwa.

— Na pewno nie — odpowiedział Melville.

— Jest w tem jakaś tajemnica wyobraźni, której nie mogę zrozumieć. Sądziłabym, że — jego zawód przynajmniej — powinien go nęcić... potrząsnęła głową, przez chwilę wpatrywała się w wazon paproci.

— Pisał do pani? — zapytał Melville.

— Trzykrotnie — rzekła, podnosząc głowę.

Melville wahał się, czy ma zapytać o treść tej korespondencji, ale uprzedziła go.

— Musiałam się dopytywać — rzekła — ukrywał wszystko przede mną. Musiałam nalegać, zmusić go prawie do powiedzenia mi.

— Do powiedzenia — czego? — zapytał Melville.

— Jakie są jego uczucia dla niej, a jakie — dla mnie.

— Jakto, więc Chatteris?

— Wyjaśnił mi to nieco. Jednak, nawet teraz... Nie, nie mogę zrozumieć.

Odwróciła się zwolna i, mówiąc, obserwowała twarz Melvilla. — Wie pan, to był straszny cios dla mnie. Przypuszczam, że idealizowałam go. Myślałam, że ukochał przynajmniej naszą działalność... Przecież dbał o naszą pracę. Wierzył w nią chyba.

— Wierzy i teraz — zauważył Melville.

— W takim razie — więc jakżeż może?

— Chatteris jest człowiekiem o silnej imaginacji.

— Raczej o słabej woli.

— Względnie — tak.

— To takie dziwne — westchnęła — takie niekonsekwentne. Jak dziecko, sięgające po nową zabawkę. Wie pan, panie Melville — zawahała się — czuję się tak *starą* po tem wszystkim. Wydaję się sobie znacznie starsza, znacznie doświadczeńsza od niego. Nie mogę nic na to poradzić. Myślę, że każda kobieta miewa czasami to uczucie — zamyśliła się poważnie.

— *Każda* kobieta — ...Mężczyzna — Dziecię! Rozumiem teraz, co Sara Grand chciała przez to powiedzieć.

Uśmiechnęła się blado — mam uczucie, jak gdybym miała do czynienia z psotnym dzieciakiem. — A ja — ja, panie Melville — *uwielbiałam* go — rzekła, i głos jej drgnął.

Kuzyn mój kaszlnął i, odwróciwszy się, patrzył uparcie w okno. Zaczynał dorozumiewać się, że znacznie mniej dorósł do sytuacji, niż mu się zdało.

— Gdybym przynajmniej wierzyła, że ona może mu dać szczęście — rzekła po chwili, pozostawiając przerwę, która pozwalała domyślać się wspinałomyślnego poświęcenia.

— Sprawa jest nader *złożona* — rzekł Melville.

Głos jej rozlegał się w dalszym ciągu, jasny, trochę wysoki, zrezygowany, nieprzenikliwie pewny.

— Ale ona nie może mu dać szczęścia. Nie zrozumiałaby jego lepszych cech, całej poważniejszej części jego istoty — wszystko obróciłaby w niwecz.

— Czy on? — zaczął Melville i przerwał, skruszony śmiałością swego zapytania.

— ?...

— Czy prosił o zwrócenie słowa?

— Nie... podobno chce wrócić do mnie.

— A pani?

— Kiedy on nie wraca.

— A czy pani *pragnie*, by wrócił?

— Czy ja wiem? Przecież on nawet nie mówi na pewno, że chce wrócić.

Kuzyn mój był zakłopotany. Żył dotychczas raczej na powierzchni uczuć, i ta złożoność rzeczy, które dotąd uważał za zupełnie proste, wytrąciła go z równowagi.

— Są chwile — mówiła — w których mi się zdaje, że miłość moja dla niego zupełnie umarła... Pomyśl pan tylko — to rozczarowanie, — to wstrząśnienie — odkrycie takiej słabości woli.

Kuzyn mój wznosił brwi i kiwał głową potakująco.

— Przekonać się, że nogi były z gliny!

Nastąpiła pauza.

— Wydaje mi się, że go nigdy nie kochałam. A potem znów — Potem myślę o tem, czemuby mógł jeszcze być...

Głos jej drgnął. Spojrzał na nią. Usta były zacisnięte, a łzy spływały po policzkach.

Kuzyn mój mówi, że chciał dotknąć ze współczuciem jej ręki, ale pomyślał sobie, że lepiej dać pokój. Słowa jej brzmiały jakiś czas w jego uszach, potem zauważył poniewczasie: — On jeszcze może być tem wszystkim.

— Przypuszczam, że może — rzekła powoli i bezbarwnie.

Chwila leż minęła.

— Kto ona jest? — zmieniła nagle temat. — Kto jest ta istota, która stała między nim a wszelkimi rzeczywistościami życia? Co w niej jest takiego? — I dlaczego mam być narażona na współzawodniczenie z nią — dlatego, że on sam nie wie, czego chce?

— Z chwilą, gdy mężczyzna wie — rzekł Melville — dokładnie, czego chce, wyczerpał już jeden z głównych powabów życia. A potem! — To już tylko udoskonalony wulkan wygasły. (Jeśli kiedykolwiek był wulkanem).

Pogrążył się na chwilę w egoistycznych rozważaniach. Potem nagle przypomniał sobie, o co chodzi.

— Co jest w niej takiego — zapytała z tem świadomem dążeniem do jasności, które było jedną z jej antypatycznych dla Melvilla cech — co jest w niej takiego, co mu ofiarować może, czego ja?...

Melville zżymnął się na tę świadomą propozycję przerażających porównań. Kocia jego natura przyszła mu z pomocą. Zaczął cofać się, szukać wy-

biegów wogóle unikać wyraźnego wyводу. — Kochana panno Glendower! — rzekł, usiłując zastąpić tem właściwą odpowiedź.

— Na czem polega ta różnica? — nastawała Adelina.

— Są rzeczy niedostrzegalne — kręcił Melville — niedostępne rozumowi i nie dające się określić.

— Ale pan — nastawała — pan musi mieć jakiś pogląd, jakieś wrażenie. Dlaczego pan nie... Czy pan nie widzi, panie Melville, że to jest bardzo — tu głos jej zatknął się na chwilę — że to jest bardzo *żywotne* dla mnie. To niesłusznie z pańskiej strony, że pan, mając jakieś wrażenie — przykro mi bardzo, panie Melville, że może zbyt wiele wymagam od pana. Ale ja — ja muszę wiedzieć.

Melvillowi przyszło w tej chwili na myśl, że w tej dziewczynie było jednak coś, czego w niej dotychczas nie doceniał.

— Muszę przyznać, że rzeczywiście otrzymałem pewne wrażenie.

— Pan jest mężczyzną, pan go zna dobrze, pan zna wiele rzeczy, wiele punktów widzenia, które mogą mi być zupełnie obce. Gdyby pan mógł zobaczyć się na szczerłość.

— Dobrze — rzekł Melville i urwał. Patrzyła weń w naprężonem milczeniu.

— *Jest* rzeczywiście różnica — przyznał. — W jaki sposób mogę to pani wyjaśnić? Myślę, że pod niektórymi względami jest między paniami kontrast, który sprawia, że w niektórych wypadkach ona jest w lepszym od pani położeniu w stosunku do *Chat-terisa*.

— Widzi pani, on ma temperament — jest to oczywiście nieco obłudny argument, on go też nie przyta-

cza na swoją obronę — otóż Chatteris ma temperament, do którego ona czasami więcej przemawia niż pani.

— Tak, wiem o tem. Ale dlaczego?

— Widzi pani...

— Niech pan powie szczerze.

— Pani jest surowa. Pani jest powściągliwa.

Dla człowieka takiego jak Chatteris życie jest — wyszkoleniem. Ma on w sobie coś — coś może godniejszego posiadania niż to wszystko, co my posiadamy — ale nieraz myślę — że czyni to życie trudniejszym dla niego, niż jest nasze. Życie uderza weń swemi prawidłami i ograniczeniami. Zna on swój obowiązek dobrze. Ale *pani* — Niech mi pani nie bierze za złe tego, co mówię, panno Adelino — mogę się mylić.

— Niech pan mówi, proszę, niech pan mówi!

— Pani jest zanadto — że tak powiem — pełnomocnym przedstawicielem jego obowiązków.

— Naturalnie! — jakżeby mogło być inaczej?

— Rozmawiałem z nim w Londynie, i wtedy zdawało mi się, że on zupełnie nie ma racji. Od tego czasu jednak wiele przemyślałem — i o tem nawet, że nie cała słusność jest po pani stronie, zwłaszcza w pewnych drobniejszych rzeczach.

— Niech pan nie oszczędza mej próżności *teraz!* — zawołała — Powiedz pan!

— Widzi pani, *pani* wszystko określiła już dokładnie. Pani wyjaśniła mu, czego się pani spodziewa po nim, czem on ma być, co czynić. To jakby mu pani wybudowała dom, w którym ma mieszkać całe życie. Dla niego więc zwrócenie się ku niej jest jakby wyjście z domu, przyznaję, że z domu bardzo pięknego i dostojnego, ale zawsze wyjście z domu ku czemuś większemu, pełnemu przygód, nieobliczalnemu. Ona jest — ona czyni wrażenie cze-

goś naturalnego, *żywiłowego*. Jest wolna i bezgraniczna jak zachód słońca, jest niesforna i poufała jak wiatr. Nie można o niej powiedzieć, by kochała i szanowała go, gdy jest takim, a gardziła nim, gdy jest owakim. Nie — ona przyjmuje go jako całość, takim, jakim jest. Jest w niej coś z otwartego nieba, z głęboko zarośniętego lasu, z lotu ptaków i z dalekiego morza... Oto czem ona jest dla niego, jak sądzę. Ona jest to „Wielkie Nieznane“. A pani — pani jest —

Zawahał się.

— Mów pan, proszę — nastawała. — Dotrzymy do właściwej treści.

— Pani jest jak wspinały budynek... Nie sympatyzuję z nim pod tym względem — rzekł Melville. — Ze mnie oswojony kot, miauczałbym i skrobałbym u drzwi bezpośrednio po wyjściu nazewnątrz rzeczy. Nie pragnę wyjść. Myśl o tem mię przeraża. Ale *on* jest inny.

— Tak — rzekła — on jest inny.

Przez chwilę mogło się zdawać, że interpretacja Melvilla trafiła do jej przekonania. Stała w zamyśleniu. Powoli jednak przyszły jej na myśl inne strony sprawy.

— Oczywiście — rzekła, patrząc w zamyśleniu na Melvilla. — Tak. Takie się otrzymuje wrażenie. Tak się to napozór przedstawia. Ale w rzeczywistości — jest przecież na świecie coś więcej prócz efektów i wrażeń. W gruncie rzeczy to, co pan powiedział, jest tylko — analogją. Przyjemnie jest wyjść z domów i mieszkań na świeże powietrze, ale przecież mieszkać na stałe musimy wszyscy w domach.

— Stanowczo — potwierdził Melville.

— Nie może przecież... To przecież zupełnie nie dałoby się wykonać. Jakże mogliby żyć ze sobą? Jakże mogliby mieć wspólne życie?

— Tu chodzi, proszę pani, o zagadnienie atrakcji, nie o plany.

— Zresztą — rzekła — musi przecież wkońcu powrócić do mnie — o ile się na to zgodzę. Zepsuje może teraz wszystko, straci swoją kandydaturę, będzie musiał może jeszcze raz zaczynać wszystko od początku i to w znacznie gorszych warunkach, potarga może swe serce na strzepy...

Łkanie przerwało jej mowę.

— Panno Adelino — rzekł znoważ Melville — nie jestem zupełnie pewny, czy pani zupełnie zdaje sobie sprawę...

— Sprawę z czego?

— Pani myśli, że on nie może zaślubić tej — tej istoty, przybyłej do nas niewiadomo skąd?

— Jakżeby mógł?

— Oczywiście — nie mógłby. Pani sądzi, że jego imaginacja, odchodząc od pani, zesłała na manowce czegoś zupełnie niemożliwego. Że naogół wyrwał się zupełnie bezcelowo, że postąpił bezmyślnie i że chodzi tu tylko o to, by doprowadzić napowrót rzeczy do poprzedniego ładu.

Zatrzymał się na chwilę. Adelina milczała, patrząc nań z natężoną uwagą.

— Pani nie rozumie, nikt zdaje się nie rozumieć tego, że ona przybywa...

— Z morza.

— Z jakiegoś odmiennego świata. Przybywa, szepcząc, że to życie nasze jest widmowe, nierealne, ograniczone, liche i na wszystko rzuca urok rozczarowania.

— Więc *on*...

— Tak. A potem szepcze: *Są inne, lepsze sny!* Dziewczyna spojrzała nań ze szczerem zdumieniem.

— Napomyka o tych nieokreślonych, lepszych snach, szepcze o sposobie...

— O jakim sposobie?

— Nie wiem, jaki to sposób. Ale rozumiem, że jest to coś, co targa osnowy naszego życia codziennego.

— Myśli pan?

— To jest morska istota, twór snów i pożądań, syrena, szept, urok. Uwiedzie go za sobą.

Urwał.

— Dokąd? — zapytała szeptem.

— Na głębie.

— Na głębie?...

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Melville skwapliwie szukał w umyśle jakichś mglistych określeń, nie znajdując nic odpowiedniego. Wkońcu wyrwało mu się:

— Jest tylko jedno wyjście z tego snu, który śnimy wszyscy, proszę pani.

— A to wyjście?

— To wyjście...—zaczął Melville i nie miał odwagi dokończyć.

— Myśli pan — rzekła — poblądłszy pod wpływem nawpółzbudzonej nowej świadomości — że to wyjście jest?...

Melville unikał wyrazu. Spotkawszy się z jej spojrzeniem, kiwnął tylko głową potakująco.

— Ale jak? — zapytała.

— W każdym razie — rzekł pospiesznie, szukając jakiegoś łagodzącego frazesu. — W każdym razie, jeśli go zdobędzie ten mały światek pani —

nie będzie już dlań powrotu do tego świata, proszę pani.

— Nie będzie powrotu?

— Nie będzie powrotu — powtórzył Melville.

— Czy pan jest tego pewny? — wątpiła.

— Czy jestem pewny?

— Że tak jest rzeczywiście?

— Że pożądanie jest pożądanem, a głębia — głębią? — tak.

— Nigdy nie wyobrażałam sobie — zaczęła i urwała. — Wie pan, że nie rozumiem. Myślałam — Doprawdy, że zaledwie sama wiem, co myślałam. Myślałam, że — uważałam to za szaleństwo, za bezrozumne schodzenie na manowce... Spostrzegam i uznaję poniekąd pański punkt widzenia, panie Melville, co do wrażenia, jakie możemy wywierać na Chatterisie. Ale to przypuszczenie, że ona może być w jego życiu czemś decydującem i ostatecznem. — Przecież *ona*...

— Ona sama w sobie może nie mieć żadnego znaczenia. Ale jest dłonią, która go ujmuje, czemś, co staje przed nim w imieniu rzeczy niewidzialnych.

— Cóż to za niewidzialne rzeczy?

Mój kuzyn wzruszył ramionami.

— Coś, czego nigdy w życiu znaleźć nie możemy — odparł — coś, czego wiecznie poszukujemy.

— Ale co? — zapytała.

Melville nie odpowiedział. Badała jego twarz przez jakiś czas, a potem spojrzała znowu na słoneczny świat za oknem.

— Czy pragnie pani jego powrotu? — zapytał.

— Nie wiem.

— Czy pragnie pani jego powrotu? — powtórzył.

— Wydaje mi się, że nigdy dawniej nie odczuwałam braku jego obecności.

— A teraz?

— Tak... Ale — jeśli nie zechce wrócić?

— Nie zechce wrócić — rzekł Melville — dla pracy.

— Wiem o tem.

— Nie zechce wrócić w imię własnej godności, czy dla innych rzeczy tego rodzaju.

— Nie.

— Wszystkie te względy, widzi pani, to tylko słabsze sny. Cały ten pałac, który pani wybudowała dla niego, to sen. Ale...

— Ale?

— Możeby wrócił — zaczął, spojrzał na nią i urwał.

Melville opowiadał mi, że przez jakąś chwilę niewyraźnie myślał o tem, żeby wstrząsnąć jej duszę, pobudzić, bodaj zranić ją, byle doprowadzić do okazania jakiejś romantycznej siły, jakiegoś wybuchu namiętności, zdolnych do odzyskania Chatterisa. Ale natychmiast przyszło mu na myśl, że nadzieja osiągnięcia takiego efektu byłaby dziecinne złudzeniem z jego strony. Stała oto przed nim zawsze nieprzenikliwie jednakowa, ograniczona, inteligentna, zdrowo myśląca, naśladowcza i bezsilna. Poza jej, wyraz twarzy wyrażały niezbitie jasny, rozsądny protest przeciw wszystkiemu, co ją spotkało, krytyczny antagonizm, wytrwałą opozycję. I nagle, błyskawicznie zaszła zdumiewająca przemiana. Spojrzała na niego, wyciągnęła doń ręce, w oczach jej błysło coś, czego nigdy w nich nie widział dawniej.

Melville mechanicznie ujął jej dłonie. Stali tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy, jakby czynili w nich jakieś wzajemne odkrycia.

— Powiedz mu pan — rzekła z doskonałą prostotą — powiedz mu pan, by wrócił do mnie.

Niema tu nic prócz mnie samej. Powiedz mu pan, niech wrócił

— I?

— Powiedz mu pan to.

— Przebaczenie?

— Nie! Niech mu pan powie, że mi go brak. Jeśli nie wróci dlatego, to nie wróci wcale. Jeśli nie wróci dlatego, że ja — zatrzymała się na chwilę — to nie chcę go wcale. W takim razie nie jest już moim i może iść, gdzie chce.

Ułcisnął jej ręce i cofnął się.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, panie Melville, że pan nam chce pomóc — rzekła, gdy miał się już ku wyjściu.

Spojrzał na nią.

— Pan jest bardzo dobry dla mnie — rzekła, a potem — powiedz mu pan, co chcesz, byle tylko wrócił do mnie!... Niel... Powiedz mu pan to, co wprzód mówiłam.

Widział, że chce jeszcze coś powiedzieć, i zatrzymał się.

— Wie pan, panie Melville, to wszystko jest dla mnie jakby świeżo otwartą księgą. Czy pan jest tego pewny?

— Pewny czego?

— Tego, co pan mówił o niej. Czem ona jest dla niego. Że jeśli pójdzie za nią, to — urwała.

Potwierdził głową.

— To znaczy — rzekła i znów urwała.

— Że to nie przygoda, nie incydent przejściowy, ale wyjście zupełne ze wszystkiego, co życie doczesne ma do ofiarowania.

— Chce pan powiedzieć — nastawała.

— *Śmierć* — rzekł Melville mocno i przez chwilę oboje trwali w milczeniu.

Żachnęła się i spojrzała mu w oczy. Poczem znów przemówiła.

— Panie Melville, powiedz mu pan, niech wróci do mnie, albo — nuta nagłego uniesienia zadźwięczała w jej głosie — albo, jeśli nie mam nań żadnego wpływu, niech sobie idzie drogą, którą wybrał.

— Ależ — rzekł Melville.

— Wiem — zawołała z zawziętym wyrazem twarzy — wiem. Ale jeśli jest moim, to wróci, jeśli nie — to niech śni swój sen.

Zwinięta jej dłoń zacisnęła się silniej. Widział po wyrazie jej twarzy, że nie powie już nic więcej, że chce, by rozmowa na tem się zakończyła. Skierował się ku schodom, spojrzał jeszcze raz na Adelinę i zaczął schodzić na dół.

Gdy się obejrzał na zakręcie, stała tam jeszcze w świetle słońca.

Uczuł pragnienie opowiedzenia się jej sprzymierzeńcem. Ale nie przyszło mu na razie na myśl nic odpowiedniego.

— Co tylko będę mógł, to uczynię — zawołał tylko i po krótkiej pauzie znikł jej z oczu nieco niezręcznie.

IV

Byłoby słusznie i stosownie, by Melville bezpośrednio po tem widzeniu udał się do Chatterisa, ale bieg wypadków tego świata wykazuje od czasu do czasu pożałowania godną niedbałość względem tego, co jest słuszne i stosowne. Było mu sądzone, że tego dnia obsiądą go zewszestrón najróżnorodniejsze „punkty widzenia” — przeważnie niesympatyczne. Zastał panią Bunting w towarzy-

stwie jakiegoś wyzywająco przyozdobionego kapelusza, czekającą w hallu najwyraźniej w celu zatrzymania go. Gdy zszedł na dół, z pod strojnego kapelusza ukazała się białolica, rezolutna osoba w sztaubmantlu i rozsądnych bucikach. Nieznajoma przedstawiona została przez panią Bunting jako lady Poynting Mallow, jedna z bardziej okazałych ciotek Chatterisa. Jej Miłość zadała kilka pytań o Adelinie, mierząc okiem Melvilla, poczem, odpowiedział, twierdząc na parę uwag, rzuconych przez panią Bunting, zaproponowała mu, by ją odprowadził do hotelu. Był zbyt przejęty rozmową z Adelina, by poddać dyskusji ten wniosek. — Pójdziemy pieszo — rzekła — dolną drogą. — W ten sposób znalazł się na drodze przy boku lady Poynting Mallow.

Gdy drzwi domu Buntingów zamknęły się za nimi, zauważyła, że w bardziej skomplikowanych rzeczach łatwiej jest porozumieć się z mężczyzną. Poczem zapanowało między nimi na jakiś czas milczenie.

Nie jestem pewny, czy Melville w danej chwili zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest sam. Głos towarzyszkę przerwał wkrótce jego medytacje. Drgnął.

— Przepraszam panią — rzekł nieco zmieszany.

— Ta Buntingowa to idjotka — powtórzyła lady Poynting Mallow.

Nastąpiła chwilowa przerwa rozpoznawcza.

— To jest moja dobra przyjaciółka — rzekł Melville.

— Bardzo możliwe — zauważyła lady Poynting Mallow.

Sytuacja wydała się Melvillovi nieco kłopotliwa. Odrzucił butem kawałek skórki pomarańczowej na drodze. — Muszę dotrzeć do dna tego wszystkiego

go — rzekła lady Poynting Mallow. — Kto jest ta druga niewiasta?

— Jaka druga niewiasta?

— *Tertium quid*. — z świetną niepoprawnością odparła lady Poynting Mallow.

— Syrena, jak słyszę.

— Co mają przeciwko niej?

— Ogon.

— Pletwy i co do tego należy?

— Właśnie.

— Czy pan to wie na pewno?

— Najzupełniej.

— Skąd pan to wie?

— Wiem na pewno — z niezwykłą stanowczością oświadczył Melville.

Dama zamyśliła się.

— No, bywają na świecie rzeczy gorsze od ogona — rzekła wkońcu.

Melville nie uważał za potrzebne odpowiadać na to. — Hm — chrząknęła lady Poynting Mallow widocznie jako komentarz do jego milczenia.

Przez chwilę posuwali się naprzód.

— Ta Glendowerzanka też idjotka — dodała po chwili.

Kuzyn mój otworzył usta i zamknął je zaraz. Jak można odpowiadać, gdy dama w ten sposób się wyraża? Jednak, chociaż się nie odzywał, zamyślenie jego pierzchnęło. Był teraz rzetelnie świadomy kroczącej przy jego boku arcy-zdeterminowanej osoby.

— Czy ona posiada jakie zasoby? — zapytała nagle.

— Panna Glendower?

— Nie. O tej wiem wszystko. Ta druga.

— Syrena?

— Tak, Syrena. Dlaczego by nie?

— O, *ona*! — Bardzo obfite zasoby. Galjoty, skarby fenickich okrętów, zatopione fregaty, podwodne rafy...

— Dobrze, *to* więc jest w porządku. A teraz, czy może mi pan powiedzieć, panie Melville, dlaczego Harry nie miałby jej poślubić? Cóż to szkodzi, że jest Syreną? To przecież nie jest gorsze od amerykańskiej kopalni srebra i na pewno nie tak ordynarne i źle wychowane!

— Po pierwsze jest zaręczony...

— O, jeśli *o to* chodzi:

— A powtóre: Morska Dama...

— No przecież *ona*...

— Jest Syreną.

— To nie jest przeszkodą. Co do mnie, to uważam, że byłaby doskonałą żoną dla niego. I właśnie tutaj mogłaby mu dać wybitną pomoc. Kontrkandydat tutejszy na pewno będzie się mocno stawiał — ten jegomość z Sassaon — bogaci się nie mało na tych podmorskich kablach. Nie trzeba lepiej. Harry mógłby go wtedy zdrowo poczęstować. To więc jest też w porządku... Dlaczego więc nie mieliby się pobrać?

Wsunęła ręce głęboko w kieszenie płaszcza, a z pod runda wyzywająco ozdobionego kapelusza spojrzały na Melvilla porcelanowe błękitne oczy.

— Czy pani dostatecznie zdaje sobie z tego sprawę, że to jest prawdziwa Syrena o prawdziwym, namacalnym ogonie?

— No co z tego? — rzekła lady Poynting Mallow.

— Pomijając już zupełnie pannę Glendower...

— Właśnie.

— Sądzę, że takie małżeństwo jest zupełnie wyłączone.

— Dlaczego?

Kuzyn mój usiłował w uboczny sposób odpowiedzieć na to pytanie.

— Jest nieśmiertelna. Ma, na przykład, pewną przeszłość za sobą.

— To ją czyni tylko bardziej interesującą.

Melville usiłował zastosować się do jej sposobu widzenia.

— Pani sobie wyobraża — rzekł — że ona pojedzie z nim do Londynu, że zaślubi go u ś-go Jerzego na Hanover Square, że zafunduje mu piękną kamienicę w Park Lane, że będzie składała wizyty jego znajomym...

— Na pewno tak postąpi. Właśnie teraz, gdy Dwór zaczyna budzić się do życia.

— Na pewno tak nie postąpi — rzekł Melville.

— Ależ, mój panie, żadna kobieta nie ominie takiej sposobności.

— Ależ *ona* jest Syreną!

— E, to chyba jakaś idjotka! — rzekła lady Poynting Mallow.

— Ona nawet wcale nie myśli brać z nim ślubu, to wcale nie licuje z jej obyczajami.

— Co?... A to tłuk dopiero! Więc *co* *ona* zamysła?

Kuzyn mój uczynił gest w kierunku morza.

— To! — rzekł — *Ona* jest Syreną.

— Co?

— Tam, na morze.

— Dokąd?

— Tam!

Lady Poynting Mallow przyglądała się morzu, jakby jakiemuś zupełnie nowemu przedmiotowi.

— Hm — rzekła po krótkim rozważaniu — nieco ziemnowodna perspektywa dla rodziny. Ale i w ta-

kim razie — jeśli nie dba o życie towarzyskie, a Henryka to uszczęśliwi — i może później, gdy się już znudzą tą wilegją...
— Uważam, że pani nie uświadamia sobie dostatecznie faktu, że to jest Syrena, a Chatteris, jak pani wiadomo, oddycha powietrzem.

— Tak, to *jest* komplikacja — przyznała lady Poynting Mallow i zapatrzyła się przez chwilę na oświetlone słońcem pełne morze.

— Nie widzę jednak, dlaczego tego nie można było jakoś urządzić — dodała po chwili.

— Zupełnie niewykonalne — rzekł Melville z suchą dobitnością.

— Ona go kocha?

— Umyślnie po niego przybyła.

— Jeśli go naprawdę tak bardzo kocha, to przyjmie wszelkie jego warunki. W tych sprawach zawsze jedna, czy druga strona musi czynić pewne ustępstwa. Ale musiałyby w każdym razie zgodzić się na ślub prawowity.

Kuzyn mój patrzył w jej nieprzenikliwe zadowoloną twarz.

— Mógłby mieć jacht i przyrząd odpowiedni, taki dzwon, jak dla nurków na przykład, na wypadek, gdyby zażądała, by złożył wizytę jej rodzinie.

— Zdaje się, że są to jakieś pogańskie półbożki, prowadzą zapewne zupełnie mitologiczny rodzaj życia w głębiach morza Śródziemnego.

— Kochany Harry jest sam wierutnym poganiem — to więc nie sprawia różnicy; co zaś do mitologii — wszystkie dobre rodziny sięgają czasów mitologicznych. Mógłby nawet nosić kostium nurka, gdyby się dało znaleźć odpowiedni na jego miarę.

— Nie myślę, by coś podobnego było możliwe w danym razie.

— Bo pan nigdy nie był zakochaną niewiastą — rzekła lady Poynting Mallow z wyrazem twarzy, mającym świadczyć o bogatym doświadczeniu w tym kierunku.

Rozprawiała w dalszym ciągu. — Jeśli konieczna jest dla niej woda morska, nic łatwiejszego, jak urządzić, gdziekolwiekby mieszkali, sadzawkę; i mogłaby mieć fotel, coś w rodzaju wanny nasiadowej, na kółkach... Doprawdy panie Milvain...

— Melville.

— Doprawdy, panie Melville, nie wiem, co tu pan widzi tak dalece niewykonalnego.

— Czy pani ją widziała?

— Czy pan myśli, że jestem napróżno od dwóch dni w Folkestone?

— Nie złożyła jej pani chyba wizyty?

— Broń Boże! Te rzeczy Henryk musi sam ułożyć. Ale widziałam ją w tym fotelu na kółkach na Promenadzie — i mogę pana zapewnić, że nigdy jeszcze nie spotkałam osoby godniejszej Henryka.
Nigdy!

— No, no — rzekł Melville. — Ale pominąwszy inne względy, jest jeszcze, jak pani wiadomo, panna Glendower.

— Nigdy nie uważałam jej za stosowną dla Henryka żonę.

— Może być. Ale zawsze — ona istnieje.

— Tak wiele osób istnieje na świecie — rzekła lady Poynting Mallow.

Najwidoczniej uważała tę stronę sprawy za zlikwidowaną ostatecznie.

Dążyli w dalszym ciągu naprzód w milczeniu.

— O co jeszcze chciałam zapytać pana, panie Milvain...

— Melville!

— Panie Melville, co pan właściwie ma do tej sprawy?

— Jestem przyjacielem panny Adeliny.

— Która pragnie go odzyskać?

— Szczerze mówiąc — tak.

— Czyż nie jest przywiązana do niego?

— Wobec tego, że jest z nim zaręczona, sądzę...

— Jeśli ma dla niego szczere uczucie, powinna umieć się poświęcić i uwolnić go dla jego dobra.

— Nie uważa, by to było dla jego dobra. Ja zresztą też nie.

— Prostu staroświecki przesąd, dlatego, że ta kobieta ma ogon. Te stare pudła od Wampacha też są pańskiego zdania.

Melville wzruszył ramionami.

— A pan pewnie będzie się czepiał nas i straszyl z powodu panny Glendower... Nic pan nie wskóra.

— Czy mogę zapytać, jak pani ma zamiar postąpić?

— Postąpię, jak przystało dobrej ciotce.

— To znaczy?

— Pozwolę mu uczynić, co zechce.

— Przypuśćmy, że zechce się utopić?

— Kochany panie Melville, Harry nie jest idjotą.

— Mówiłem już pani, że ona jest Syreną.

— Dziesięć razy.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

Zbliżyli się do folkestońskiej windy.

— Nic pan nie wskóra — rzekła lady Poynting Mallow.

Eskorta Melvilla skończyła się przy stacji windy. Tu dama zwróciła się znowu do swego towarzysza.

— Bardzo panu wdzięczna jestem, że pan był łaskaw mię odprowadzić, panie Melville — rzekła — i bardzo miło mi było poznać pański pogląd na tę sprawę. Jest to rzeczywiście dziwna historia, ale przecież jesteśmy ludźmi rozsądnymi. Niech pan sobie rozważy to wszystko, co panu powiedziałam. Jako przyjaciel Henryka. Pan *jest* przecież przyjacielem Henryka?

— Znamy się od wielu lat.

— Jestem zupełnie przekonana, że wcześniej, czy później, nawróci się pan do mojego punktu widzenia. Jest to wyraźnie najlepsze wyjście dla Henryka.

— A panna Adelina?

— Jeżeli panna Adelina jest prawdziwie „kobiecą kobietą”, to na pewno gotowa będzie do wszelkich ofiar dla dobra człowieka, którego kocha.

I z tem rozstali się.

W chwilę potem Melville, stojąc po drugiej stronie drogi, naprzeciwko stacji windy, patrzył na wznoszący się w górę wagonik. Zaczepnie strojny kapelusz sunął w górę, żywy, wyprostowany, pewny siebie, doskonale wcielenie zdrowego rozsądku. Umysł Melvilla popadł znowu w rozterkę; był ogłuszony, że tak powiem, żywotnością i siłą poglądu Jej Miłości. Czy możebne, by ktoś, nie mający absolutnej racji, był tak jasny i dobitny w swych orzeczeniach? A jeśli ona miała rację, to co znaczą te przygnębiające przeczucia, ta ponura zapowiedź jakiegoś strasznego wyjścia, te szeptki o „innych snach”, które opanowały były jego umysł zaledwie pół godziny temu?

Wracał do Sandgate, bijąc się ze sprzecznymi myślami. Zupełnie wyraźnie mógł wyobrazić sobie Morską Damę taką, jaką ją widziała lady Poynting

Mallow: różową, solidną, elegancką, zamożną i oczywiście obrzydliwie gminną. A jednocześnie zupełnie tak samo żywo przypominał ją sobie, siedzącą przy nim w ogrodzie, jej twarz pełną cieniów, oczy tajemnicze i ten szept, który świat okalający go przetworzył w wielką zasłonę, poza którą znajdują się wielkie, cudowne, dotychczas niepodejrzewane rzeczy.

V

Chatteris stał oparty o balustradę. Drgnął silnie, gdy Melville dotknął jego ramienia. Przywitani się z pewnem zakłopotaniem.

— Mój kochany — rzekł Melville — proszono mnie, bym pomówił z tobą.

— Nie tłumacz się, proszę — odparł Chatteris — rad jestem, że mogę się z kim rozgadać.

Nastąpiło krótkie milczenie.

Stali obok siebie — patrząc wdół, na przystań. Zdaleka dochodziły słabe odgłosy wieczornej orkiestry. Malutcy, czarni spacerowicze przechadzali się pod wysokimi latarniami elektrycznymi. Przypuszczam, że Chatteris usiłował z początku zachowywać się z wielkim spokojem — jak na człowieka światowego przystało.

— Wspaniała noc — rzekł Chatteris.

— Pyszna — powtórzył Melville w tym samym tonie.

Uciął koniuszek cygara.

— Chciałeś dawniej dowiedzieć się czegoś ode mnie.

— Wiem już — rzekł Chatteris, odsuwając się nieco — wiem już teraz wszystko.

— Widziałeś się z nią i mówiliście o tem?

— Kilkakrotnie.

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

— I co masz zamiar uczynić teraz? — zapytał Melville.

Chatteris nie odpowiedział, a Melville nie powtórzył swego zapytania. Po chwili Chatteris poruszył się niespokojnie.

— Chodźmy — rzekł.

Szli zwolna ku zachodowi.

Chatteris zaczął wygłaszać coś w rodzaju malej mowy.

— Bardzo mi przykro, że naraziłem wszystkich na taki kłopot — zaczął przygotowanemi widocznie zgóry frazesami — zdaję sobie sprawę z tego, że postąpiłem jak osioł. Niezmiernie mi przykro. Uznaję swoją winę. Ale wiesz chyba, że co się tyczy głównej awantury — duża część winy spada na twoją zbyt prawdopodobną przyjaciółkę, panią Bunting.

— Obawiam się, że tak jest rzeczywiście — rzekł Melville.

— Rozumiesz sam, że są chwile, w których człowiek z konieczności ulega pewnym nastrojom. Wyciąganie tego rodzaju usposobień na forum publiczne niekoniecznie dobrze robi.

— Stało się.

— Wiesz, że Adelina zaraz z początku protestowała przeciwko obecności tej — Morskiej Damy. Pani Bunting narazie postawiła na swoim. Później, gdy nastąpiło powikłanie, chciała, zdaje się, naprawić swój błąd.

— Nie wiedziałem, że Adelina protestowała.

— A jakże! widocznie przewidywała skutki.

Chatteris rozważał.

— Oczywiście to wszystko bynajmniej mnie nie uniewinnia. W każdym razie tłumaczy poniekąd, dlaczego ciebie wciągnięto do tej gmatwaniny,

Mruknął coś jeszcze niewyraźnie o „głupiej gmatwaninie” i o „sprawach osobistych”.

Zbliżali się do orkiestry i byli już nieomal w obrębie królestwa czcicieli muzyki. Wesole rytmy zaczęły już narzucać się ich uszom. Kiosk orkiestry przedstawiał się jako ognisko blasków; pulpity, instrumenty muzyczne wypromieniały pasma odbitego światła, a błyszczący, czerwony kapelmistrz wymachiwał ratatata jakiejs arcy-popularnej melodji. Głosy, pojedyncze urywki rozmów mieszały się natrętnie z myślami dwóch panów.

— Żeby to na mnie było... nie zadawałabym się z nim więcej ...za nic! — mówiła jakaś młoda osoba do swej towarzyszki.

— Wydostajmy się stąd! — rzekł porywczo Chatteris.

Zeszli w bok wysokiej alei Promenady ku stopniom, prowadzącym w dół. W chwilę potem mieli wrażenie, jakgdyby te imponujące sztukaterje frontonów, wielookienne hotele, elektryczne latarnie na wysokich masztach, kiosk orkiestry i różnolita wakacyjna publiczność angielska nie istniały nigdy. Jedną z największych zalet Folkestonu jest owa czarna cisza pod samemi stopami tłumu. Nie słyhać tu już było prawie orkiestry, zaledwie oddalone cichutkie echo muzyki przesiąkało do nich przez pagórek. Pokryte czarnemi drzewami skały spadały w dół ku falom, a wdali, na morzu świeciły latarnie statków. Na zachodzie jak rój świetlików zawisły światła Hythe. Siedli na ławce w mroku. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Melville odczuwał, że Chatteris trzyma się odpornie. Powtarzał półgłosem, jakby sam do siebie, zasłyszane przed chwilą słowa: „Nie zadawałabym się z nim więcej... za nic!”

— Owszem, przynaję, że okazałem słabość

woli, niezdecydowanie, że niewłaściwie postępowałem. Bardzo niewłaściwie. W tego rodzaju wypadkach istnieje droga przepisana i ściśle określona. Mieć dwa punkty widzenia, to rzecz srodze potępiona przez ludzi prawomyślnych... A jednak — miewa się czasem dwa punkty widzenia...

— Czy przybywasz teraz z Sandgate?

— Tak.

— Widziałeś się z Adelina?

— Tak.

— Rozmawiałeś z nią?... Przypuszczam, że... —

Co ty myślisz o niej?

Cygara jego rozbłysło wyczekującym żarem i ukazało wahającemu się Melvillovi utkwione weń zamyślane oczy.

— Nigdy dotychczas nie uważałem jej za... — Melville szukał jakiegoś więcej dyplomatycznego omówienia — ...Nigdy nie była dla mnie szczególnie pojętna. Ładna, oczywiście, ale nie — wiesz, nie pociągającego. Natomiast dziś wydała mi się do prawdy... zupełnie wspaniała!

— Ona jest wspaniała — rzekł Chatteris.

Pochylił się naprzód, strącając niewidzialny popiół z cygara.

— Ona *jest* wspaniała — powtórzył. — Ty — zaczynasz się dopiero teraz tego domyslać. Mój kochany, nie znasz jeszcze tej dziewczyny. Nie jest to, że tak powiem, właściwie twój rodzaj. Mogę cię zapewnić, że jest to najprawsza, najczystsza, najjaśniejsza istota, jaką kiedykolwiek spotkałem. Wierzy tak niezachwianie, pełni swoje obowiązki z taką prostotą, jest w niej taka królewska wspaniałomyślność, taka czystość intencji...

Nie dokończył zdania, jakgdyby tą pauzą lepiej myśl swą mógł wyrazić.

— Pragnie, byś wrócił do niej — rzekł niezgrabnie Melville.

— Wiem o tem — rzekł Chatteris, strzepując znowu nieistniejący popiół. — Pisała mi o tem. To jest ogromnie wspaniałomyślne z jej strony. Nie kręci, nie udaje, wzorem innych kobiet. Nie grozi, „obraziliś mię i wszystko między nami skończone“, i nie błaga „na litość Boską, wróć do mnie!“ I nie powie, jak ta na Promenadzie „nie zadawałabym się już z nim ...za nic“. — Piszę wprost, szczerze. Wiesz, Melvillu, czuję, że nie znałem jej dotychczas dostatecznie. W tej sprawie dopiero wyszła na jaw cała jej wartość... Przedtem wszystko to przedstawiało się jakoś — jak to powiedziałeś — i jak ja sam nieraz zauważyłem — nieco zbyt — statystycznie.

Zamyślił się, płomyk cygara zbladł i wkońcu znikł zupełnie.

— Wrócisz do niej?

— Na Jowisza! *Tak!*

Melville poruszył się lekko, poczem obaj siedzieli przez jakiś czas w surowem milczeniu. Nagle Chatteris odrzucił porywczo zagasłe cygaro. Zdawał się rzucać poza siebie tym niewyraźnym gestem jeszcze wiele innych rzeczy. — Rozumie się — rzekł — że wrócę do niej. Całe to zamieszanie, to rozstanie nagle nie z mojej przecież winy wynikły. Byłem nieusposobiony, niepewny siebie, przyznaję, różne rzeczy chodziły mi po głowie. Ale gdyby nikt się nie był wtrącał... Gwałtem wywołali obecny stan rzeczy — podsumował.

— Rozumiesz chyba — rzekł Melville — że co do mnie, to jakkolwiek uważam obecny stan rzeczy za nieokreślony i niezadawalający — nie winię absolutnie nikogo.

— Masz wogóle szeroki pogląd na rzeczy — rzekł Chatteris — znam cię z tej strony. Mogę sobie łatwo wyobrazić, jak dalece całe to zawikłanie, ten niepokój muszą być przykre dla ciebie. Mój drogi, to bardzo miłe z twojej strony, że okazujesz względem mnie taką tolerancję, że nie uważasz mnie za zupełnego wyrzutka, za pozbawionego zasad burzyciela ładu społecznego.

— Jest to oczywiście przykry stan rzeczy — rzekł Melville. — Ale może rozumiem siły, targające cie, lepiej, niż ci się zdaje.

— Są przypuszczalnie zupełnie niezłożone.

— Zupełnie.

— A jednak?

— A jednak co?

Zdawało się, że się zawahał wobec niebezpiecznego tematu.

— Tamta — rzekł.

Milczenie Melvilla zdawało się zachęcać do dalszych zwierzeń.

Chatteris porzucił przygotowaną postawę. — Co to jest właściwie? Dlaczego, jeśli to jest tak proste, ta istota wtargnęła do mojego życia? Co jest takiego w niej, czy we mnie, że sprowadziło mnie na manowce? Bo, że zeszedłem ze swej drogi, to wiesz. I oto jesteśmy na rozdrożu. Nie chodzi o sytuację, ale o ten konflikt duchowy. Dlaczego jestem tak targany w dwóch przeciwnych kierunkach? Opanowała moją wyobraźnię. W jaki sposób? Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Jest piękna — rozważał Melville.

— Jest piękna, oczywiście. Ale Adelina też jest piękna.

— Ona jest bardzo piękna. Nie jestem ślepy,

mój kochany. Piękność jej jest jakiegoś zupełnie odmiennego rodzaju.

— Tak, ale to jest tylko nadanie imienia wrażeniu. *Dlaczego* wydaje się tak piękna?

Melville wzruszył ramionami.

— Nie dla każdego jest piękna.

— Tak myślisz?

— Naprzykład Bunting zupełnie nie wzrusza się jej widokiem.

— No — *on!*

— Inni ludzie też nie zdają się widzieć jej piękności tak jak ja.

— Niektórzy ludzie wogóle nie odczuwają piękna tak jak my. To jest — ze wzruszeniem.

— Dlaczegoż — my?

— Bo jesteśmy subtelniejsi, dostrzegamy lepiej.

— Czyż? Czy to rzeczywiście jest subtelność?

Dlaczego miałoby być lepiej dostrzegać piękno tam, gdzie ono się staje fatalne dla nas? Jeśli nie mamy wierzyć w bezcelowość rzeczy, dlaczego to — nieprawdopodobieństwo miałoby wydawać się piękne komukolwiek? Weź to na rozsadek, Melvillu. *Dlaczego jej* uśmiech ma taki urok dla mnie? *Dlaczego jej* głos tak mię wzrusza? *Dlaczego jej*, a nie Adeliny? Adelina ma szczere, jasne, piękne oczy — a cała różnica, jaka może zachodzić między niemi, na czym ona polega? Niepochwytnie drobna odmiana łuku powieki, nieskończenie mała różnica w rzęsach — i wszystko rozbite do tego stopnia! Kto zdoła zmierzyć różnicę, kto zdoła określić timbre głosu, który sprawia, że gdy go słucham, mam uczucie, że płynę gdzieś w nieskończoność? ...Różnica? Przecież to jednak rzecz widzialna, uchwytana, materialna! Przecież to musi tkwić w moich własnych oczach! — Na Jowisza! — zaśmiał się po-

rywczo. — Wyobraźmy sobie starego Helmholtza, usiłującego określić to zapomocą baterij rezonatorów, albo Spencera, próbującego w świetle Ewolucji i Wpływów Otoczenia wyjaśnić sprawę!

— To są rzeczy niewymieralne — zauważył Melville.

— O ile nie będziemy ich mierzyli siłą wywieranego wrażenia — rzekł Chatteris. — Ale dlaczego wywierają na nas wrażenie? Oto pytanie, nad którym nie przestaję się teraz głowić.

Kuzyn mój rozmyślał, wsunawszy zapewne ręce w kieszenie spodni. To jest złudzenie — rzekł — rodzaj omamienia. — Bo zresztą, rozpatrz się w tem dokładnie. — Kto ona jest? Co może ci ofiarować? Obiecuje ci jakieś nieokreślone rzeczy... To jest pułapka — mamidło. Ona jest piękną maską — zawałał się.

— Maską czego? — zapytał Chatteris po krótkiej pauzie.

— Dla ciebie i dla wszelkiej rzeczywistości życiowej może ona znaczyć tylko jedno.

— Co?

— Śmierć.

— Tak — rzekł Chatteris — wiem o tem.

A potem znów — Wiem.

— Niema w tem nic, czegobym nie wiedział — rzekł. — Ale dlaczego — dlaczego maska śmierci miałaby być tak ponętna?... A zresztą... Dochodzimy do uświadomienia sobie naszych obowiązków zapomocą rozumowania. Nieprawdaż? Dlaczegożby właściwie rozsadek i sprawiedliwość miały rządzić wszystkim? Może jednak jest jeszcze coś poza granicami naszego rozsądku? Może i pożądanie ma jakieś prawa?

Zatrzymał się. Melville zdawał się zgłębiać pytanie.

— Myślę — rzekł wreszcie mój kuzyn — że pożądanie *ma* pewne prawa. Piękność zwłaszcza. — Chcę powiedzieć przez to — wyjaśniał — że jesteśmy przecież ludzkiemi istotami. Jesteśmy materją, z której duch wynika. Sięgamy w głąb, w świat cudów materialnych i wzwyż ku czemuś — urwał, niezadowolony z ilustracji. — W każdym razie w innym kierunku — próbował nieudolnie. Wkońcu znalazł określenie, nie wyrażające jednak jego myśli całkowicie. — Człowiek jest to, że tak powiem, dom w pośrodku drogi — musi godzić się na kompromisy.

— Jak ty naprzykład?

— Przypuśćmy. Tak. Usiłuję utrzymać równowagę.

— Tak, wiem. Kilka starych sztychów — przypuszczam, że dobrych — trochę wykwintu w urzędzeniu i kwiatach — kilka rzeczy, dostępnych twoim środkom materialnym, sztuka — w miarę, parę czynów filantropijnych miłszego gatunku, pewne poszanowanie prawdy, obowiązek — także w miarę. Co? Właśnie tej równowagi w żaden sposób zdobyć nie zdołałam. Nie umiem zasiąść do owsianki życia codziennego i spłókiwać jej umiarkowanym haustem piękna, rozcieńczonego wodą, nie potrafię. Sztuka!... Przypuszczam, że jestem żarłoczny, że jestem jedną z tych nieprzystosowanych do cywilizowanej areny istot. Zasiadałem nieraz do zupełnie zdrowych, bezpiecznych i zupełnie pewnych rzeczy... i... to nie dla mnie.

— Nie, to nie dla mnie — powtórzył.

Przypuszczam, że Melville nic na to nie odpowiedział.

To zboczenie od bezpośredniego tematu ku własnemu jego rodzajowi życia sprawiło mu zapewne dystrakcję. Zatopił się w egoistycznych porównaniach. Omal nie powiedział, jakby to zresztą uczynił każdy z nas w podobnych warunkach. — Mój kochany, nie zdajesz sobie zupełnie sprawy z mojego stosunku do życia i jego spraw.

— A zresztą, poco ta gadanina? — zawołał Chatteris porywczo — Usiłuję poprostu uszlachetnić całą sprawę, wciągając do niej szersze zagadnienia. To jest usprawiedliwianie się. Nie chcę się usprawiedliwiać wcale. I nie o to chodzi. Muszę wybierać: albo życie z Adeliną, albo ta Kobieta z Morza.

— Czyli śmierć.

— Skąd wiem, że ona to — śmierć?

— Mówiłeś przecież, że uczyniłeś już wybór?

— Tak jest.

Zdawał się zbierać z myślami.

— Tak jest, wybrałem. — potwierdził — Mówiłem ci już. Jutro rano będę u Adeliny.

— Tak — przypomniał sobie widocznie dalszy ciąg owej zgóry przygotowanej mowy, z której zeszli byli na inny temat — Faktem jest, że życiu mojemu niezbędne są: karność, nawyk wytrwałości, zaniechanie wszelkich bocznych wyjść i niezdrowych myśli. Słowem, dyscyplina!

— I praca.

— I praca, jeśli chcesz. To jest w gruncie rzeczy wszystko to samo. Wszystko poszło z tego, że dotąd poprostu za mało pracowałem. Zatrzymałem się, by pogawędzić z niewiastą przy drodze. Szukałem wykrętów kompromisowych, i tamto schwyciło mnie... Będę musiał wyrzec się tego, to i wszystko.

— Nie uważasz chyba swej działalności za godną wzgardy?

— Na Jowisza! Niel Jest tylko nieco przykra. Ma swoje ciemne momenty. Są miejsca, do których trzeba się wspinać po ścieżce nie tylko stromej, ale i błotnej.

— Świat potrzebuje przewodników. Ludziom twojej klasy daje bardzo wiele: wywczas, zaszczoty, dobrodziejstwa starannego wychowania i wysokiej tradycji...

— I wymaga oczywiście czegoś wzamian. Wiem. Racja nie jest po mojej stronie. Nie miałem słuszności zupełnie. Ten sen tak dziwnie mię chwycił. Ale muszę się go wyrzec. W gruncie rzeczy nie jest to znów nic takiego wielkiego — wyrzec się marzenia. Są przecież wielkie rzeczy do spełnienia na świecie dla człowieka.

Melville zaprodukował pracowity koncept — W braku Venus Anadyomene — rzekł — mamy przynajmniej świętego Michała i jego miecz.

— Surowego Archaniola w zbroi! Ale on miał przed sobą rzetelnego, namacalnego smoka do usieczenia, a nie tak, jak my, swoje własne pożądanja. My zaś za dni naszego żywota musimy wchodzić w układy ze smokami, by wyzyskać podniesienie Minimum Płacy i zdobyć takim, czy owakim sposobem lepsze mieszkania dla robotników — słowem, musimy dawać tyleż, ile otrzymujemy.

Melville nie uważał, by to było uczciwem potraktowaniem jego słów.

— Nie — mówił dalej Chatteris — nie mam żadnej wątpliwości co do wyboru. Wrócę na stanowisko. Będę żył, jak żyją inni ludzie warstwy, do której należę. Wrócę do szeregów, do tej walki o przyszłość, która jest sensem życia. Potrzebna mi jest zimna kąpiel moralna, i możesz być pewny, że ją sobie sprawię. To bezczynne pieszczanie się sna-

mi musi się skończyć. Urządę sobie rozkład godzin pracy, ureguluję swoje życie, rzucę się z zapałem w ogień polemiki, oddam się służbie, jak rzetelnemu mężowi przystało. Praca czystych rąk, walka i czyn.

— A zresztą będziesz miał przecież Adelinę.

— Właśnie! — rzekł Chatteris z lekkim odzieniem nieszczeroci w głosie. — Wzniosta, szczerza i zdolna. Na Jowisza! Jeśli nie będzie Venus Anadyomene, to w każdym razie będzie Pallas Athene. Jej to przypadnie w udziale rola pojednawcy.

Poczem ku niemałemu zdziwieniu Melville'a dodał:

— *Wiesz, to wcale nie będzie tak źle!*

Melville mi opowiadał, że z trudem powstrzymał wtedy odruch zniecierpliwienia.

Poczem Chatteris wygłosił coś w rodzaju mowy — Sprawa przesądzona — rzekł — wyrok wydany. Jestem, czem jestem. Zbadałem wszystko i wypracowałem rezolucję. Jestem człowiekiem i muszę iść ludzką drogą. Tam wdali pożądanje, światło i przewodnik świata, latarnia morska, palająca na przykładu. Niech płonie! Niech płonie! Droga moja prowadzi koło niej, mija ją i przechodzi... Wybrałem. Sądzone mi jest być człowiekiem, żyć i umierać jak człowiek i nosić po męsku brzemie czasu swego i swej kasty. Oto wszystko! Śniłem Sen, ale jak widzisz, rozsądek zachowałem. Tu, w obliczu gorejącego płomienia, rzekam się go. Czynię wybór... Zrzeczeń! Zawsze i wszędzie — Rezygnacja! — Oto czem jest życie dla nas wszystkich. Pożądanja dane są nam jedynie nato, byśmy się ich wyrzekali, zmysły — byśmy je głodem morzyli. Życie możemy tylko jako częśćka samych siebie. Dlaczegoż ja miałbym stanowić wyjątek? Dla mnie jest ona złem, dla mnie jest ona śmiercią...

— Tylko czemu dane mi było ujrzeć jej twarz?
Usłyszeć jej głos?...

VI

Wyszli z mroku i wspinali się po długiej pochylej ścieżce, aż ukazało się Sandgate jako drobna linja świateł wdole. Wstąpili na pagórek i skierowali się ku skale na krańcu wyżyny. (Z oddali dochodziły złagodzone, słodkie dźwięki orkiestry). Stali przez chwilę, patrząc wdół w milczeniu. Melville usiłował odgadnąć myśli towarzysza.

— Dlaczego nie miałbyś pójść do niej dzisiaj? — zapytał.

— W taką noc! — Chatteris odwrócił się nagle i patrzył w smugę księżycową na morzu. Stał zupełnie spokojnie przez chwilę, a biały, zimny blask światła miesięcznego nadał jego rysom złudny wyraz siły i stanowczości. — Nie — rzekł wkońcu, a brzmiało to prawie jak westchnienie.

— Idź do niej lepiej zaraz. Skończ to odrazu. Na pewno czeka tam i myśli o tobie.

— Nie — rzekł Chatteris — Nie.

— Jeszcze niema dziesiątej — próbował Melville.

Chatteris zamyślił się — Nie — odpowiedział — nie dzisiaj. Jutro rano w świetle dnia powszedniego.

— Potrzeba mi na to rzetelnego szarego dnia — rzekł — południowo-zachodniego wiatru... Te ciche, słodkie noce! Jak możesz w taką noc żądać czegoś podobnego ode mnie?

Poczem szepnęła, jakgdyby znajdował szczególne zadowolenie w powtarzaniu tego wyrazu — Rezygnacja.

— Na Jowisza! — zawołał nagle — cóż za noc bajkowa! Spójrz na te światelka okien wdole, a potem wgóre, wyżej, wyżej, w niezmierzone błękity. A tam, patrz, jak mdlejąc w nadmiarze miesięcznego blasku, skrzy się, migoce blada, samotna gwiazda.

ROZDZIAŁ VIII

Zwycięski blask księżyca

I

Co właściwie stało się potem? W żaden sposób niepodobna było dopytać się tego dokładnie. Podałem wszystko, co według opowiadania Melvilla było powiedziane, połączyłem to w dialog, kontrolując zapomocą uwag mego kuzyna, a wkońcu odczytałem mu wszystko. Oczywiście nie jest to dosłowna reprodukcja, ale jak zapewnia kuzyn, oddaje zupełnie dobrze charakter ich ostatniej rozmowy; sens był taki i rzeczy tego rodzaju zostały wypowiedziane. Żegnając się z Chatterisem, był zupełnie przekonany, że usłyszał jego ostateczną decyzję. Potem, jak opowiada, przyszło mu na myśl, że poza obrębem tego układu pozostaje jednak jeszcze żywa, namacalna istota, zdolna do czynu — Syrena. Jak ona teraz postąpi? Myśl ta pogrążyła go w sieć ponownych pełnych lęku rozważań i poniosła go w stanie niespokojnej ciekawości napowrót pod hotel Lummidge.

Dwaj panowie doszli byli do hotelu Metropol i z uściśnieniem dłoni rozstali się w blasku latarni przed szeroką bramą. Melvillowi się zdaje, że Chatteris wszedł wprost do hotelu, ale nie jest

tego pewny. Sądę, że Melville, zatopiony w rozważaniach zupełnie osobistych, oddalał się w stanie silnego roztargnienia. Później, gdy uderzyła go myśl, że żadne Rezygnacje nie zniweczą Morskiej Damy, wrócił, jak mówiłem, wzdłuż Promenady. Przeprowadzone przezeń powierzchowne zresztą badanie wykazało jedynie, że „familijny“ Hotel Lummidge niczem nie różni się od innych hoteli tego rodzaju. Okna jego nie wyjawiały swej tajemnicy. I tu kończy się opowiadanie Melvilla.

Jednocześnie urywa się też z konieczności także i moje szczegółowe sprawozdanie. Są naturalnie jeszcze pewne źródła wiadomości i przebłyski. Parker, niestety, jak już wyjaśniłem, odmawia wszelkich informacji: Głównie źródła wiadomości stanowią: Gooch, lokaj Chatterisa, i portjer hotelu Lummidge.

Zeznanie lokaja jest ściśle i dokładne, ale czyni wrażenie nieco niestosowne. Świadczy on, że koło kwadransa na jedenastą wszedł do pokoju Chatterisa, by zapytać, czy ma mu jeszcze w czem usłużyć tego wieczora. Chatteris siedział w fotelu u otwartego okna z głową wspartą na dłoni i „gapił się niewiadomo na co“ — co jak Shopenhauer dowodzi w kapitalnym ustępie swego dzieła — stanowi podobno treść życia ludzkiego wogóle.

— Czy potrzeba mi usługi? — zapytał Chatteris.

— Tak jest, proszę pana — rzekł lokaj.

— Nie, nic mi nie potrzeba — rzekł Chatteris. — Nic, zupełnie. — Lokaj, uważając tę odpowiedź za zupełnie zadawalającą, życzył swemu panu spokojnej nocy i odszedł.

Przypuszczalnie Chatteris pozostawał w tej pozycji przez czas dłuższy — z pół godziny może, albo i więcej. Powoli jednak nastrój jego zaczął podlegać przemianie. W pewnej chwili letargiczne rozmyśla-

nia ustąpiły widocznie miejsca nadzwyczajnej ruchliwości, jakby jakiejs histerycznej reakcji przeciw poprzednim decyzjom i rezygnacji. Pierwsza jego czynność wydaje mi się nieco dziwaczna i groteskowo-patetyczna. Wszedł do garderoby, a nad ranem „jego ubranie,“ jak opowiada lokaj „było porozrzucane dokoła, jakby dostał nagłego bzika“. Ten nie-szczesny czciciel piękna i marzenia — golił się! Ogolił się, umył się, wyszczotkował włosy i, jak świadczy służący, jedna z jego szczotek „zarzuciła się“ aż za łóżko. Nawet to rzucanie dokoła siebie szczotkami nie tłumaczy go w moich oczach z tej marnej ludzkiej troski o swój wygląd. Zmienił szare flanelowe ubranie — w którym mu było do twarzy, na białe — w którym mu było jeszcze bardziej do twarzy. Widocznie świadomie i z całym rozmysłem chciał „zrobić się na ładno,“ jak mówią pensjonarki. Skończywszy w ten sposób ze swą głęboką „Rezygnacją,“ udał się widocznie wprost do hotelu Lummidge i zażądał widzenia się z panną Waters.

Udała się była na spoczynek.

Wiadomość ta pochodziła od Parker i została lodowatym tonem zakomunikowana Chatterisowi przez portjera.

Chatteris skłął portjera. — Proszę jej powiedzieć, że czekam tutaj — rzekł Chatteris porywczo.

— Udała się na spoczynek — powtórzył z urzędową surowością.

— Czy powiesz jej, że tu czekam — rzekł Chatteris, pobielawszy z gniewu.

— Proszę o godność — rzekł portjer, jak wyjaśnia, w celu uniknięcia awantury.

— Chatteris. Proszę powiedzieć, że muszę się z nią widzieć natychmiast. Czy słyszysz? — *Natychmiast!*

Portjer udał się do Parker, ale w półdrogi za-

wrócił. Dałby był wiele w tej chwili, by nie być portjerem. Rządca wyszedł — o tej porze nikogo odpowiedzialnego nie było na miejscu. Wkońcu postanowił jeszcze raz pomówić z panną służącą. Umyślnie podniósł głos, mówiąc do niej.

Morska Dama widocznie usłyszała, bo zawołała z sypialni na pokojówkę. Nastąpiła naprężona pauza.

Syrena, jak się zdaje, zarzuciła na siebie jakieś luźne okrycie, a wierna Parker czy zaniósła ją, czy też pomogła jej dostać się z sypialni na szeszląg małej bawialki.

Portjer przez ten czas sterczał na schodach, modląc się w duchu o rychły powrót rządcy — modlitwa jego, niestety, nie została wysłuchana — a Chatteris irytował się na dole. Tu otrzymujemy przelotny widok Morskiej Damy.

— Widziałem ją na mig — opowiadał portjer — gdy pokojówka drzwi otworzyła. Uniosła się na rękach i patrzyła ku drzwiom. A patrzyła o tak — Tu portjer, obdarzony irlandzkim typem twarzy, krótkim nosem, długą wierzchnią wargą i wszystkim, co do tego należy, zaniedbujący najwidoczniej swojego dentystę, nagle wysunął twarz, wytrzeszczył oczy bardzo szeroko, usta złożył w jakiś zastygły uśmiech i pozostawał w tej pozie dopóty, dopóki nie osądził, że osiągnął pożądaną efekt.

Wkrótce ukazała się ponownie Parker, nieco zarumieniona, ale ze zwykłą swoją stanowczością starająca się nadać wszystkiemu pozór możliwie banalny.

— Panna Waters przyjmie na kilka minut pana Chatterisa — oświadczyła. Zawsze podkreślała swoje — panna Waters — ze szczególnym naciskiem, jakby protestując w ten sposób przeciw jakimś buntowniczym pogańsko-boginkowatym koncepcjom. I Chatteris, blady i zdecydowany, wszedł na górę do

tej oczekującej go z uśmiechem istoty. Nikt prócz Parker nie był świadkiem tego spotkania. Parker musiała oczywiście widzieć wszystko, ale Parker milczy — Parker zachowuje milczenie, którego żadna siła nie złamie.

A oto, czego się jeszcze zdołałem dopytać od portjera.

— Gdy go zawiadomiłem, że wstała i że go przyjmie — opowiada portjer — sposób, w jaki ruszył na górę, był wprost nieprzyzwoity. Proszę pana, to jest hotel porządny, Pension de Famille. Rozumie się, można i tu zobaczyć niejedno, ale...

— Nie mogłem znaleźć zarządzającego hotelem, by mu o tem powiedzieć — opowiadał w dalszym ciągu portjer. — I co ja mogłem w tym wypadku poradzić?

Przez chwilę rozmawiali przy drzwiach otwartych, a potem drzwi zatrzęsnięto. Na pewno — pokojówka.

Rzuciłem niegodziwe pytanie.

— Nie, proszę pana, nie mogłem złapać ani słóweczka — rzekł portjer — zaczęli szeptać — z miejsca...

II

A potem...

Brakowało dziesięciu minut do pierwszej, gdy Parker, nadając swemu żądaniu pozór znacznie naturalniejszy, niżby to się było mogło udać komukolwiek innemu, kazała podać — rzecz najmniej zwyczajną o tak spóźnionej porze — fotel na kółkach.

— Dostałem go — rzekł niedającym się naśladować, głębokim tonem portjer.

A potem, pozwoliwszy mi zgłębić w całej pełni znaczenie tego faktu, dodał — Nie użyli go wcale!

— Nie?

— Nie! Wyniósł ją na rękach!

— I poszli?

— Het, precz!

Było dość trudno połapać się w jego opisie Syreny. Miała, zdaje się, na sobie okrycie i wyglądała jak posąg — niewiadomo, co chciał tem powiedzieć. Chyba nie to, żeby miała być sztywna i obojętna. — Jak posąg — mówił portjer — jeno że żywy. — Jedno ramię było obnażone, jak słyszę, włosy rozpuszczone, splątana masa złota.

— A on wyglądał, wie pan, jak człowiek, który się zawziął.

— A jedna jej ręka była w jego włosach — tak, chwyciła go za włosy, było widać jej palce w jego włosach. A jak mnie spostrzegła, to, proszę pana, odrzuciła wtył głowę ze śmiechem. Jakby mówiła: „*Mam go!*” Śmiała się do mnie na cały głos.

Stałem przez chwilę, przyjmując w siebie ten dziwny obraz. I nagle uderzony jakąś myślą zapylałem.

— A on, czy też się śmiał?

— Ale gdzie! śmiać się! On? — *Nie!*

III

W blasku latarni, płonącej przed hotelem Lumidge kończy się właściwa historia. Możemy jedynie w wyobraźni odtworzyć sobie oświetloną pustkę Promenady, białą, smutną, samotną tą samotnością plaży miejsc kąpielowych w godzinach przedświt — jarzące światło elektrycznych latarni i ciemną linję

krawędzi, spadającej ku niżej położonym skałom i morzu. A wdali, oblany światłem księżyca Kanał z nieustannie przesuwanymi się po nim statkami. Przed hotelem, po obu stronach którego ciągnie się długi szereg bladych, białych fasad, mała czarna figurka portjera wytrzeszcza w osłupieniu oczy w ciepłą, świecącą tajemnicę nocy, która pochłonięła Syrenę i Chatterisa. Jest to jedyna żywa istota w tym obrazie.

U szczytu Promenady jest mały budynek, w którym w czasie zimowego sezonu grywa orkiestra smyczkowa. Tuż obok strome stopnie prowadzą w dół na Niższą Drogę. Tędy musieli zejść w tej ucieczce pospiesznej z życia naszego ku nieznanym i niepojętym rzeczom. Tak sobie to przynajmniej wyobrażam. I zapewne, choć nie do śmiechu mu było w owej chwili, twarz jego nie wyrażała ani wahania, ani rezygnacji.

Wszakże doszedł był już do zgody z samym sobą, powziął niezłomną decyzję, a to przynajmniej nie może być uważane za nieszczęście nawet wtedy, gdy w kilku krokach wprost do śmierci prowadzi.

Zstępowali oto w dół skroś łagodnej poświaty miesiąca, wynieśli, biali, wspaniali, spleceni uściskiem, ramiona jego okalały jej kibić, czołem przypadł do jej białego ramienia, złote włosy twarzy jego muskały. A ona pewnie uśmiechała się do niego i wśród pieśń szepotała doń słodko. Przez chwilę pewnie rozblysli pod ciepłym światłem latarni, znajdującej się w pół schodów, a potem mrok ich pochłoniął. Musieli przejść w poprzek drogi w poświacie księżyca, sączącej się przez drzew koronki, potem pośród zarośli i krzaków dolnych skał, zanim wydostali się na odkryte, oblane miesięcznym światłem wybrzeże. Nie było świadka tej ostatniej ich podróży ku głębinom, któryby mógł nam opowiedzieć, czy

Chatteris w ostatniej chwili spojrział jeszcze raz za siebie, zanim wstąpił w fosforyzujące przestworze i przez chwilę płynął obok Syreny, a potem przestał pływać i na zawsze znikł z tego szarego świata człowieka.

Ciekawa rzecz, czy się oglądał za siebie? Płynęli razem przez chwilę, człowiek i boginka morska, która przybyła po niego. Niebo było nad nimi, a dokoła woda pełna ciepłej miesięcznej poświaty i fosforyzującego blasku. Za późno już było myśleć o prawdzie, czy o uczciwych obowiązkach, które pozostawił za sobą, gdy tak płynęli w nieskończoność. A koniec zaledwie wyobrazić sobie, lub wymarzyć możemy. Czy chwycił go w ostatniej chwili nagły lęk, brutalna świadomość fatalnej omyłki? Czy został pociągnięty szybko i nieubłagane w głąb nieznaną, pełen nadaremnej skruchy? Czy też raczej Syrena, tkliwa i urocza do końca, ogarniała go i tuliła czule w objęciach, pociągając lekko i nieubłagane w głąb, w głąb, aż cicho zwały się nad nim fale i uniosły go w słodką śmierci ekstazę?

Niedocieczone to dla nas rzeczy. U stóp ci cho dyszącego morza z konieczności skończyć się dla nas musi opowieść o życiu Chatterisa.

Jako epilog pozwolimy sobie dodać wzmiankę o policjancie, który nad ranem spostrzegł okrycie Morskiej Damy w chwili, gdy je właśnie przyplłynął zagarnąć. Nie był to rodzaj ubioru, jaki od czasu do czasu znajduje się na wybrzeżu, wyrzucony przez ludzi z pospólstwa. Był to miękki, kosztowny szal. Zda mi się, że widzę go, jak stoi z szalem na ręku i latarnią w dłoni, jak pełen zdziwienia i niepokoju bada uważnie okiem białą brzeg, a potem czarne krzaki za sobą, a potem gapi się bezmyślnie

na morze. Któż to mógł porzucić tak pożyteczną, wykwinną i pożądaną rzecz tak niedbale?

— Co też ci ludzie sobie myślą? — pytał się zapewne ten skromny obywatel zrozumiałego, oczywistego świata. — Co to może znaczyć?

Wyrzucać takie doskonale okrycie!...

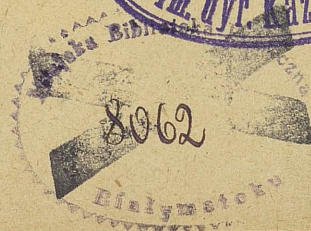
Na południowej stronie nieba widać było tylko jedną planetę i zachodzący księżyc, z pod którego stóp wybiegał szlak drgającego światła ku najdalszemu krańcowi widnokregu. Od czasu do czasu mrok na wschodzie i zachodzie od tego świetlanego pasma roziskrział się chwilowym blaskiem fosforescencji. Wdali latarnie statków gorzały jasno i żółto. Skroś ich blasku czarna łódź rybacka sunęła z tajemnicy w tajemnicę.

Dungeness świeciło z zachodu czerwonym punkciem, a na wschodzie niestrudzone oko latarni morskiej na Gris-nez przesunęło się po niebie, znikło i znów powróciło.

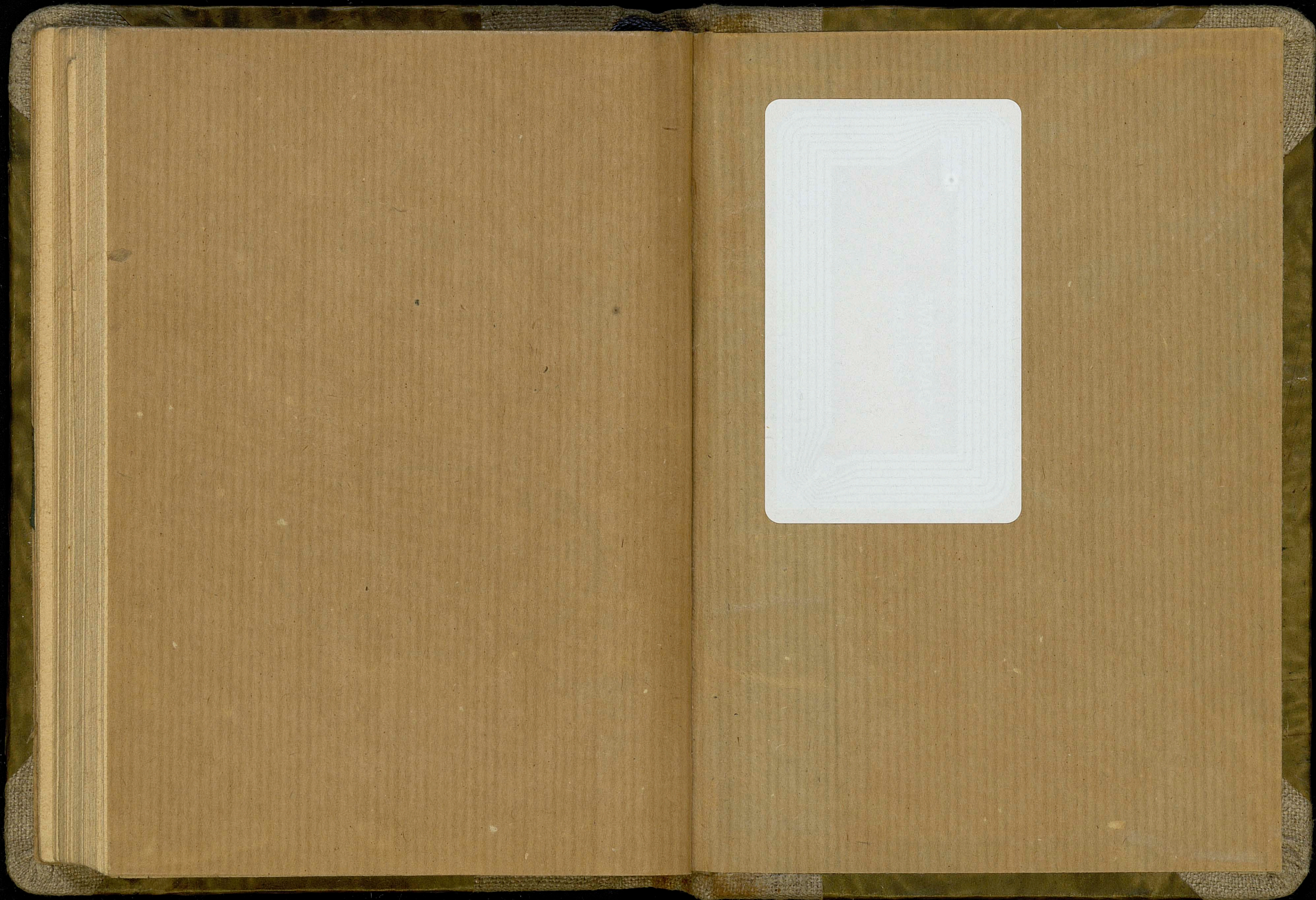
I wyobrażam sobie badawczą latarkę policjanta, poruszającą się przez chwilę w różnych kierunkach, ni to drobna różowa plamka ciekawości na tle tajemniczej nieskończoności pogodnego nieba.



KONIEC







8062